



MARTA OBUCH

DIABELSKA WOLUCJA

lesiojot

MARTA OBUCH

DIABELSKA EWOLUCJA

Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA

Długo z tą książką zwlekałam.

I tak miało być. Gdybym nie poczekała, nie poznałabym wielu ludzi, którzy sprawili, że przybrała ona poniższy kształt. Jestem im wdzięczna. Oto oni:

Witek - podzielił się ze mną swoimi narzędziami i jemu jest ten kryminałek dedykowany.

Podróżnicy Katarzyna i Krzysztof Lipińscy - pokonali 1800 kilometrów, zwiedzając Kenię i robiąc tysiące zdjęć, które mi w swojej życzliwości przekazali.

Brat Robert - franciszkanin mieszkający w Nairobi, opisał mi dokładnie drogę z lotniska w Nairobi do Muzeum Narodowego, nie szczędząc tak pikantnych szczegółów, jak kolor kupy marabutów.

Doktor Marek Gaj - podszeptał tytuł pracy doktorskiej z zakresu genetyki.

Mojej siostrze Dorocie dziękuję za rozbijający opis doznań podczas lotu samolotem, Aguni za rozmowę w empiku, a mężowi za wsparcie, na jakie mogę liczyć podczas pisania każdej książki.

Uwieńczeniem mojej prywatnej przygody z ewolucją było poznanie tego roku w Muzeum Historii Naturalnej światowej sławy paleoantropologa, Christophera Stringera. Rozmowa z nim sprawiła mi ogromną radość.

Cezary miał już nawyk.

Od miesiący łakomie pochłaniał każdą literę tekstu, jeśli w jakikolwiek sposób dotyczył on Kenii. Stał się więc chodzącą skarbnicą czy raczej gmerającym w Internecie skarbem wiedzy o tym afrykańskim kraju. Skarb mierzył trochę ponad sto osiemdziesiąt centymetrów, chrupnął kostkami dłoni i chciał się właśnie zwlec sprzed komputera, ale natrafił na artykuł dotyczący Nairobi, czyli miasta, do którego teoretycznie powinien dotrzeć za kilkanaście godzin. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem - dodał w duchu, ale zaraz przywołał się do porządku. Jakie „jeśli”? W ogóle nie ma takiej możliwości, żeby była taka możliwość! Oczywiście, że wszystko pójdzie zgodnie z planem. Afryka czeka! Nie po to przygotowywał wyprawę od kilku miesięcy, żeby teraz dopuszczać do siebie czarne myśli. Żółć, zieleń, błękit. W tych kolorach buzuje życie. Czarnizny i ponuractwa będą wywalone ze słonecznej krainy na zбитy pysk.

Wyznawcy diabła - tytuł złowrogo krzyczał z monitora. Cezary się skrzywił. Tania sensacja, i tyle.

- Srawcy, nie wyznawcy - wymruczał, ale przebiegł oczami po ekranie.

Mówi się, że członkowie tej organizacji piją krew, i oskarża się ich o potworne zbrodnie. Pani Charity Bokino, komisarz rejonowy Północnego Nairobi, nie ryzykuje. Wszędzie nosi ze sobą nawet nie jeden, ale dwa pistolety. I nie rusza się bez uzbrojonych ochroniarzy. „Mungiki...” - szepcze. - Grożę mi obrzezaniem.

Organizacja Mungiki jest otoczona nimbem tajemnicy. Krwawej tajemnicy - w ciągu miesiąca ponad 50 osób zginęło w brutalnych mordach, strzelaninach i nie mniej brutalnych akcjach policji wymierzonych w nieuchwytną grupę. Policja twierdzi, że celem Mungiki jest destabilizacja kraju przed planowanymi na grudzień wyborami prezydenckimi - i oskarża organizację o wyjątkowo bezwzględne i podłe działania: obcinanie nóg, obdzieranie głów ze skóry, picie ludzkiej krwi... Przedstawiciele rządu mówią o wymuszeniach i haraczach, a

także o ćwiartowaniu ofiar, by zastraszyć innych.

Redaktor: „The New York Times” 28.06.2007

Mungiki.

O sekcie słyszał nie po raz pierwszy. Z niewytłumaczalną fascynacją odnajdywał w mediach informacje na jej temat. Wiedział, że prawda w przypadku prasy, radia i telewizji to pojęcie rozmyte, niemniej szukał w dostępnych przekazach jakiejś prawidłowości, klucza, który pozwoliłby zrozumieć, o co tak naprawdę chodzi. W żadnego diabła nie wierzył. A dociekanie przyczyn było dla niego po prostu natrętną potrzebą. Zawsze. I w każdych okolicznościach.

Mungiki. Trop wiódł wyraźnie, jak w przypadku innych magicznych zdarzeń politycznych, do władzy i pieniędzy. Pozostawało zagadką, kto komu i za co płaci oraz co dostaje w zamian.

Zerknął na zegarek.

Późno już.

Za oknem od kilku godzin szalał deszcz. Jak tak dalej pójdzie, będzie potrzebował wędkarskich kaloszy po pępek albo kajaka, żeby dostać się do auta. Ale za to jutro w nocy zaczerpnie głęboko powietrza i poczuje w piersiach ciepły afrykański wiatr.

I będzie mu najzupełniej obojętne, że ten sam wiatr wieje nad dreadami członków jakiejś tam sekty, o której fajnie było czytać, ale z którą osobiście nie zamierzał mieć nic wspólnego. Absolutnie nic!

Siekierka, skubana, była chyba lekko tępa.

Lutka od dłuższego czasu waliła nią w coś, co uznała za pień, ale ten ani myślał się poddać - stanowiło to nieprzewidzianą trudność, tym większą, że przebrzydłego krzaka należało się pozbyć szybko i bez świadków. Burza co prawda zagłuszała większość produkowanych pod osłoną nocy odgłosów, ale mogła się skończyć tak samo raptownie, jak się zaczęła. Roślinne badziewie całkowicie zasłaniało Lutce widok na

ziemski padół, zamieniając jej niedawno nabyte mieszkanie w ponurą jamę pozbawioną światła dziennego. Mało, że zasłaniało! Wytwarzało paskudne kudłate strzępki, które wciskały się przez najmniejszą szparę w oknie i powodowały kichanie. Owszem, Lutka usiłowała istnienie krzaka zaakceptować. Walczyła dzielnie, ale mimo chęci nie potrafiła żyć bez słońca, a gałęzie za oknem nie były stuletnim dębem. W ogóle nie były drzewem - na drzewo Lutka nie podniosłaby ręki.

Były kupą natrętnych badyli.

Tej kupy należało się pozbyć.

Pozbyć się i odetchnąć.

Jeszcze wczoraj nie odważyłaby się na realizację swojego pomysłu. Wczoraj nie, ale dzisiaj... Dzisiaj, kiedy za kilka godzin wsiądzie w samolot do Mombasy i spędzi najbliższe dwa miesiące na Czarnym Łądzie? Kiedy kierownik administracji może jej co najwyżej napluć na wycieraczkę? Dzisiaj tak! Dzisiaj będzie ciąć, ciachać, dzisiaj będzie torować nowe drogi życiowe.

Choćby siekierką!

Należy w tym miejscu wspomnieć, że Lutka na co dzień nie była typem wojowniczką, można by ją raczej nazwać zwykłą szeregową. Najczęściej dreptała na końcu kolumny i nie sprzeciwiała się rozkazom, nawet jeśli dotyczyły jej własnych spraw i zostały wydane przez osoby trzecie. Jako istota inteligentna zdawała sobie sprawę, że to absurd, ale nie potrafiła inaczej. I oto dzisiejszej nocy, po spontanicznym opróżnieniu trzech butelek breezera, jakby odczuła ulgę. A właściwie dlaczego ona ma być nieporadną sierotą? Dlaczego zawsze ktoś za nią decyduje? I w końcu - dlaczego miałyby nie zrobić czegoś, o czym myślała już pierwszego dnia po przeprowadzce, ale... No właśnie, zawsze było jakieś ale. Bo co powie Robert, co powie jego mama, co powie...

Do diabła z nimi wszystkimi!

Czknęła.

Mimo pełni lata noc nie należała do gorących właśnie za sprawą burzy, która przetaczała się po Osiedlu Tysiąclecia i dęła nachalnym wiatrem w betonowe płyty bloków. Lutka czuła

uderzenia deszczu tak wyraźnie, jakby ktoś smagał ją po plecach różgą, a krople wody ściekały pod peleryną lodowatymi strużkami. Bardzo dobrze, że świszczy, bardzo dobrze, że gdzieś tam w górze spotkały się fronty atmosferyczne i wzięły za łby. Nie mogła zamówić lepszej pogody na swoje nocne poczynania. Wzięła zamach i z determinacją zadała ostateczny cios przeciwnikowi, mimo że ten bronił się gałęziami z całych sił. Wreszcie! Krzak chyba się poddał, co poznała po ledwie słyszalnym zgrzycie gdzieś u jego podstawy. Jednocześnie z boku, na parkingu, zawarczał samochód. Oho, za chwilę będzie miała towarzystwo. Jeśli jednak ktokolwiek spróbuje zwracać jej uwagę, postraszy go narzędziem zbrodni.

A co!

W stroju, który przemyślnie włożyła, była nie do poznania, humorek też z chwili na chwilę stawał się coraz lepszy. Naraz cała sytuacja zaczęła się wydawać Lutce tak zabawna, że pomiędzy jednym czknięciem a drugim zachichotała. Wręcz życzyłaby sobie, żeby ktoś się teraz doczepił i zapytał, dlaczego dewastuje osiedlową zielen. Chętnie wdałaby się w dyskusję.

Niestety, mężczyzna, który wysiadł z auta, rozejrzał się bezradnie dookoła i skulony przebiegł chodnikiem wzdłuż bloku. Mijając ją, owszem, jakby skamieniał w przelocie, ale najwyraźniej nie zamierzał zasłaniać monstrualnej kępy patyków własną pierśią.

Lutkę tknęło przecucie.

Przełożyła siekierkę przez balustradę balkonu i chcąc sprawdzić godzinę, wydobyła z fałd peleryny pękaty budzik.

Północ wybiła dwadzieścia pięć minut temu.

Pan do towarzystwa zapowiedział się co prawda na pierwszą, ale...

Nie zaszkodzi sprawdzić.

Cezary Trębacz wcale się na deszcz nie złościł.

Jako meteopata nie znosił takiej pogody, ale kiedy pomyślał,

że nad jeziorem Logipi, dokąd właśnie się z wielką radością udawał, deszcz potrafi nie padać latami, a temperatury zmieniają człowieka w chrupiącą grzanekę... Sama radość z takich potoków wody! Pocieszające, że obecnie w Kotle Diabła panowała tak zwana zima - mógł się więc spodziewać zaledwie trzydziestokilkustopniowego ciepłka. Zaledwie. Ale taka perspektywa go nie przerażała, bo po raz pierwszy brał udział w wyprawie paleoantropologicznej na inny kontynent i był z tej okazji gotów na wszelkie poświęcenia.

Wjechał w Osiedle Tysiąclecia i po niedługich poszukiwaniach odnalazł właściwy skręt - blokowisko zostało zbudowane wokół głównych ulic i żeby dostać się pod wskazany numer, trzeba wiedzieć, gdzie się wepchać.

Mimo że Agunia starała się wszystko dokładnie wytłumaczyć, wskazówki typu: „W górę, po lewej będzie Żabka, to nie w tę drogę, ale we wcześniejszą”, sytuacji raczej nie naświetliły. Już wolał rzeczowe: za rondem druga w lewo. Ale taki już urok kobiet. Inaczej postrzegają świat. Agunia i bez dezorientacji przestrzennej była urocza, a na dodatek wiedziała, jak z posiadanego wdzięku korzystać. Najpierw zaprosiła go na kawę. Potem objawiła się w kawiarnianym wnętrzu z ponętym dekoltem odsłaniającym czekoladowe popiersie i tak wyglądała, tak wyglądała, że... Że Czarek, jako dobry znajomy, zgodził się wyświadczyć Aguni przysługę. Przysługa miała na imię Lutka (skrót od Lutysławy!!!) i panicznie bała się latać - wręcz dostawała drgawek na sam dźwięk słowa powietrze, a musiała znaleźć się w Mombasie. Gdyby Czarek zechciał ją duchowo wesprzeć i lecieć z nią najpierw do Nairobi, a tam odstawić na właściwy samolot... Cóż, histeryczki napawały go raczej obawą, ale faktycznie mógł to dla Aguni zrobić, tym bardziej że całkiem niedawno przetłumaczyła mu z angielskiego pewien dokument związany z wyprawą i opatrzyła pieczętką tłumacza przysięgłego, nie biorąc za to ani złotówki.

Więc niech będzie.

Wesprze trochę tę, jak jej tam... Lutkę. I to tak skutecznie, że babka wzbije się w powietrze już w samochodzie, którym najpierw udadzą się do Warszawy - pomysł wylotu z Pyrzowic

do bani, za dużo przesiadek - a potem wylądował na miejscu i nawet się nie zorientuje, że pokonała parę tysięcy kilometrów. Łęki? Jakie łęki? Nie żeby się przechwalał (stwierdzał po prostu fakty), ale kobiety zawsze czuły się przy jego boku bezpiecznie. Dlaczego?

Umiał słuchać, ot cała tajemnica. Słuchać i rozmawiać o uczuciach - kobiety przecież tym żyły, funkcjonowały według zasad emocjonalnych. Wystarczyło poświęcić im uwagę, zainteresować się ich wnętrzem. Ale bez fałszu i gier. Rozmawiać!

Dyskutować! To był jego żywioł - gdyby nie został genetykiem, pewnie skończyłby psychologię. Uświadamiałby innym mechanizmy, które rządzą sytuacjami, upraszczałyby relacje międzyludzkie. Bo on widział życie bardzo prosto: wszystko ma swoją przyczynę i skutek. Wszystko.

Pod natarciem deszczu skulił się odruchowo i podniósł kołnierz kurtki. Przechodząc obok kępy krzaków, kątem oka dostrzegł jakiś ruch.

Zerknął i aż nim zatrzęsło.

W gąszczu gałęzi stała jakaś... Cholera wie co. A raczej kto. Baba? No chyba. Wlepiła w niego gały jak przebudzone światłem zwierzę, po twarzy ściekały jej czarne krople wody i...

Śmiała się.

Niby pod nosem i niby do siebie, ale ten bełkotliwy chichot brzmiał co najmniej złowieszczo.

Brrr.

Upiorny obrazek.

A kysz!

Zauważył, że w Polsce ostatnimi czasy zaczęło w zastraszającym tempie przybywać wariatów. Biedni ludzie. Więcej trosk, mniej pieniędzy równa się mnóstwo świrów. Bez obrazy. Czy nie udowodniono jeszcze wzoru na obłęd w tym kraju? Czy nikt nie dostrzegł zależności?

Po chwili zastanowienia Cezary stwierdził jednak, że taka diagnoza jedynie by psychiatrom zaszkodziła. Co wypisywaliby na receptach: 2000 złotych na wydatki od zaraz?

Pociągnął nosem, zapadł się głębiej w kurtkę i przyspieszył kroku.

Dobrze, że on jest normalny.
A raczej genialny.
Tak jest.
Genialny brzmi lepiej.
Nie popadajmy w udawaną skromność.

W kenijskim Nairobi Prison ponurość wyglądała z każdego zasikanego kąta.

John Jenga - komendant policji - został tu wezwany w celu identyfikacji zwłok. Na szczęście lipiec w stolicy nie zaparzał ciał, ale podczas innych miesięcy słońce potrafiło przeniknąć przez omszałe z brudu ściany więzienia i dać wszystkim do wiwatu. I tym żyjącym, i tym, którzy dzięki przeniesieniu się na tamten świat mogli stąd wreszcie uciec.

Jenga szedł do obitych blachą drzwi raczej niechętnie, choć towarzyszący mu strażnik niczego nie zauważył - widział w nim jedynie wysokiej rangi urzędasę, który zdecydowanym krokiem zmierzał ku wypełnieniu kolejnego obowiązku. Tym razem niezbyt przyjemnego, ale czy praca, jaką na co dzień wykonywali, polegała na delektowaniu się arcydziełami malarstwa holenderskiego?

Obaj zarządzali ludźmi, choć co to za porównanie. Jenga siedział w biurze z wentylacją, rozpinał guziki i rozkazywał swoim policjantom. A David, zwykły więzienny strażnik, miał czasem wrażenie, że lepiej by mu się pracowało, gdyby dostał do ręki łopatę. Przerzucałby wtedy wszystkich jak leci. Złodziei, morderców, wariatów. Z jednej cuchnącej kupki na drugą. Co za los.

- Zapraszam. - Drzwi zgrzytnęły metalicznie jak zwykle, ale szef policji nie zaglądał tu często. Syknął i zatkał ucho najmniejszym z palców.

- Co za świństwo - skomentował upiorny dźwięk, choć równie dobrze mogło to dotyczyć pomieszczenia, w którym się właśnie znaleźli.

Przechowalnia. Tak nazywali miejsce, gdzie na drewnianych

stołach składowało się zwłoki więźniów, zanim zostały przewiezione dalej. Hala jakich wiele. Zacieki na ścianach. Kraty w oknach. Kable. I echo. Wypastowane pantofle Jengi skrzypiały w tej ciszy jakby maszerował po chodniku posypanym żwirem.

Czy nie zaczęła mu drgać powieka?

Strażnik bał się przyglądać, ale kiedy podszedł z komendantem do właściwego ciała, kątem oka dostrzegł zmianę na twarzy urzędnika. Zresztą może to przez ten zapach? Na nim odór gnijących wnętrzności od dawna nie robił wrażenia, niektórzy gnili już za życia. Po prostu starał się oddychać tak, żeby wyłączyć węch. Kwestia wprawy. Wiedział, że dzisiejsza wizyta Jengi miała związek z...

- Wszystko w porządku? - odważył się jednak spytać, bo szef policji oparł się dłońmi o blat i patrzył z przerażeniem w stopione oczodoły tego, co zostało z człowieka, a co spaliło się prawie doszczętnie. Prawie, oprócz kości płomieniom oparły się jedynie buty i zegarek.

- Tak po prostu go podpalamo? - Komendant zadał to pytanie po raz drugi dzisiejszego dnia, choć doskonale wiedział, że nie takie rzeczy dzieją się w więzieniach. Wcale się nie dziwił, że siedzący w zamknięciu ludzie mogą mieć benzynę i zapalki.

- Podejrzewamy porachunki. Musiał się komuś bardzo narazić. I ten ktoś zadbał, żeby go za wcześnie nie znaleziono. Byliśmy zajęci, bo wybuchła bójka.

- Między kim? Chcę ich przesłuchać.

- Oczywiście. Ale zapewniam, że znajdziemy winnego.

- Nie wątpię. Czy jest jednak możliwość, że to nie on? - komendant zapytał zmienionym głosem, uciekając spojrzeniem do sąsiedniego stołu, gdzie zamotany w szmaty leżał kolejny trup.

- Wykluczone. W celi brakuje tylko jego. I nie tylko w celi. W całym więzieniu.

- Ale tu...

- Jest przepełnienie? Cóż. Nie mamy środków, ale z liczeniem głów jeszcze sobie radzimy.

- No tak. - Mężczyzna otarł czoło i stanął tyłem do osmolonych szczątków. Z trudem przełknął ślinę. - Czyli uważa pan, że nie ma potrzeby badać DNA?

- Tak uważa dyrektor więzienia, z którym pan przed chwilą rozmawiał.

- Prawda. W takim razie potwierdzam tożsamość. Na jutro zorganizuję pogrzeb - rzucił i nie oglądając się za siebie, wyszedł na korytarz. Sylwetka wysokiego, lekko przygarbionego mężczyzny rysowała się na ścianach wyraźną linią. Szedł do wyjścia szybko, o wiele za szybko. Tak jakby chciał stąd uciec.

Strażnik z satysfakcją mógł teraz stwierdzić, że wielki Jenga wcale nie jest aż takim twardzielem, na jakiego wygląda. Jak to pozory jednak mylą. Wystarczy pokazać człowiekowi trochę stopionych kości.

I wszystko staje się jasne.

Agunia podyktowała Czarkowi adres, wygłosiła mnóstwo wskazówek turystyczno-krajoznawczych dotyczących dojazdu i ledwie pozwoliła sobie wyperswadować naszkicowanie całej drogi na serwetce, chociaż trochę był ciekaw, czy nie umieściłaby tam rzeźby żyrafy przy parku chorzowskim - punkty orientacyjne na mapach kobiet to dodatkowy smaczek. Na pytanie, czemu nie pojedzie do tej jakiejś Lutki z nim, odparła, że wybiera się na krajową konwencję fitness do Poznania i wróci dopiero po ich wylocie. Tak wielkiej imprezy absolutnie nie przepuści. Czarek na pewno trafi, a jeżeli miałby problemy, zawsze może do Aguni zadzwonić i ona mu jeszcze raz wszystko wytłumaczy. Dużymi literami. Co do Lutki, nie powinien mieć żadnych obaw, to stworzenie bardzo sympatyczne i delikatne i żadnej krzywdy mu nie zrobi- już prędzej on jej i żeby się właśnie nie ważył, bo Lutka jest w trakcie przejść. Jakich przejść, Agunia nie wyjawiała. Kazała się nie interesować i roztoczyć nad Lutką opiekę. Przyjacielską, bez męskich podjazdów i erotycznych treści.

Erotyczne treści...

A niby wokół czego kręci się ten świat?

Wokół dialogów Platona?

Podialogować trzeba, i to koniecznie, ale niech ktoś powie, że kobietom te inne treści - bynajmniej nie miał na myśli filozoficznych wywodów - są niemiłe. Dla kogo Agunia przywdziała seksowną szatkę z chomątem aż po pępek? Dla kelnerki? Taaaak. Chciała być podziwiana, a przede wszystkim chciała zarzucić mu na szyję pętlę za pomocą wizualnej manipulacji. Twarde piersi. Falowane westchnienia. Skłony nad cukierniczką. Spryciara kalkulowała, że jak zadziała odruch Pawłowa, piesek zamerda ogonem i zrobi dla swojej pani wszystko. Owszem. Zrobi, zaopiekuje się jej przyjaciółką. Ale nie z powodu dekoltu, który penetrował wzrokiem przez większą część wieczoru, bo niby czemu miałyby nie penetrować. Wyświadczy Aguni przysługę, bo ma taką fantazję i zawsze pomaga bliźnim. Prawie zawsze. A nad odruchami Pawłowa panuje.

I tyle.

Mieszkanie znajdowało się na parterze. Przeszedł korytarzem w głąb budynku, odnalazł właściwe drzwi i energicznie zapukał.

Odpowiedziała mu cisza.

Zadzwoił.

To samo.

Począł w napięciu jeszcze chwilę i wcale nie przeżywając idiotycznych dylematów, czy można, czy nie można, czy to kulturalne, czy wręcz przeciwnie - nacisnął klamkę i pewnym krokiem wszedł do środka.

W życiu nie wpakował się do cudzego mieszkania bez zaproszenia, ale teraz sytuacja była wyjątkowa. Najwyżej dostanie po pysku.

Już na klatce schodowej do jego nosa wtargnęła intensywny zapach kapusty. O wpół do pierwszej w nocy?! Co za brak litości wobec sąsiadów! Ledwie jednak uchylił drzwi, stało się oczywiste, że kuchareczką musiała być jego przysła towarzysza podróży. I jeszcze mniej zaczął rozumieć. Popęłniać jakieś kulinarne kapuściane dzieło przed wylotem do Afryki?

Wariactwo. Zawahał się. Czy on aby nie prześmierdnie? Wprawdzie wykupił bilety w klasie ekonomicznej, wołał jednak nie roztaczać wokół siebie woni bigosu. Kapustę lubił, nawet bardzo, ale czemu właśnie teraz...

- Haaaalo! Jest tam kto?! - rzucił w głąb lokalu, starając się nadać pokrzykiwaniu przyjazny ton, choć zaczynał być zły. Co, do jasnej? Baba - użył w myślach mało eleganckiego słowa

- powinna już stać z walizkami w przedpokoju! Niekoniecznie oczekiwał na powitanie czerwonego dywanu, który ścieliłby się u jego stóp, ale takie coś? A może bohaterka wieczoru siedzi gdzieś w buduarze i pudruje nosek?

- Prosimy przygotować się do odprawy paszportoweeej! - spróbował żartu, ale z podobnym skutkiem jak poprzednio. Nikt mu nie odpowiedział.

Nie mógł uwierzyć. Po prostu nie mógł uwierzyć! Baby nie było w domu - stwierdził to z całą, choć nieco ogłupiałą stanowczością, gdyż dokładnie sprawdził dwupokojowe mieszkanie wraz z łazienką. Walizka stała w większym z pokoi, zgadzało się. Ale gdzie właścicielka?

Sięgnął po telefon.

- Aga!

- Co? - usłyszał w odpowiedzi niemrawy głos koleżanki.

- Jeśli robisz teraz jakieś sprytne ćwiczonka gimnastyczne, co by było dziwne ze względu na porę...

- Właśnie, ze względu na porę. Obudziłeś mnie - wymamrotala Agunia nie bez pretensji.

- Przepraszam, ale ta twoja Lutka... Nie ma jej!

- Jak to jej nie ma? Stoisz pod drzwiami?

- Za. Wszedłem jak cham do środka. Ale najpierw się do-
bijałem. A jej nie ma. Dzwonię z mieszkania.

- Nie wiem, musiała wyjść do sklepu albo ze śmieciami, albo...

- O północy?!

- Poczekaj chwilę, na pewno zaraz wróci - usłyszał.

- A co robię? Czekam, ale się wkurzam. Samolot...

- Miałeś nie wypowiadać tego słowa w jej obecności!
- Cholera! W jakiej obecności? Co ja mam robić, nie mogę się spóźnić na... O, chyba już jest.

Tu Czarek przerwał połączenie.

Od strony drzwi balkonowych dało się słyszeć szuranie. A potem rozdarł się dzwonek.

Czarek przysiągłby, że dźwięk brzmiał, jakby wydobywał się z budzika - takie budzikowe larum pamiętał jeszcze z czasów szkolnych. Dalej było jeszcze dziwniej. Szuranie przeszło w ciągu krótkiej chwili w łomot. Ktoś chyba przejechał butem po balkonowej balustradzie, która wydała przy tym charakterystyczny stłumiony odgłos.

- Ożeż w mordę - dotarło z zewnątrz czyjeś sapnięcie i w pokoju objawiła się na klęczkach zakapturzona postać. Odstawiła na podłogę spory niebieski zegarek w kształcie pękatej chmury i z fantazyjnym rozmachem rzuciła na środek pokoju nic innego jak... siekierę! Czy może raczej siekierkę, bo narzędzie było niewielkich rozmiarów, jednak w obecnej sytuacji mimo wszystko przerażało.

Czarek zwątpił, ale jeszcze miał nadzieję.

Czy to aby nie wariatka z krzaków?

Starał się ocenić sytuację i podjąć jakąś konstruktywną decyzję.

Zostać?

Uciekać?

Postać tymczasem toczyła walkę z zegarkiem, który wciąż ręźliwie terkotał. Ze względu na wysoką częstotliwość dźwięk zaczął stawać się trudny do zniesienia. Manipulowanie pokrętkami najwyraźniej nie pomagało, pukanie o podłogę - również. Czarek już gotów był pomóc, ale osoba skrywająca się pod peleryną nie wytrzymała nerwowo.

- Wszystko przeciwko mnie! - wykrzyczała rozpaczliwie i niezgrabnym susem skoczyła do siekiery. Pewnie zamierzała na zawsze uciszyć wrzeszczący przedmiot, kiedy jednocześnie wydarzyły się dwie rzeczy.

Najpierw budzikowa chmura pojęła, że żarty się skończyły, i niespodziewanie zamilkła.

Później postać stanęła twarzą w twarz z Czarkiem.

Stała, niezbyt trzymając się pionu, z czym mogły mieć związek nadnaturalnych rozmiarów kalosze, w których tkwiła. Głowa kołysała się dziwadłu na boki, a czarne smugi na policzkach połyskiwały w świetle żarówki niczym wzory na wilgotnej jaszczurce. Z pewnym zafascynowaniem stwierdził również, że na jednej twarzy nie widział jeszcze aż tylu piegów! Ale oczy... Oczy w porządku. Ładnie patrzyły, trochę się śmiały i zdradzały, że ich posiadaczka ma niejaki problem z oceną zdarzeń.

Zachwiała się.

Czarka przeszła wstrętą myśl, że baba za chwilę przyczepi się mokrymi mackami do jego nowo zakupionej kurtki. Oj, zabolaloby! Przezornie zrobił więc krok do tyłu, ale nie udało mu się przy tej okazji ukryć niezadowolenia.

- O kurde - rzucił, a stojąca naprzeciwko kobieta czknęła z głębi trzewi, co wzbogaciło koloryt ich pierwszego spotkania o dodatkowy smrodek. Czyżby alkohol?

Kolejne czknięcie pozbawiło go złudzeń.

Alkohol!

Powinien teraz mknąć do Warszawy, a nie zajmować się zapijaczonymi rusalkami! Czy w ogóle tę wariatkę wpuszczą w tym stanie do samolotu? Kanał pełny, tym bardziej że nie mógł zająć rąk papierosem. Przemówiła do niego wiadomość, że w Nairobi wprowadzono zakaz palenia w miejscach publicznych - złamanie przepisu kosztowało trzydzieści dolarów. Jak kretyn wybrał więc dzisiejszy dzień na rozstanie z nałogiem, tłumacząc sobie rozsądnie, że Afryka to kontynent otwartych przestrzeni, a nie płatanina uliczek z kioskami, gdzie na każdym rogu można kupić paczkę fajek. Paczka fajek... Paczka fajek... Ale skoro jest jeszcze w Polsce, wyskoczy do nocnego i... Nie! Będzie twardy. Wściekły, podirytowany, nerwowy, nieprzyjemny, drażliwy, ale twardy!

Wyczerpany wewnętrzzną walką padł na wersalkę i podparł głowę dłońmi.

- Nie miał chłop kłopotu, to se zwał na głowę babę.

Lutka pomyślała chwilę. I już wiedziała.

- Se? Bardzo lubię se, jest takie wymowneee - powiedziała ze smakiem. - Se... se muszę zatrzymać powietrze, to mmmoże... hyyy... mi czkawka przejdzie. - Bawiła się doskonale, jak nigdy dotąd. - Znajomy Aguni? Pan do towarzystwa?

- Kto?

- Pan do towarzystwa - powtórzyła i skoncentrowała się na wstrzymaniu oddechu, co było o tyle trudne, że usiłowała przy tym unieruchomić tułów.

Sformułowanie raczej nie przypadło brunetowi do gustu.

- Znajomy, zgadza się. Ale z panem do towarzystwa coś ci się, laluniu, pod tym kapturem przemieszało nie tak jak trzeba.

- Niedbałym ruchem włożył ręce do kieszeni i rozejrzał się po pokoju.

Czkawka utknęła Lutce w żołądku.

Z wrażenia zapętlila się i zdechła.

Powiedział do niej „laluniu”?!

Albo zrewanżował się za „pana do towarzystwa”, albo facet zwraca się w ten sposób do każdej kobiety. Ta wersja pewnie spodobałaby się jej znacznie mniej, gdyby nie to, że w obecnym stanie ducha prawie wszystko ją bawiło. No, może z wyjątkiem budzika, który zamókł i chyba dlatego zwariował. Dobrze, że nie zabrała na zewnątrz komórki - zachowała chociaż tyle trzeźwości umysłu. Na jakiś czasomierz musiała zerkać, a zegarków na rękę nie znosiła. Alarm ustawiła przezornie pół godziny przed zapowiadzianym przybyciem wybawcy, bo bała się, że w wirze przygotowań straci poczucie czasu. Tymczasem znajomy Aguni zaskoczył ją i przyjechał wcześniej. Albo to ona poplątała coś z godziną.

I po co ten facet tak się rozgląda po kątach? Owszem, Lutka zrobiła remont mieszkania, ale serca do niego nie miała. Nie było dla kogo stworzyć przytulnej atmosfery, ot co. Poprzestała więc na odświeżeniu ścian i zakupie przedmiotów koniecznego użytku: wersalki, szafy, kilku regałów. Prosto i schludnie. I

starala się nie myśleć o wystroju wnętrza. Może kiedyś. Jak Robert wróci.

Zaraz, zaraz.

Pewne rzeczy dochodziły do niej jakby w zwolnionym tempie.

Wypuściła powietrze i jeszcze raz przyjrzała się mężczyźnie.

Kiedy stał naprzeciwko, widziała tylko zamek błyskawiczny jego kurtki. A teraz...

Ależ piękny był!

Agunia nie uprzedziła. Regularne rysy twarzy ułożone niby w uprzejmym dystansie, soczyście czarne włosy. I okulary! Lutce zawsze podobali się okularnicy. A ten tutaj mógłby występować w reklamach. Wyobrazila sobie jego twarz na plakacie w salonie optycznym i zachichotała.

- Zawsze chlejesz przed podróżą? - zapytał ironicznie, jakby w odpowiedzi na jej śmiech.

- Ja nie podróżuję. Nie lubię. - Z pewnym trudem przestąpiła z nogi na nogę. Kalosze Roberta były zdecydowanie za wielkie, cały czas musiała pilnować, żeby ich nie zgubić. - Ale siku to mi się chce! - Wcale nie zamierzała w ten sposób zakończyć swojej wypowiedzi. Widocznie alkohol rzeczywiście rozwiązuje język. Jeśli za chwilę nie pobiegnie do toalety, na podłodze powstanie kolejna kałuża, bynajmniej nie z deszczu. Zaczynała marznąć i najchętniej pozbyłaby się wreszcie ociekającej wodą peleryny.

Brunet znieruchomiał, uniósł z niedowierzaniem brwi i parsknął śmiechem. Wreszcie okazał jakieś ludzkie uczucia!

- Widzę, że zaczyna być intymnie. A już chciałem wstać i kulturalnie się przedstawić. Idź, idź, cmoknę cię w rączkę po...

- zawiesił głos i udał zgorzienie. - Albo lepiej nie. Przypominam, że o pierwszej musimy siedzieć w aucie. Do Warszawy będzie ze cztery godziny drogi. Pośpiesz się, jeśli łaska.

Lutka przytaknęła niemrawo i poszurała do łazienki. Hm. Bezpośredni facet, bez dwóch zdań. I rządzi się, jakby był u siebie. Wcale nie czując z tego powodu irytacji, pomyślała o

ostatnich słowach przystojniaka.

Za cztery godziny znajdują się na Okęciu. Po odprawie wejdą do kawałka rury z blachy, która posiada skrzydła i strasznie się trzęsie. Będzie ją smyrało w brzuchu, wgniatąło w fotel, zatka jej uszy. A przede wszystkim tony żelastwa stracą kontakt z ziemią i w każdej chwili będą mogły runąć w dół. Kiedy wieczorem przeglądała w wyszukiwarce strony dotyczące latania - o naiwności, w zamierzeniu miał to być krótki seans przygotowujący ją psychicznie do wizyty na lotnisku - struchlała jeszcze bardziej. Jej uwagę jak na złość przyciągały słowa brzmiące co najmniej wrogo: wrak, turbulencje, katastrofa, ofiary. Strach przed lataniem pojawił się po tym, jak przeżyła awaryjne lądowanie na lotnisku w Paryżu. Prawie dostała ataku serca! Do kraju wrócili autokarem, chociaż Robert klął na czym świat stoi. Kiedy więc narzeczony złapał okazję pracy w Mombasie jako lekarz w jednym z hoteli, Lutka pomachała mu na pożegnanie z tarasu widokowego i zaczęła odliczać dni do powrotu.

Ale Robert jakoś się z powrotem nie kwapił.

A po roku zaczął nawet przebąkiwać o przedłużeniu kontraktu. Coraz rzadziej dzwonił, nie przyleciał na święta wielkanocne, chociaż obiecał, a ostatnio dostawała od niego średnio dwa e-maile na miesiąc. Wymawiał się pracą. Efekty tej harówki widziała, owszem - dzięki przysyłanym przez niego pieniądzom kupiła niedawno mieszkanie - ale zaczęła się martwić o dalsze losy ich związku. Przecież planowali ślub! Tak źle znosiła samotność, że ostatnio zapragnęła nawet towarzystwa swojej przyszłej teściowej! Mamusia mieszkała na tym samym osiedlu i syn właśnie do niej kierował swoje pierwsze kroki po pracy. Dopiero kiedy nappełnił żołądek sutym posiłkiem, wracał do wynajmowanej przez nich wtedy kawalerki. Teściowa sprawdzała, czy jedynak nosi zimą szalik, odwiedzała go w pracy i kupowała synkowi koszule. Te wybrane przez Lutkę były „nieszykowne”.

Teściowej jednak nie zastała, i dobrze. Odwiedziła za to Agunię i po miesiącach wmawiania sobie i całemu światu, że

wszystko jest w najlepszym porządku, przeprowadziła z przyjaciółką szczerą rozmowę, nie wstydząc się łez rozpaczy. Agunia widziała tylko jedno rozwiązanie. Bez względu na swoje powietrzne fobie Lutka musi bezzwłocznie wsiąść w samolot i jeśli jej przyszłe małżeństwo miłe, frunąc do Roberta, którego pewnie zabawiała już jakaś flądra. Bardzo dobrze się składa, bo znajomy Aguni leci na ekspedycję naukową do Afryki i wesprze ją w podróży opiekuńczym ramieniem. Taka okazja nie zdarza się co dzień, opatrność wysyła znak. Opatrzności ignorować nie wypada.

Przyjaciółka wiedziała, że najskuteczniej przekona Lutkę, podejmując za nią decyzję. Następnego dnia okazało się, że znajomy zabukował już bilety dla dwóch osób do Nairobi. W stolicy Kenii Lutka przesiądzie się na lot krajowy do Mombasy i niedługo potem padnie w objęcia Roberta, który rozplacze się ze szczęścia - o wizycie narzeczonej oczywiście nie został uprzedzony. Agunia zalecałaby jednak padanie z lekkim opóźnieniem. Najpierw dyskretna obserwacja terenu i ocena sytuacji. Ale Lutka wołała rozwiązania proste i podobna myśl co najwyżej by ją oburzyła, więc przyjaciółka nawet nie wspominała o swoich pomysłach.

Lutka uzupełniła ten piękny scenariusz o dwa szczegóły. A raczej o trzy. Zamierzała dodać sobie przed wylotem odwagi paroma drinkami, to raz (słyszała, że to bardzo dobry sposób), dwa - w ramiona narzeczonego postanowiła się rzucić, trzymając w zanadrzu dodatkowy argument w postaci łazanek. Za łazankami Robert po prostu przepadał, a co najważniejsze, była to jedyna potrawa, która podważała talenty kulinarne przyszłej teściowej. Zamiast królewskiego dania w postaci delikatnych płatków ciasta w kapuście z kminkiem, mamie Roberta wychodziły twarde kluchy skotłowane w szarawej brei. Bardzo dobrze. Trzeci szczegół, czyli wycięcie krzaka przed oknem, stanowił czystą improwizację, na którą Lutce przyszła ochota po wprawieniu się w szampański humor właśnie odkrytym napojem alkoholowym o nazwie Breezer. Nazwa kojarzyła się z odświeżaczem powietrza, ale za to ten arbuzowy smak... Po-ezja!!!

Miły szumek w głowie zaczynał jednak z wolna ustępować miejsca niepokojowi. Jeszcze Lutce było wesoło, jeszcze bawiła ją sytuacja, w jakiej się znalazła - wtarabaniła się do własnego mieszkania w rozkładanych kaloszach, z siekierą w ręku oraz czkawką na ustach i zastała w nim obcego mężczyznę - ale już czuła, że zaczyna się z nią dziać coś nieprzyjemnego. Zwłaszcza w okolicy żołądka. A już całkiem zrobiło się jej obrzydliwie, kiedy popatrzyła w lustro.

Makijaż, na którego wykonanie poświęciła prawie godzinę, rozmazał się zupełnie!

Przypominała teraz uczestniczkę kinderbalu nieudolnie pomalowaną farbami.

Czarna rozpacz, i tyle. Znowu wszystkie piegi na wierzchu, tusz do rzęs... Szkoda gadać! Trzeba coś z tym zrobić. Ściągnęła pelerynę, walcząc z pokusą, żeby wejść do wanny, wziąć gorącą kąpiel i choć na chwilę zamknąć oczy. Na taki luksus nie mogła sobie jednak pozwolić. Przystojny znajomy Aguni czekał i nie wyglądał na zachwyconego, hi hi. O ponownym makijażu postanowiła więc Lutka pomyśleć dopiero na lotnisku w Mombasie. I odstawi upiększanie na cześć narzeczonego, a nie tego tu adonisa. Mówił, żeby się pośpieszyć. Dobrze. Łatwiej powiedzieć, trudniej zrobić. Przy każdym ruchu głową nachodziła Lutkę fala mdłości. Nieporadnie umyła twarz, poprawiła włosy i dopiero wtedy ruszyła na salony.

Pomiędzy pokojem a łazienką uświadomiła sobie, że całkiem zapomniała o Frydze! Jeśli weszła do wersalki, gdzie między ramą a wewnętrznym obiciem utworzył się tunel...

Przed wyruszeniem na lotnisko czeka ich jeszcze niezła zabawa.

Nawet nie wiedział, kiedy zasnął.

Deszcz pukał jednostajnie w szyby, w kurtce siedziało się miło jak pod ciepłym kocem. Ledwie wpadł w porozkładane na wersalce poduszki, już wędrował myślami po Czarnym Łądzie. Patrzył na horyzont, który wyglądał, jakby go ktoś pokrył po-

marańczowym pudrem, podziwiał intensywnie błękitne niebo nad gąszczami akacji. Było parno. Powietrze stało w miejscu, zwartą masą opierało się choćby najłżejszemu drgnieniu wiatru. Zaszło mu w ustach. I to tak, że bez bólu nie potrafił wy-mówić nawet słowa. A chciał prosić o wodę. Gorąco. Upalnie. Z trudem zwilżył wargi językiem i poczuł ulgę. Tym większą, że ślina napływała i napływała. Niespodziewanie jednak zaczęła gęstnieć, ślimaczyć się, wlewać do nosa...

- Aaaaaa! - Otworzył oczy i zobaczył jakiegoś włochatego stwora, który z jego klatki piersiowej zrobił sobie legowisko.
- Poszła! - W szoku zrzucił gwałtownym ruchem zwierzę na podłogę i dopiero wtedy zorientował się, że przegonił tchórzofretkę! Czy aby jej czegoś nie zrobił?

Upadła, przewalając się na bok, ale bardzo szybko podniosła się i popędziła do kuchni.

- Fryga! - Do pokoju weszła Lutka.

Czarek usiadł.

Owszem, bez workowatego wdzianka na grzbiecie babka prezentowała się o niebo lepiej. To znaczy o żadnych ochach i achach nie było mowy. Wolał kobiety wyrafinowane, a ta tutaj prezentowała typ, który określał mianem „naturalna kolej rzeczy”: bluzka 100% cotton i zero makijażu - ale pewnym mężczyznom mogła się podobać. Dzięki włosom, które wyglądały jak makaron świderki, i ogólnej... Drobności? Wszystko w niej było małe i drobne. Perkaty nos, usta. No i piegi: jak rozsypane na biszkopcie kakao. Chociaż figura całkiem, całkiem. Nawet świetna, jeśli miałby być szczery. A to co? Przyjrzał się kolczykom i z pewnym niedowierzaniem stwierdził, że zostały zrobione z łusek słonecznika. Dziwaczka jak nic. Makaron, biszkopt, kakao? Co za bzdury, czas ucieka!

Odruchowo sprawdził godzinę i postawiło go do pionu.

- Późno! Co to za szcur? - Skinął głową w kierunku drzwi kuchennych. - Szczepiony? Bo zostałem liźnięty.

- Szcur? Aaa, masz na myśli Frygę? Szczepiona. Fryga to tchórzofretka. Blee. - Dziewczyna pomasowała się po żołądku.

- Źle mi się dzieje z brzuchem. Pomożesz mi ją złapać?
Znowu się zaczyna!

- Moja droga... - zaczął, ale w kuchni coś brzęknęło o pod-
10gę.

- Chodź, będziesz pilnował drzwi. Ja wezmę transporter.
Pewnie znowu wlaźła za szafki.

Papierosa!!!

Czuł się co najmniej niekomfortowo - nie panował nad tym,
co się działo, a to, co się działo, zbyt długo rozwlekło się w czasie.
Jakie zbyt! Cholernie się rozciągało, cholernie!

- Musimy wychodzić!

- Przecież jej nie zostawię - usłyszał i odpowiedź mocno go
zaniepokoiła. Kiedy przeszukiwał mieszkanie, zobaczył
wysokie na pół metra pudło z prętów, które stało przy
walizce.

Dlaczego przy walizce?

- To znaczy? Chcesz ją zostawić w klatce - podpowiedział.

- Nie, klatka poleci z walizką.

- To znaczy? - zapytał ponownie i poczuł wpatrzony w
siebie oczy. Oczy spoglądające jeszcze bardziej
nieprzytomnie niż przed drzemką, którą sobie uciął.
Zauważył też, że Lutka już nie chichocze. Zamiast tego
oddycha coraz szybciej i nie przestaje masować okolic
żołądka. - Czy ten szczur leci z nami?

Nie odpowiedziała. Wysypała z małego pojemnika nieco
karmy na rękę i słabym głosem zaczęła przywoływać fretkę.
Czarek wycofał się do drzwi, ale w kwestii zwierza nie zamierzał
się poddać. W przelocie zaczepił wzrokiem o lodówkę i zobaczył
opakowanie po znanym mu leku. Zmroziło go. Jeśli ta kretynka
zażyła lek na malarię, i to ten, o którym ostatnio tyle złego się
nasłuchał, a potem popiła alkoholem...

Ożeż!

- Kiedy to połknęłaś? - Pokazał na srebrny kartonik.

- Niedawno.

- A drinknęłaś kiedy?

- Niedawno. Fryga! Jeszcze raz uciekniesz, to... To nie
wiem co, bo mi się słowa rozłążą. Pfff... Bardzo, bardzo, ale

to bardzo jest mi niedobrze.

- Uważaj! - zdążył krzyknąć.

Lutka bezwładnie odchyliła się do tyłu i gdyby nie podbiegł, osunęłaby się na posadzkę. Pomocy!!! Jeszcze nikt przy nim nie zemdłał! Co, on ma sztuczne oddychanie robić? Usta, cholera, usta?! A może łapać zwierzę, które, zaintrygowane zamieszaniem, wyjrzało z ukrycia? Powoli, tylko bez paniki... Położył dziewczynę na podłodze, a następnie zamknął drzwi.

- Zaraz cię dorwę. - Pogroził stworzeniu i stremowany uklęknął przy Lutce, którą zaczął delikatnie poklepywać po policzku. - Żyjesz, kobieto? Nie wygłupiaj się. Halo!

Na szczęście utrata przytomności nie potrwała długo, bo inaczej rzecz skończyłaby się i jego zejściem. Wszelkie medyczne szopki wprost go obezwładniały. Na szczęście to zwykłe zasłabnięcie, a nie na przykład poród. Krew nie tryska, nikt nie każe mu przecinać śliskiej pępowiny, łożysko nie... Tylko zasłabnięcie. Tylko! O, już lepiej. Co za ulga!

- W sumie jeszcze mi się nie przedstawiłeś. - Lutka po kilku chwilach otworzyła oczy i wymamrotała w miarę wyraźnie. Spojrzenie miała już przytomne, mógł się uspokoić. Uratowani !

- Trębacz. - Nawet próbował się uśmiechnąć, choć pewnie wypadło to blado. - Cezary Trębacz. Boję się powiedzieć: do usług, bo znowu coś się stanie.

Pięknie.

Coraz piękniej!

Naprawdę zostało niewiele czasu. Musiał zdecydować, co dalej. Wezwać pogotowie i jechać samemu do Warszawy czy zabrać podpitą i pewnie jeszcze zatrutą Lutkę do Afryki? Ta chyba znowu czytała w jego myślach.

- Jeśli polecisz sam - pociągnęła swoim śmiesznym, małym nosem i w tej samej chwili Czarek ostatecznie się poddał - to koniec świata. Koniec i kropka. Ze mną.

Cóż więc miał robić. Upewnił się, że przyjaciółka Aguni czuje się lepiej, podłożył jej pod głowę poduszkę i wziął się za łapanie szczura. Czas działać! Żadne tiu-tiu, żadne machanie przysmakami! Po prostu odsunął szafkę, zastawiając wyjście

kartonowym pudłem, które znalazł pod stołem. Następnie bez pardonu wcisnął prychającą kulkę sierści do plastikowej klatki z uchwytem - zdaje się, że w tym miała podróżować - i zaczął przenosić bagaże do auta. Tak jest. Szybko, sprawnie, bez sentymentów. Nie jego fretka, nie jego sprawa. Jeszcze walizka. A to co? Zawahał się przy mikroskopijnym plecaku z przymocowanym do zamka różowym łosiem. Że co to ma niby być?

Złapał pluszaka za nogi i ostentacyjnie zaniósł pakunek do kuchni niczym dowód zbrodni.

- Ile ty masz lat? - zapytał, potrząsając breloczkiem.

- Dwadzieścia pięć - doleciało z podłogi.

- Aha... Łoś? Różowy?

- Prawda, że ładny? Zastanawiałam się nad kacuzką i teraz żałuję. - Kpiła z niego! - Pewnie bardziej by ci się spodobała. A ty masz ile? Lat?

- Jak schodziłaś po drabinie na dywan, ja się już goliłem. Trzydzieści trzy. Kacuzkę przemilczę. Jakies dokumenty dla fretki zabierasz?

- Wszystko w plecaku.

- Z łosiem - dopowiedział nie bez obrzydzenia i dał biedakowi pstryczka w nos. - Takie infantylne duperelstwa świadczą o niezaspokojonej potrzebie czułości.

- Zajmij się swoimi potrzebami - usłyszał. - Pomożesz mi wstać? I nie krytykuj mnie, bo nic o mnie nie wiesz.

- To nie krytyka, kochanie, to hipoteza. A co do faktów, udowodniłaś, że jesteś nieodpowiedzialna. - Podał jej rękę i energicznie pociągnął do góry. - Schlałaś się i wzięłaś lek na malarię. I dziwaczka z ciebie. Kolczyki na przykład masz fatalne. Chyba że karmisz słonecznikiem tego swojego szczura i chcesz trzymać żarcie pod ręką. A raczej pod uchem.

W zamian otrzymał niby przypadkowe kopnięcie w kostkę, więc darował sobie subtelnosci. W drodze na parking po prostu rzeczowo uprzedził:

- Laluniu, jak mi zarzygasz wóz, to będę co najmniej nie-pocieszony.

Na lotnisko dotarli w ostatniej chwili.

Jeszcze piętnaście minut i pożegnaliby się z odprawą. Lutka przez całą drogę do Warszawy spała, ale raczej niezbyt spokojnie. Zwierz w klatce nieustannie się kręcił i skrobał w ścianki transportera, co Czarka trochę rozstrajało. W dodatku po kapuście chyba nadszedł czas na kolejną zapachową niespodziankę

- odkąd wsiadł do samochodu, nie mógł pozbyć się wrażenia, że coś wydziela dziwną i niezbyt przyjemną woń, której źródła nie potrafił ustalić. Po wielu latach nikotynowego nałogu powonienie nie działało mu jak zwykłemu człowiekowi, więc skoro zakręciło go w nosie, smród musiał być z tych bardziej okrutnych. Dopiero po godzinie doznał olśnienia. Tchórzofretka, jakże by inaczej! Ze też wcześniej na to nie wpadł! Małe, tchórzowate paskudztwo z falującą kitą. Wzdychając ciężko, jeszcze bardziej opuścił szyby i starał się skoncentrować na prowadzeniu auta.

Byle do Nairobi!

Tam zapakuje podchmieloną Lutkę razem z jej śmierdzącym pupilem do kolejnego samolotu, a sam polecą nad Logipi, gdzie będzie zwiedzał okolicę, zbierał materiały do pracy doktorskiej i grzebał w ziemi. Kto wie, może nawet dokona jakiegoś ważnego odkrycia?

Tymczasem odkrył jedno - gdyby nie to, że umówił się na Okęciu z bratem, który mieszkał w Warszawie i obiecał zaopekować się na czas jego wyjazdu autem, miałby nie lada kłopot. Lutka, walizki, monstrualnych rozmiarów klatka i transporter, w którym szalał zwierz. Za dużo jak na jednego faceta. Brat oczywiście dostał drgawek ze śmiechu, ale wziął Lutkę pod ramię i zaprowadził do hali odlotów. Czarek z ekwipażem podążył za nim.

I wtedy zaczął się przygód ciąg dalszy.

Najpierw okazało się, że na ciele Frygi nie można odnaleźć miejsca, gdzie wszczepiono chip identyfikacyjny. W końcu jednak poszukiwania zakończyły się sukcesem, ale kto trzymał śmierdzielkę, kiedy kilka par rąk grzebało jej w sierści? On,

rzecz jasna. Odprawa przebiegła nad podziw gładko - podczas kontroli osobistej Lutka wyprężyła się jak struna i samodzielnie przeszła przez bramkę - ale najgorsze wydarzyło się w samolocie, i to na samym początku. Odszedł z miejsca dosłownie na pięć minut, żeby zapytać o wodę, którą zamierzał uraczyć Frygę (zapewne mniej śmierdzi żywa tchórzofretka niż martwa), ale dokładnie tyle czasu wystarczyło, żeby Lutka przyozdobiła zajmowany fotel i wszystko naokoło tym, co skrywała do tej pory w żołądku. Na szczęście nie było problemu z przydzieleniem im nowych miejsc. Obsługa zadziałała niezwykle sprawnie, mógł nawet liczyć na pomoc przy odprowadzaniu Lutki do łazienki. Dopiero tam dotarło do niego, że towarzyszkę podróży należało umyć, a następnie przebrać! Kiedy zasugerował to stewardesie, spojrzała na niego zdziwiona i powiedziała, że mąż raczej nie powinien mieć z tym problemu.

Mąż!

Cha, cha!

Rozbawiła go straszliwie ta wizja. On mężem? Mężem facetki, której dyndał w uszach słonecznik! Zupełnie przecież do siebie nie pasowali i sądził, że było to widoczne także dla innych. Deficyt magii i przyciągania, ot, drobnostka. Skąd więc tak idiotyczna sugestia? Zresztą małżeństwa nie dla niego. Wszystko przebiega sprawnie i przyjemnie przez pierwsze pięć lat, później na drodze, czy już raczej ścieżce do szczęścia, piętrzą się gary, skarpetki, ziemniaki i inne świństwa. Codziennosc i pewność, że to na zawsze, zabija wszelkie pozytywne i romantyczne odruchy. Drugi człowiek nie jest już fascynującą zagadką, a staje się pytaniem retorycznym.

Pozwolić się na własne żądanie zamknąć w więzieniu, żeby stworzyć sobie pozory bezpieczeństwa? Bezpieczeństwa usankcjonowanego społecznie i religijnie? Nigdy.

Wolność!

To jest dopiero wartość.

Bez wolności uczucia zdychają, mutują. Zamierzał kiedyś stworzyć poważny związek, ale teraz czuł przesyt. Za dużo było ostatnio w jego życiu spódniczek, rozładował akumulatory tak, że potrzebował odpoczynku. Długiego. W przyszłości czemu

nie. Ale dlaczego od razu przykuwać się do kogoś na śmierć i życie kajdanami? Zawierać umowy w świetle prawa? Na śmierć i życie tak, musi być przecież prawdziwie. Żadnej fuszerki uczuć. Ale na śmierć i życie z szacunkiem dla wolności! Tylko w ten sposób.

Pokręcił z niesmakiem głową i zabrał się do rzeczy.

Lutka ledwo trzymała się pionu, ale posłusznie wyciągnęła ramiona, żeby ściągnął z niej bluzkę. I tak oto zajrzał... w ryje zadowolonych z życia świnek. Merdały zakręconymi ogonkami i komunikowały, że bawią się świetnie. Co prawda po takiej ekscentryczce trudno spodziewać się jedwabnej bielizny, dzięki której mikroskopijna łazienka stałaby się pomieszczeniem wręcz przyjemnie ciasnym, ale taki wzór na staniku? Może też na majtkach, kto wie.

No, ciało rewelacyjne.

I miłe w dotyku.

Gładkie.

He, he.

Czarek zerknął jeszcze raz na różowe paskudztwa i stwierdził, że nic już go nie zdziwi.

Mylił się.

Po doprowadzeniu Lutki do porządku wrócił na miejsce. Posłuszne dziewczę. Nie stawiała oporów, nawet starała się w milczeniu pomagać. Ciekawe, czy na trzeźwo też jest taka skora do współpracy.

Bo hegemonek Czarek nie znosił!

A znał takich terrorystek miłości wiele. Wymagały, żeby je wielbić, szaleć na ich punkcie, wyzbyć się zainteresowań i znajomych - słowo kumpel całkowicie zakazane. Czas wolny to samo. Każda chwila bez hegemonki jest chwilą wyrządzenia jej krzywdy. Każda samodzielna myśl to przestępstwo! Bo do niej należało wszystko. Ciało, dusza, czas, pieniądze. Aha, zapomniał jeszcze o pilocie do telewizora. Gdzie w tym całym cyrku tak zwana miłość? Nie wiadomo. Nie marzył bynajmniej, żeby na swojej drodze życiowej spotkać bezwolną kozę, którą z łatwością prowadziłby na postronku. W kobiecie musi drzemać siła, inaczej zamiast burzliwych rozmów, a tylko takie go

interesowały, wygłaszały monologi. A monologi są do niczego. To wiedział na pewno. Więc hegemonki precz z życiorysu. Wiwat kobiety z charakterem!

Właśnie zastanawiał się nad meandrami osobowości kobiety, która przypina różowe łosie do plecaka i nosi bieliznę w sam raz dla szczerbatej kilkulatki, kiedy usłyszał brzęczenie komórki. Swoją, zgodnie z obowiązującymi w samolocie przepisami, wyłączył.

- Dzwonią do ciebie, piękna - spróbował zagadać, ale Lutka nie wyglądała na kogoś, kto chciałby w tym momencie prowadzić ożywioną konwersację. Wyglądała na kogoś śpiącego kamiennym snem. Nawet nie usłyszy, że konwersację poprowadzi kto inny. Może to coś ważnego? Odebrać trzeba, ale dyskretnie, żeby nie został zauważony przez obsługę.

- Słucham - rzucił półgłosem do słuchawki, kiedy już odnalazł aparat wśród damskich drobiazgów.

Z tamtej strony przez chwilę trwała cisza.

- Ooooo... To ja słucham - wreszcie zabrzmiało. - I się dziwię. Gdzie Lutka? - W tonie dzwoniącego faceta Czarek usłyszał coś, co nie przypadło mu do gustu. Arogancję? Odebrał cudzy telefon, zgoda. Ale nie z nim te numery. Dziwne, że można poczuć do kogoś niechęć jedynie na podstawie głosu. Ale można. A że Czarek nie miał zwyczaju tłumić negatywnych emocji, postanowił dać im upust. Będzie zdrowszy.

- Śpi po nocy pełnej wrażeń - odparł, przyglądając się swojej kurtce, którą oddał sąsiadce. - Właśnie ją przebrałem. I szczerze mówiąc, też już jestem zmęczony. Wykończyła mnie totalnie. - Naraz pomyślał o sprytnych świnkach i uśmiechając się szelmowsko, dodał: - A ta bielizna...

Lutka zawsze unikała przystojniaków jak ognia, robaków i przechodzenia na czerwonym świetle. Nie miała z tym zresztą najmniejszych problemów, bo przystojniacy bynajmniej się do

niej nie pchali - wybierali kobiety zupełnie innego pokroju. A Lutka była sierotą.

Tak, totalną sierotą, nazwijmy rzeczy po imieniu!

I nie chodziło bynajmniej o to, że nie posiadała rodziców. Kiedyś wolała o sobie myśleć, że jest nieśmiała, ale w wieku dwudziestu pięciu lat rojenia jej przeszły. Nigdy nie będzie przebojową, pewną siebie, długonogą... No nie, przy wzroście metr sześćdziesiąt długie nogi siłą rzeczy odpadają, ale w jej przypadku odpadały także swoboda i śmiałość w kontaktach z ludźmi. Ludzie ją przytłaczali, zwłaszcza ci, którzy potrafili walczyć o miejsce w kolejce do lekarza, bić się o piętnaście deka wędliny, a nie o dwadzieścia, bo tak się akurat pani ekspedientce nałożyło, itd., itd. Przykłady można by mnożyć, wcisnięte Lutce przedmioty, których zakupu nie potrafiła odmówić, również. I nie tylko przedmioty - w ten sposób została właścicielką Frygi. Jedna z koleżanek musiała się pozbyć fretki ze względu na alergię syna i wcisnęła ją właśnie Lutce. Bo taka miła, nie ma rodziny, za to wielkie serce i na pewno kocha zwierzęta. Kochała, owszem, nawet bardzo polubiła Frygę, ale wiele zabiegów kosztowało ją, żeby w mieszkaniu nie śmierdziało. A przecież mogła grzecznie odmówić. Bardzo siebie za to nie znosiła. Bardzo.

Przystojniaków również.

Niebezpieczni, rozpuszczeni, grymaśni i próżni. I jakie nerwowe życie musi być z takim pięknišem. O nie! Ciągłe się zadrećzać, czy jakaś inna kobieta go nie kokietuje, czy on nie kokietuje innej. Stres, stres i jeszcze raz stres.

Ale czemu ona o tym myśli?

Skąd jej się ci przystojniacy wzięli?

Przecież leciała do narzeczonego!

Z głośnym jękiem otworzyła oczy i poruszyła się... w pościeli?

Spała w samej bieliźnie, po kołdrze nie było nawet śladu. Leżała omotana prześcieradłem, z którego delikatnie parował przyjemny zapach piżma. Bynajmniej nie pochodzący od Frygi - ta buszowała po klatce gdzieś w drugim kącie pomieszczenia i sądząc po odgłosach, miała się dobrze.

Zapach kojarzył się z mężczyzną - może stąd te półsenne

wizje?

Chwila, moment.

Ona jest już chyba na miejscu! Co prawda absolutnie nie wiedziała, jak tutaj dotarła, ale była w Mombasie. Przy Robertcie. Naprawdę tego dokonała! Uniosła głowę. O, psiakrew! Ależ wszystko zaczęło obłądnie wirować. Nieprzyjemne odczucia z czymś jej się kojarzyły, niejasno powodowały wyrzuty sumienia. Zaraz. Sięgnęła pamięcią do wczorajszej nocy. O nie! Czy naprawdę się upiła? Wycięła siekierką krzak i tym samym narzędziem chciała roztrzaskać budzik?

Ona???

I znajomy Aguni! Nawet nie pamięta, o czym z nim rozmawiała. W ogóle za bardzo nie pamięta, co się działo. Źle się poczuła, bardzo źle. Fryga uciekła, to na pewno. Potem majaczyły się jej męskie ramiona! Ale co w tych ramionach? Co tam robiła?

Lutka poczuła się zaskoczona.

Czy kiedykolwiek zrobiła coś równie głupiego? Co gorsza - po raz pierwszy w całym swoim życiu zrozumiała znaczenie słowa kac gigant.

Nie mając w tym względzie prawie żadnych doświadczeń, postanowiła korzystać z wiedzy innych. Na przykład z rad Roberta, który twierdził, że na kaca najlepsze jest... piwo. Puskę Lecha zapakowała do walizki właśnie z myślą o swoim wybranku. Będzie jak znalazł. Trudno, Robert zadowolony będzie jedynie łożankami.

A ona postawi się na nogi raz, dwa!

Wysoki ciemnoskóry mężczyzna podszedł do wiszącego na ścianie aparatu. Telefon przykrywała tłusta warstwa kurzu pomieszanego z dusznym powietrzem, w którym unosił się zapach ludzkiego potu. Dopiero tutaj zrozumiał, że człowiek może śmierdzieć na tysiące sposobów. Na tysiące odrażających sposobów.

On też śmierdział.

Strażnik za jego plecami z premedytacją uderzał drewnianą pałką w stojące na korytarzu krzesło.

To nic.

Wszystko dzieje się w umyśle.

Niech sukinyś wali, on musi zamienić z kimś kilka słów. Po prostu wyłączy świadomość, nie da się sprowokować. Nerwy mogłyby wszystko zepsuć, niepotrzebnie zwrócić na niego uwagę. A to teraz najważniejsze: wtopić się w tło. Nie istnieć. On jest tu tylko więziennym głupkiem, drobnym handlarzem pomiędzy innymi głupkami i degeneratami. Odwrócił się więc i uśmiechnął jak przestraszone dziecko. Takie, które czuje się winne. Podziałało. Otrzymał pałkę uderzenie, ale strażnik dał mu wreszcie spokój i zaczął spacerować.

Wystukał znany numer, a po kilku sygnałach usłyszał chropowaty głos Musy.

- To ja - rzucił do słuchawki. - Co słyhać?

- Wszystko dobrze.

- Wszystko?

- Obserwuję obóz - zapewnił Musa.

Ta gorliwość bardzo mu się spodobała. Na razie działał przy pomocy innych, ale nawet tu - w cuchnącej więziennej norze, gdzie dzielił trzyosobową celę z piętnastoma innymi więźniami, nie przestawał myśleć. Nienawiść napędzała mu krew i powodowała, że serce pracowało przeraźliwie szybko, jednak umysł pozostawał jasny. Oczywiście mógłby użyć swoich wpływów i wydostać się stąd bez najmniejszego problemu, ale nie chciał dawać nikomu do ręki informacji na swój temat. Tym bardziej że przedwczoraj pojawiła się inna możliwość. Postanowił ją wykorzystać. Wyjdzie na wolność, ale na zasadach, które sam ustali.

- Masz tam być, a nie obserwować.

- Będę.

- Cieszę się. Kiedy?

- Pewnie już dzisiaj. - W głosie Musy usłyszał zadowolenie.

- Na jutro też coś przygotowałem.

- Oooo...

- Pojedynczo, tak jak mówiłeś.

- Pojedynczo - przytaknął. - Żeby bardziej bolało. Tylko wybierz dobrze. Pierwsza osoba jest bardzo ważna. I nikomu z naszych ani słowa, przypominam. Weź swoich ludzi, tak jak się umawialiśmy.

- Wiem. Już czekają.

- Ja też poczekam, aż przywieziesz forszę. Dużo forsy. Na piątek. Bo wychodzę.

Zaśmiał się na samą myśl o zamieszananiu, jakie zamierzał wywołać. Przyjemnie było delektować się tym, że to, co planował, przypominało wrzucony do jeziora kamyk. Że niedługo zaczną się rozchodzić po wodzie kręgi. Coraz szersze i szersze. Po sam brzeg.

- Aha - dodał, zanim skończył połączenie. - Tylko pamiętaj... Gdybyś musiał się z kimś na zawsze pożegnać, nie obcinaj mu głowy. To by było jak podpis.

Lecieli cały dzień.

Cały okropny dzień trzymania kolan prawie pod brodą! Czarek nie zaliczał się do krasnali, dlatego we wszelkich pojazdach i miejscach, gdzie należało zginać nogi, po paru kwadransach cierpiał z powodu długości odnóży, z którymi nie bardzo wiedział, co robić. W samolocie starał się rozprostowywać kości podczas spacerów do toalety, jednak to pomagało na krótko. Co innego Lutka. Jako jedyna osoba na pokładzie leciała do Afryki, nie odczuwając trudów podróży. Zmęczona po pełnej atrakcji nocy przespłała wiele, wiele godzin. Ocknęła się dopiero podczas lądowania w Nairobi.

I stało się oczywiste, że jego marzenia o rozstaniu z przyjaciółką Aguni to mrzonki.

Alkohol i środki antymalaryczne są niestety bardzo pechowym połączeniem. Lutka, błada jak ściana, w dalszym ciągu ledwo powłóczyła nogami. Pokładała się na każdej ławce, na której ją posadził, żeby poradzić sobie najpierw z zakupem wizy, a potem z bagażami. Znajdowali się na Jomo Kenyatta International Airport - lotnisku międzynarodowym, a za szy-

bami hali rozlewała się noc, która przychodziła tu wcześniej, bo około dziewiętnastej. Na domiar złego lot do Mombasy został z niewiadomych przyczyn przesunięty o dwie godziny, a na jakiegokolwiek zapytania czarnoskóry urzędnik w okienku grzecznie, ale dość flegmatycznie odpowiadał, że nastąpił kłopot, i kończył swoją wypowiedź słowami: *pole,pole*, co oznaczało „spokojnie, spokojnie”.

Czarek nie miał czasu na rozważania.

I nie czuł się spokojny.

Nie zostawi Lutki samej, chociaż lotnisko wyglądało imponująco i śmiało twierdzić, że standardem przewyższało niejednego polski port lotniczy - a on, nie wiedząc czemu, wyobrażał sobie chatę krytą trzcina i klepisko, gdzie przy dźwiękach tam-tamów wykrzykuje się zapowiedzi lotów. Tak samo nie przypuszczał, że gdzie nie spojrzy, zobaczy ochronę albo żołnierzy. Cóż, podróże kształcą, stwierdził, podziwiając nowoczesną architekturę wnętrza i organizację pracy ciemnoskórych mężczyzn ubranych w schludne uniformy. Jednak po wszystkich informacjach, jakie wyczytał w przewodnikach, mówiących, że Nairobi to jedno z najniebezpieczniejszych miast na świecie, Carek wolał zachować ostrożność i dmuchać na zimne. Podczas ostatniej telefonicznej rozmowy z profesorem usłyszał, że w czerwcu podłożono w centrum miasta bombę, w wyniku czego zostało rannych trzydzieści osób. Przez głowę przeleciały mu też wszystkie uroczyste treści artykuły o Mungiki: „Około 500 ciał znaleziono w Nairobi”, „Policja wypowiedziała sekcje ostateczną wojnę. Polała się krew”. I on miałby zostawić tu samotną kobietę? Nie mógł tkwić z Lutką w poczekalni przez dwie godziny, a potem dowiedzieć się, że samolot ma kolejny kłopot, a coś mu mówiło, że taki scenariusz jest bardzo prawdopodobny. Przecież gdzieś na płycie lotniska czekał już na niego umówiony transport, nie wypadało więc dłużej nadwierać cierpliwości pilota. Z drugiej strony... Co on powie w obozie?

Wyświadczone mu wielką grzeczność, zapraszając do udziału w wyprawie, za którą, oprócz kosztów podróży, jak na razie nie zapłacił ani grosza.

A teraz zjawi się z babą i futrzanym tchórzoszczurem?

Trudno, coś wymyśli. Lutka leci z nim! Przecież Logipi to nie koniec świata, a w obozie dysponowano samolotem. Zawsze można dostarczyć kobietę z powrotem do stolicy. Gdyby ją tu zostawił - samą, w nocy i chorą - nie zaznałby spokoju. Jeszcze tylko uprzedzi Agunię.

Niespodziewanie z megafonów zabrzmiał komunikat w języku angielskim, który był skierowany... do niego!

- Pan Cezar Trebac, który przybył do Nairobi lotem 14567, proszony jest o podejście do punktu informacji, gdzie oczekuje go przedstawiciel ekspedycji naukowej.

Rozejrzał się jak ktoś potrzebujący pomocy i zaraz ją otrzymał. Jeden z pracowników lotniska pomógł Czarkowi przy bagażach, on sam zajął się Lutką, której wytłumaczył w skrócie, co się dzieje, choć za bardzo nie miał pewności, czy cokolwiek zrozumiała. Słyszając o dalszym przebiegu podróży, bez słowa protestu pokiwała głową, a następnie poprosiła o wodę.

Po krótkiej chwili ruszyli za ochroniarzem.

Przy stanowisku informacji Czarek już z daleka zobaczył olbrzyma! Przyjrzał mu się badawczo, jakby przeczuwając, że imponujący wielkolud stoi tu właśnie z jego powodu. Mężczyzna w wojskowych spodniach i koszulce opinającej gigantyczne mięśnie trwał w swobodnym rozkroku. Posturą nasuwał skojarzenie z hebanowym drzewem wyrastającym z błyszczącej posadzki. Spokój i siła były od niego na odległość. Najwyraźniej kogoś wyczekiwał. Z założonymi na piersi rękami wyciągał na boki mięsistą szyję i wodził wzrokiem po twarzach mijających go ludzi. Widząc wbite w siebie spojrzenie Czarka, poruszył się, a po chwili zastawił im drogę.

- Cześć. Ty jesteś... - przemówił poprawną angielszczyzną.

- Trębacz - wszedł mu w słowo Czarek i wyciągnął na powitanie wolną rękę. Drugą przytrzymał Lutkę. - Cezary, polskiego zdrobnienia ci oszczędzę.

- Festus Kijata, pilot. - Olbrzym błysnął zębami i w nieudawanej serdeczności zmiądzzył Czarkowi dłoń. Z troską przyjrzał się jego towarzyszcze. - Żona źle się czuje?

Przejął dowodzenie, nie zostawiając choćby chwili na prote-

sty.

- Ja pomogę - oświadczył i wziął Lutkę na rękę, jakby była lżejsza od strusiego pióra. - Musimy się śpieszyć, bo profesor ma kłopot. Ktoś zamordował kucharza.

Piwo zdecydowanie pomogło.

Wszelkie wyrzuty sumienia Lutce przeszły. Co tam znajomy Aguni i jego ramiona! Ważne, że jakoś przeżyła lot i wreszcie jest w Mombasie. Wszystko się wyjaśni, szczerze porozmawia z Robertem, w końcu nacieszą się swoim towarzystwem. Czekają ich romantyczne spacerunki nad oceanem, wspólne kolacje, może nawet wycieczka po Kenii? Czytała o Masajach i ich rezerwacie, chętnie pojechałaby też do Tanzanii, żeby zobaczyć ośnieżony szczyt Kilimandżaro. Słońce, wiatr, egzotyczne owoce, lwy, słonie, żyrafy o długimi rzęsach. I ona to wszystko zobaczy na własne oczy!

Usiadła na łóżku i z ciekawością rozejrzała się dookoła.

I aż nie chciała wierzyć.

Robert mieszkał w tak spartańskich warunkach?

Jej się podobało, lubiła prostotę, ale Robert?

Bez telewizora i sprzętu grającego? W zwykłej izbie, bo cztery ściany zbite z desek w pełni zasługiwały na tę nazwę? Owszem, panował tu porządek, miło się siedziało w plamie słońca padającego przez niewielkie okna - drewno ożywczo pachniało lasem, podłoga i meble były czyste, ale na stoliku, łóżku, dwóch krzesłach i szafie wystrój wnętrza absolutnie się kończył. Gniazdko w sam raz dla kontemplującego swoje wnętrze dalajlami, nie dla Roberta, który lubił otaczać się eleganckimi przedmiotami. Pod tym względem był niestety snobem i jeśli chciał kupić choćby elektroniczny drobiazg, oprócz parametrów liczył się także wygląd. Jak maniak, dotąd włóczył się po sklepach, aż znalazł to, co sobie w swoim estetycznym szale uroił. Jeśli szukał telefonu komórkowego, koniecznie musiał być w kolorze srebrno-czarnym, żeby pasował do teczek. Jeśli kupował komputer, to tej samej firmy co telewizor. Owszem,

drażniły ją te próżniackie kaprysy, na których zaspokajanie traciło się mnóstwo czasu, ale lepsze już chyba kaprysy niż to, co robiła ona - godziła się na wszystko, co jej podsuwano. Byle uciec ze sklepu, byle nie czuć się przed ladą jak idiotka niepotrafiąca niczego wybrać.

Gdzie ona się w takim razie znalazła?

Bo przecież nie w hotelu Sapphire!

Na zdjęciach widziała stonowane pokoje w odcieniach brązu i piasku.

Może Robert nie mógł nikogo oficjalnie (co za bzdura!) gościć i ulokował ją w tej szopie tymczasowo?

Chyba z nią naprawdę źle, niby całkiem wytrzeźwiała, ale to piwo... Czując w głowie łomotanie, choć nieco mniej dotkliwe niż przed kwadranssem, zwlokła się z łóżka, żeby wyrzucić przez okno.

- Jesteśmy w Afryce! - przywitała radośnie Frygę, która znieruchomiała na jej widok z jakimś smakołykiem w łapkach.

- O, ktoś cię uraczył śniadaniem - odnotowała przyjemnie zaskoczona, gdyż wiozła tu pupilkę gnębiona poważnymi obawami. Robert nie był zwolennikiem trzymania w domu inwentarza i bała się, że na zwierzę może zareagować nerwowo. Kiedy mieszkali razem, nie marzyła nawet o kanarku, a co dopiero o tchórzofretce, która wydzielala charakterystyczny zapach i dla narzeczonego estety mogła okazać się niekoniecznie pożądanym współlokatorem. Trudno. Nikt nie chciał spędzić dwóch miesięcy na opiekowaniu się Frygą, chociaż Lutka próbowała pertraktować ze wszystkimi swoimi znajomymi. Więc co niby miała robić? Wygonić ją do parku?

- Twój nowy pan chyba cię polubił - stwierdziła z zadowoleniem i sprężystym krokiem ruszyła do okna, uśmiechając się na myśl o wesołej rodzinie, jaką we trójkę stworzą.

Odsunęła moskitierę.

Hotel Sapphire znajdował się co prawda na Mwembe Tayari Road - nieopodal dworca kolejowego, w ścisłym centrum Mombasy - i Lutka oczywiście wiedziała, że

wyglądając na świat, może co najwyżej zobaczyć palmy na tle starej ulicy handlowej i wózki sprzedawców pomarańczy. Żadnej błękitnej tafli oceanu się nie spodziewała, jednak widok, który malował się za oknem...

Już kiedy po raz pierwszy otworzyła oczy i spojrzała w drewniany sufit, powinna się była przestraszyć. Powinien ją także zastanowić całkowity brak charakterystycznych dla miasta odgłosów, ale Fryga miotła się po klatce z takim zapamiętaniem, że wszystko zagłuszała.

Nie było miasta.

Nie było palm.

Na zewnątrz trwała upalna cisza, jeśli nie liczyć dochodzących gdzieś z oddali pokrzykiwań ludzi.

Parę metrów przed domkiem wyrastała ściana ziemi. Ale dziwna - jak wielkie wypieczone ciacho z otrębami, w którym tkwiły kawałki czarnej czekolady oraz kryształki trzcinowego cukru. Zwału piachu nie porastała bynajmniej trawa, ale jakaś jej sucha imitacja, a na zboczu przycupnęły zmarniałe strzępki kolczastych krzaków. Co to ma być? Już chciała skoczyć do drugiego okna, kiedy coś zaskrobało w ścianę domu.

Zza rogu wyjrzała ciemna buzia kilkuletniego chłopca.

Śliczny był!

Maluch zobaczył Lutkę i przestraszony szybko się schował, ale po chwili ciekawość zwyciężyła i zerknął znowu. Zerknął, obrócił wielkimi czarnymi oczami w inną stronę, a potem uśmiechnął się, jakby w coś grał. I ta gra bardzo go cieszyła.

- Nie bój się. - Lutka miała nadzieję, że chłopczyk zna angielski. - Cześć. Jakie to miasto? Mombasa? Jesteśmy w Mombasie? - usiłowała uzyskać jakiegokolwiek potwierdzenie. - Poczekaj chwilę! - Postanowiła spróbować przekupstwa, widząc, że Bambo, jak go zaczęła w myślach nazywać, walczy z chęcią ucieczki. Rzuciła się do swojego plecaka położonego pod drzwiami i odpięła różowego łosia. Może w ten sposób czegoś się dowie? Poza tym maluch wyglądał na sympatycznego, te piękne oczy patrzyły Lutce prosto w serce. Przekupstwo czy nie, chciała mu coś ofiarować. Tak po prostu.

- Jesteś? - zawołała i wychyliła się przez okno, zastanawiając się, czy za chwilę nie polecą na łeb na szyję prosto w dół. Piwo poradziło sobie z kacem, ale nogi jakby się jeszcze odrobinę plątały.

Chłopiec nie odpowiedział. Popatrzył na nią i wyszedł zza ściany. Widać było, że ciekawi go ta pani z żółtymi włosami i śmiesznymi kropkami na twarzy.

- To dla ciebie. - Lutka wyciągnęła rękę z maskotką. - Proszę, weź.

Bambo znowu walczył z nieśmiałością, ale łos miał tak zabawną minę i tak różowo lśnił w słońcu, że chłopiec podjął decyzję. Trzymając się desek domku, podszedł bliżej.

Nosił na sobie tylko coś, co Lutka nazwałaby spódniczką. Poszarpany materiał w kolorze kawy z mlekiem swobodnie układał się wokół jego ciemnego ciała. Na szyi, podobne do biedronek, spoczywały czerwono-czarne koraliki, które sprawiały, że ta mała postać emanowała energią. W końcu znalazł się przy oknie. A potem nerwowym ruchem wydarł Lutce zabawkę z ręki i aż zapał z zachwytu. Wpatrywał się zafascynowany w pluszaka, oglądał go ze wszystkich stron jak najcenniejszy skarb, ale nadal milczał.

- Fajny łos, bardzo go lubiłam, ale jestem już chyba na niego za stara. Więc ty się nim baw. Czy to jest Mombasa?

Chłopczyk popatrzył jej uważnie w twarz i spoważniał. Po czym uciekł!

- No tak. - Lutka pociągnęła nosem i zamierzała się pogodzić z przegraną, ale Bambo wracał! Wracał, ściskając w dłoni jakiś drobiazg.

- Co to? - Nachyliła się, żeby przyjrzeć się temu czemuś z bliska. - Nie wiem, ale bardzo ładne. - Posłała małemu uśmiech, bo najwyraźniej tego oczekiwał. Stał pod oknem i na wyciągniętej do góry rączce pokazywał jej z zadowoloną miną...

Żółtawobrazową KOŚĆ!

Dziwna zabawka, ale znalazła się przecieź w Afryce, gdzie dzieci nie psują sobie poczucia estetyki lalkami Barbie i Bionicle'ami potrafiącymi przestraszyć nawet dorosłego. Tu

dzieci są biedne i nie wymagające. Trenują wyobraźnię, bo mają do dyspozycji jedynie kamienie, koraliki, sznurki i... kości.

Czy to był prezent?

Bambo patrzył jej w oczy z napięciem, które zelżało, dopiero kiedy Lutka przyjęła podarunek. Ledwie to uczyniła, maluch podskoczył ze szczęścia. Pomachał wesoło na pożegnanie i znowu zniknął. Gdyby nie to, że trzymała w dłoni dziwną i dość obrzydliwą rzecz, pomyślałaby, że śni. Biegące na boki kostne wyrostki układały się w podkowę, która wyglądała jakby była pokryta rdzą. Nie znała się na anatomii, to coś równie dobrze mogło pochodzić od słonia, lwa czy zebry.

Obojętne.

Da kostkę Frydze, na pewno się ucieszy. Wrzuciła prezent do klatki, a potem podeszła do okna przy drzwiach. O kości natychmiast zapomniała.

Wulkan!

Tam, w oddali, na tle pomarańczowych wzgórz i rozlewającego się jeziora. Wielki i imponujący, pomarszczony po bokach jak tort z zastygłą na brzegach czekoladą. Wyrastał z ziemi i górował nad okolicą. Patrzyła na najprawdziwszy wulkan! Musi tam pobiec, żeby się przekonać. Żeby się nacieszyć. Nie! Moment. Co ona wyprawia?

Najpierw ubranie, potem odnajdzie Roberta, potem...

Dopiero teraz przeniosła wzrok na to, co znajdowało się bezpośrednio za oknem.

O rany!

Wokół, jak na jakimś osiedlu, stały inne domki. Było ich w sumie sześć. Identycznych. Małych, drewnianych, takich, jakie spotyka się w ogródkach działkowych. Każdy z tarasem przed wejściem. Prawie poczuła się swojsko. Jednak na placu, który powstał z usytuowania budynków, stało składane krzesło, a na nim rozpiekał się leniwie czarnoskóry mężczyzna i wcale nie nasuwał swoją osobą skojarzeń z działkowcem. Przede wszystkim był przeogromny. Nawet z oddalenia wyczuwało się w nim niezwykłą siłę. I chyba nie była to tylko siła fizyczna. Coś w jego

swobodnych, ale starannych ruchach mówiło Lutce, że olbrzym jest postacią wielką nie tylko ciałem. Zaciekawil ją, postanowiła szybko się ubrać i nawiązać pogawędkę.

Niespodziewanie poczuła się szczęśliwa.

Dziwne, przecież nic się nie stało.

Bambo, jakaś paskudna kostka, wulkan, do którego można pobiec, drewniane domki. Tyle nowego dookoła.

No i Robert.

Tak, tak.

Robert.

Narzuciła sukienkę i wykonała makijaż maskujący. Po prostu przykryła pudrem piegi i pomalowała oczy, żeby nikogo nie straszyc wyglądem.

A teraz porozmawia z czarnoskórym, zapyta o narzeczonego

Kiedy otworzyła drzwi, mężczyzna na jej widok odłożył gazetę i stanął na baczność. Uśmiechnął się przy tym serdecznie i już sam uśmiech wystarczył, żeby Lutka go polubiła.

- Festus Kijata, pilot - mężczyzna przedstawił się po angielsku i zasalutował, po czym stanął już w pozie swobodnej, ale niepozbawionej grzeczności.

- Lutka.

- Miło mi poznać.

- Jesteś żołnierzem? - odważyła się spytać.

- Tak jest. Ochraniam obóz i obsługuję samolot.

- Obóz... - Lutka jeszcze raz rozejrzała się dookoła.

- No dobrze. A jak daleko stąd j est ocean?

- Ocean? - Tym razem zdziwienie wyraził Festus.

- W sumie ocean może zaczekać. Teraz najbardziej przydałby mi się mój... mąż - Lutce nieco zadrżał głos. Z tym mężem skłamała, ale bała się, że panują tu inne zwyczaje. A jeśli kobieta nie może mieszkać pod jednym dachem z mężczyzną bez ślubu?

- Aaa, mąż. - Pilot uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Mąż poszedł tam - wskazał w kierunku jeziora i wykonał zachęcający gest ręką. - Proszę się nie bać, iść. Powinien być na lewym brzegu.

- A co to za... jezioro?

- Logipi. Miejscowi nazywają je Namakat. Tylko czasem z niego nie pij! - przestrzegł. - Jest alkaliczne i bardzo słone. Wodę mamy ze źródła w górach. Dostaniesz przydział.

- Przydział? Czego?

Zanim Lutka zdążyła wyjaśnić niezrozumiałą dla niej kwestię, Festus przesłonił ręką oczy i ucieszony zawołał:

- O! Chyba twój mąż właśnie wraca.

Mężowi wypadło wybiec naprzeciw, co Lutka uczyniła. Nie widziała go ponad rok! W połowie drogi zatrzymała się jednak raptownie. Bieganie na obcasach po kamieniach przypominających chrzęszczący pumeks niezbyt jej wychodziło. Poza tym widoczny w oddali facet wcale nie przypominał Roberta.

Wcale, ale to wcale!

Olbrzymowi coś się pomyliło. Robert był szczupłym blondynem, który idąc, kiwał się zabawnie na boki. A ten... Brunet. Jego czarne włosy wyraźnie zaznaczały się na tle niebieskawo-żółtego krajobrazu. Szedł swobodnie, jakby spacerował po deptaku. Jedną rękę trzymał nonszalancko w kieszeni, drugą swobodnie wybijał rytm kroków. I chyba miał lekko krzywe nogi. Jak kowboj. Nie, to nie Robert - chudzina i źdźbło. Chwila! Im bliżej znajdował się nieznajomy, tym większe rosło w Lutce napięcie.

Ona знаła tego faceta, na pewno go już widziała.

Ale gdzie?

Jest w Afryce, tu nie...

Pan do towarzystwa, kumpel Aguni, no przecież!

Tylko czemu tutaj???

- No, cześć, piękna. Wypałaś się w końcu? - usłyszała, kiedy stanął tuż przy niej i bacznie obrzucił ją spojrzeniem.

- Możesz mi wyjaśnić, gdzie ja jestem? I czemu ty tu jesteś?

- Hmm. Cieszę się, że się cieszysz na mój widok. Dzień dobry, odpowiadam na twoje wdzięczne powitanie. - Uśmiechnął się olśniewająco. - Prawda, że cudne mamy widoki?

W jednej chwili Lutka przypomniała sobie kolejne szczegóły

poprzedzające wylot. Może nie była to zwarta historia ułożona w łańcuch przyczynowo-skutkowy, ale... Upiła się. Jak już wiadomo (o zgrozo!), wycięła krzak przed oknem. W mieszkaniu zastała tego tu, potem...

- Dzień dobry - wydukała niechętnie.

- O widzisz, zacznasz mówić jak człowiek. Dzień dobry, kochanie.

- Nie jestem twoim kochaniem.

- No pewnie, że nie jesteś. Mówię tak do każdej kobietki. Kochanie. Imion nie pamiętam - wyjaśnił z dumą. - Poza tym to niezły patent, bo mi się żadna nie myli.

- Domyślam się - mruknęła, obserwując jego profil. Bardzo męski profil, niestety.

- Źle się domyślasz. Mam zwyczajną dysleksję. Kłopot z zapamiętywaniem słów, kłopot z ortografią.

- Przepraszam cię bardzo. Interesujące to wszystko, ale... Gdzie ja jestem?

- Wyjaśnienie ci się należy, fakt - westchnął jakby zakłopotany, ale Lutka widziała w jego oczach rozbawienie i zaczynała ją to doprowadzać do szału. - W Nairobi odwołali lot do Mombasy, a ja nie mogłem czekać ani zostawić cię na lotnisku, bo byłaś zbyt nachlana czy raczej nieprzytomna. Poleciałaś ze mną. Jesteśmy w północnej Kenii. Jezioro Logipi. Podać ci współrzędne geograficzne? Kochanie? - dołożył na zakończenie z wyczuwalną przekorą i zaczął głośno przeżuwać gumę.

Północna Kenia?!

- Ale ja muszę do Mombasy! - wykrzyczała z rozpaczą.

- Muszę... Nie lepiej powiedzieć: chcę? I poprosić?

- Słuchaj! Wiesz, gdzie ja mam twoje pseudolingwistyczne wywody?

- No, słucham. Gdzie? Szczypta pikanterii by się przydała.

Bezczelny! Chyba świetnie się bawił. Czy ona spotkała kogoś bardziej irytującego? Nie spotkała. Tak bardzo działał jej na nerwy, że nie zdążyła pomyśleć o kulturze, o tym, że drugiego człowieka należy traktować z szacunkiem, że... Po łomotaniu w głowie nie było już śladu. Przy nim cała jej nieśmiałość się

ulatniała. Nie istniała. Przepadała po prostu! Lutka najchętniej by go ze złości ugryzła.

- Nie, ko-cha-nie - ostatnie słowo wymówiła bardzo dobitnie. - Nie dam ci tej satysfakcji. Chcesz mnie pouczać, chcesz mnie wyprowadzić z równowagi.

- Już jesteś wyprowadzona.

- ...ale to ci się nie uda. Ja sobie poradzę. Sama! - powiedziała, po czym odwróciła się na pięcie.

Ten miły Festus jej pomoże, jest przecież pilotem. Zaraz! Pilotem? Czy to oznacza, że znowu będzie musiała... Wsiąść do samolotu?!

Przystanąła. Brunet po chwili znalazł się obok. Zadowolony aż miło.

- Co tam? - łaskawie zapytał, bynajmniej nieprzejęty jej zdenerwowani em.

- Czy stąd odjeżdża jakiś pociąg?

- Cha, cha! - zarechotał. - Dziecinko, pojmij, że północna Kenia to koniec świata. Tu nie ma pociągów, nie ma cukierków miętowych i szamponu Vichy. To Afryka. Bardzo czarna i bardzo niebezpieczna. Tu jest wojsko. Tu są karabiny. I życie znaczy tyle samo co śmierć.

Sukienkę miała fajną, chociaż znowu cudaczną. Chyba zrobioną na szydełku, ale niestety nieprzezroczystą. Dół obszyty koralikami, które miło brzęczały, kiedy ruszała tyłkiem. Ciekawe, czy ten ciuszek to znowu wyrób własny. Tak jak kolczyki ze słonecznika. Najwyraźniej wysyłała komunikaty, że jest oryginalna. I może była. A może czuła się niezbyt pewna siebie i w ten sposób nadrabiała - wmawiając otoczeniu, że Lutka to dziewczę inne niż wszystkie. W każdym razie lubił z nią rozmawiać. A już droczyć się lubił z nią na pewno.

- Festus może cię zabrać do Mombasy - poinformował, usiłując ją dogonić.

- Kiedy? - padło po chwili milczenia.

- Tu może być problem.

Zatrzymała się i wyraziła swój niepokój w jednym słowie:

- Czemu?!

- Jak by to powiedzieć, żeby cię nie przerazić...

- Tu jest wojsko, tu są karabiny! - przedrzeźniała. - Życie, śmierć! Już mnie przeraziłeś. Potrafisz jeszcze bardziej?

- Zawsze można coś zrobić bardziej.

- A bardziej miłym też można być?

- Na ambicję mi nie wjeżdżaj, laluniu, bo to ci się nie uda - oznajmił nieco pobłaźliwie. Uwielbiał rozszyfrowywać ludzkie zachowania. Owszem, dawało to pewną przewagę i dla tej przewagi mówił czasem niektórym różne rzeczy, ale Lutka zwyczajnie go bawiła, nie zamierzał jej niczego udowodniać. - Chyba że chcesz się poczuć panią sytuacji. A to by oznaczało, że się nie czujesz.

- Czemu może być problem? Żebym poleciała do Mombasy - ucięła temat i zapytała niby spokojnie, ale widział, że walczy, żeby znowu nie wybuchnąć. Dobrze, przecież denerwował ją tylko dlatego, że chciał się o niej czegoś dowiedzieć. Trochę sprowokować... Lepiej przyhamuje.

- Zamordowano kucharza - rzucił.

Zatrzepotała rzęsami, niepewna, czy nie stroi sobie z niej żartów. Zdanie wypowiedziane pośrodku tego afrykańskiego pustkowia zabrzmiało jednak niesamowicie. I złowieszczo, co nawet on odczuł.

- Naprawdę zamordowano kucharza, ale wszystko jest pod kontrolą - zapewnił. - Przyjechałem tu na wyprawę naukową. Paleoantropologia, jeśli wiesz co to.

- Nie wiem. Homo coś tam?

Cóż, takie pojęcie prezentowało wielu. Co zrobić. Dobrze przynajmniej, że prawidłowo połączyła hasło z dziedziną.

- Zajmujemy się różnicowaniem kopalnych form hominidów, czyli człowiekowatych. Pochodzeniem i innymi takimi - wyjaśnił i pomyślał, że warto by sobie darować naukowy bełkot. Właśnie zawiadomił o czyjejs śmierci, a zachowuje się, jakby stał na akademickiej mównicy. - Po to zorganizowano wyprawę. Żeby grzebać w ziemi i znajdować przodków. Dom-

ki widziałaś. Razem z nami jest tu czternaście osób, w tym jeden kucharz i pomocnik. Właśnie ten kucharz...

- Nie żyje?

- Nawet bardzo nie żyje.

- Czemu użyłaś słowa morderstwo?

- Facet zniknął parę dni temu, ale był z niego pijak, więc tu snuli teorie, że poszedł w tany. Pomocnik się uwijał, żołnierze mu pomagali i jakoś się w kuchni kręciło. Ale wczoraj Turkanki przywlokły znad Suguty, to jest rzeka, ciało. Hm... Powiedzmy, że niezbyt elegancko potraktowane, widziałem. I zaraz tu przyfrunie jakiś waźniak i zrobi przesłuchanie. Tempo pracy mają podobno w Kenii obłądne, więc nie podejrzewam, żeby ci się udało dzisiaj stąd wyrwać.

- Rozłożył ręce.
Informacja o przesłuchaniach chyba nie przypadła Lutce do gustu. Zmarszczyła nos, ale po raz pierwszy spojrzała na niego bez złości. Raczej ze zgrozą.

- I co teraz?

- Teraz to powinniśmy się cieszyć, że jest ósma rano. - Spojrzał na słońce. - Już o dziesiątej jest upał. O dwunastej każdy szuka cienia, chociaż temperatury w lipcu nie są takie makabryczne. Policja zjawi się lada moment. Nas to nie dotyczy, przylecieliśmy wczoraj w nocy, jesteśmy poza podejrzeniami. Ale cały obóz musi zeznawać. W tym Festus. Na razie wszyscy chyba jeszcze śpią, bo tu się wstaje o szóstej, więc chcą wykorzystać okazję i poleniuchować.

- Festusa przed chwilą poznałam.

- A właśnie... Nie zdziw się, ale tymczasowo zostałem mianowany twoim mężem.

Lutka podejrzanie szybko przełknęła wyjaśnienie, że został zmuszony do kłamstwa, a raczej do przemilczenia faktów, okolicznościami od niego niezależnymi. Rozmijał się z prawdą jedynie w sytuacjach wyjątkowych. Takich jak ta. Jeśli nie widział innego wyjścia.

- Czy oczekujesz, że jako twoja... - zachwiała się na obcasach i błysnęła nieufnym spojrzeniem - ...że jako twoja żona powinnam pełnić jakieś szczególne obowiązki? - dokończyła

głosem pełnym rezerwy. Ale nie tylko rezerwy. Czarek usłyszał też cynizm.

- Co rozumiesz przez szczególne obowiązki?

- Nic konkretnego. - Wzruszyła ramionami.

Odwracanie kota ogonem było chyba jej zwykłą taktyką, bo po raz kolejny przeskoczyła z tematu na temat:

- Jak masz na imię? Chyba mi się przedstawiałeś, ale zapomniałam. A nie cierpię na dysleksję.

- Zapomniałaś, bo byłaś pijana jak bela. Mam na imię Cezary, złośliwa małpo. Wiem, o jakie obowiązki ci chodziło.

- Czarus? - zaśmiała się drwiąco. - A więc Cezary... Co insynuujesz?

- Nic takiego. Może po prostu masz na mnie ochotę?

Wcale nie chciało mu się tutaj przylatywać.

Wcale.

Wywlekanie z ziemi kości uważał za profanację. Zakłócenie spokoju dusz. Jakim prawem amerykańskie mądrale wsadzały swoje paluchy w jego czerwoną ziemię?

Jakim prawem? Czemu rząd na to pozwalał? Źle to wróżyło, bardzo źle.

I proszę. Zaczęło się.

Morderstwo.

Zginął człowiek.

On, John Jenga, komendant policji w Nairobi, wiedział, że wszystko przez naruszanie spokoju przodków. I to gdzie ten spokój naruszali! W Kotle Diabła, zwanym też Doliną Śmierci, dokąd zapuszczały się przede wszystkim miejscowe bandy po rajdach na bydło sąsiadów. W dolinie rzeki mogli koczować tygodniami. I kradzieże uchodziły im płazem, bo nikt tu bez potrzeby nie zaglądał. Krajobraz doprawdy wybitnie ponury. Surowy. Niegościny. W niektórych miesiącach roku temperatury przekraczały pięćdziesiąt stopni Celsjusza, czyniąc z tego pustkowia jeden z najgorętszych zakątków ziemi. Powietrze przypominało miskę parującej i gęstej zupy. Węże, skorpiony,

termity. Kamienie, ciernie, jężory pozasychanej soli, wulkaniczne stożki.

Jak ci ludzie sobie tutaj radzili?

Oczywiście pomoc rządowa i amerykańskie pieniądze. Ochrona wojska, chociaż jego zdaniem taką ochronę mogli sobie wsadzić gdzieś. Co to jest tych paru żołnierzy? Jeżeli nie dogadają się z miejscowymi, zginą. Bynajmniej nie z głodu. Niedługo wieść o skupisku bogatych białych rozniesie się szeroko. Dotrze do tych włóczęgów, których pustynna bieda i podłość pchają do najgorszych czynów. A może już dotarła? Śmierć kucharza to dopiero zapowiedź kłopotów. W spieczonych słońcem dystryktach ludzie walczyli o ziemię, wodę, bydło. O wszystko. Pistolet maszynowy był tu najwierniejszym przyjacielem. W maju niedaleko Loiyangalani starły się ludy Gabbra i Turkana - zginęło kilkanaście osób. Mało. Sporadyczne zaprowadzanie porządku w ogóle nie przynosiło efektów. Nic dziwnego. W tym przygranicznym śmietniku żyli mieszkańcy kilku krajów: Ugandy, Sudanu, Etiopii i Somalii.

Obłąd.

Dlatego nie chciał lecieć. Nie widział sensu. Nigdy nie będzie pokoju. Ale cóż. Trzeba stworzyć pozory - z tego powodu do opieki nad obozem wytypowali właśnie jego, szychę z Nairobi, a nie kogoś z dystryktu Logipi, chociaż miał dość pracy i bez tego. Powinien tu przylatywać raz w tygodniu, ale do tej pory wysyłał zastępcę. W stolicy wrzało. Otrzymali rozkaz rozprawienia się z gangiem Mungiki, nie było dnia bez rozlewu krwi. Czy on się kiedyś wyśpi? Może po wyborach... Ostatnie wydarzenia zupełnie wytrąciły go z równowagi; smutek i zmęczenie osadzały się w duszy tak grubą warstwą, że zaniedbywał obowiązki i wysługiwał się ludźmi. Tyle wysiłku. Tyle winy, bo przecież w tej jednej jedynej sprawie działał wbrew prawu.

I wszystkie jego starania zakończyły się złożeniem w ziemi spopielałych szczątków. Pogrzebem. Obraz poprzecinanej ka-blami sali w Nairobi Prison nieustannie wciskał mu się pod powieki i męczył. Zapamiętał zwłaszcza stół, na którym leżały zwłoki - wyslizgane drewno, pełne żłobień. A teraz i tu morderstwo. Prywatnie uważał, że jedynym sposobem

rozwiązania sytuacji mogło się okazać zwinięcie tego idiotycznego obozu. I wysłanie naukowców w siną dal. Byle dalej stąd. Więc on nie będzie się wysilał. Powoli, powoli. Na wszelki wypadek sprawdzi jednak, czy kucharz nie przeniósł się na tamten świat przy pomocy któregoś z tych przemądrzałych kretynów. Sprawdzanie zacznie od kubka kawy.

Powinni mieć kawę.

I to najlepszą.

Wylądowali na pasie uprzątniętej ziemi po zachodniej stronie jeziora. Tuż przy obozie. Kiedy zamarły śmigła helikoptera i szum odbijający się od wzgórz stał się już tylko echem, przyglądający im się z oddali starszy mężczyzna pomachał wesoło na powitanie. Obok stała grupka ciekawskich gapiów, wśród których wyróżniali się olbrzym wyglądający na Samburu i jakaś złotowłosa mzungu. Biała kobieta.

- Witam, jestem profesor Borys Munson z Uniwersytetu Harvarda, a to są członkowie mojej wyprawy - usłyszał i zobaczył wyciągniętą w swoim kierunku rękę.

Proszę, już się zaczęło. Ważniactwo.

- Jenga, komendant policji w stolicy kraju.

Splunął, ale niedbale zasalutował, bo jednak wypadało.

- Jenga. Czy to imię? - Stary nie doczekał się odpowiedzi, więc z niezbyt wyraźną miną zapewnił: - Bardzo nam miło.

Tak, miło im.

A jakże.

Nie zamierzał trwonić słów na grzecznościową paplaninę. Przyleciał tu w konkretnym celu, co profesor widocznie pojął, bo dokonawszy pobieżnej prezentacji ekipy, poprowadził go do jednego ze stojących w tle domków, który pełnił rolę jadalni. Ładnie tu mieli. Stoły przykryte kraciatymi obrusami, na parapecie wazon z kwiatkiem, z radioodbiornika płynęła skoczna muzyka. Patrząc na schludne pomieszczenie, Jenga wspomniał pewną chatę z krowiego łajna pełną plastikowych butelek oraz reklamówek, którymi zapychało się coraz to nowe dziury.

W takiej chacie przyszedł na świat.

- Kawę poproszę. Mocną. Dla mnie i mojego człowieka. Jak wypiję, będziecie wchodzić. Ale to dopiero za jakąś godzinę.

Szeffa policji profesor by najchętniej wałnął w gębę.

A był spokojnym człowiekiem. Chyba spokojnym. Ostatnio prześladowała go myśl, że jest starym nieudacznikiem, którego spotykają jedynie niepowodzenia. Pewnie przesadzał, ale już od trzydziestu lat zajmował się ewolucją. I co z tego miał? Trzydzieści lat podróży po kontynentach. Trzydzieści lat pogoni za naprawdę ważnym odkryciem. Azja, Afryka, Europa. Mnóstwo pracy, nadziei i użerania się z ludźmi. Spanie w namiotach, jadłodajnie pod chmurką, przysmaki z puszek. Owszem, mógł się pochwalić kilkoma niepełnymi szkieletami hominidów, paroma żuchwami, wszelkiego autoramentu kośćmi piszczelowymi, udowymi, ramieniowymi i oczywiście zębami. Tak, zębów było zatrzęsienie. Zęby jako najtwardsze partie szkieletu najrzadziej ulegają zniszczeniu i dlatego znajduje się ich najwięcej. Aha, przy okazji odkrył również mnóstwo skamieniałości dawnych zwierząt, od kości tygrysa szablastozębnego zaczynając, a na przodku świni kończąc. Jednak wszystkie te zgromadzone przez lata okazy ani nie stanowiły imponującej kolekcji, ani tym bardziej nie oznaczały przełomu w paleoantropologii. A profesorowi marzyło się coś na miarę odkrycia hobbitów z wyspy Flores. I pomyśleć, że to jego zamierzali wysłać do Indonezji, ale złapała go... rwa kulszowa!

Niby wiedział, że rywalizacja to głupota, że to krzyk za-kompleksyjnych facetów. Niby. Ale rywalizować uwielbiał. Poza tym czy po tych wszystkich latach, które poświęcił nauce, nawet kosztem założenia własnej rodziny, nie mógł liczyć na nagrodę? Owszem, nie powinien zbyt wiele wymagać i rościć sobie praw do splendorów i laurowych wieńców. Z etycznego punktu widzenia powinien dążyć do skromności. Powinien. Ale skromność uchodzi za cnotę, a odkąd sięgał pamięcią, w swoim życiu spotkał tylko jednego prawdziwie skromnego człowieka. Reszta udawała. Więc czemu on ma dążyć do ideału? Chciał

odkrycia! Odkrycia! Tym bardziej że zaczął już chyba uchodzić w środowisku za pechowca. Umiał odczytywać sygnały, stąd wiedział, że obecną wyprawę zawdzięcza jedynie Julii, asystentce, która swoimi sposobami potrafiła przekonać do projektu radę uczelni, a raczej przewodniczącą rady. Nie bez znaczenia pozostawał tu fakt, że Julia była pełną wigoru rudowłosą ślicznotką o dość wydatnych kształtach.

Tak więc był skończony.

Stary i skończony. A może za dużo myślał? Lepiej wziąć się do pracy. Jak już złożą te, pożał się Boże, zeznania, porozmawia wreszcie z Cezarym i jego sympatyczną małżonką, a potem przejrzy jeszcze raz ostatnie znaleziska i sprawdzi dane w komputerze.

Śmierć kucharza mocno nim wstrząsnęła. Twarz Nyete, która pod wpływem „kapieli” w rzece przypominała teraz rozmoczony bochenek chleba, nawiedzała go w snach przez całą noc. A już zapętłony na szyi sznur zapamięta na zawsze. Takimi samymi powrozami krępuje się tutaj wielbłądy. Oczywiście wiedział, w jakie rejony się wybiera. Ale co innego wiedzieć, a co innego spojrzeć w oczy ludziom, którzy w ciągu kilku minut potrafią zwinąć cały swój dobytek i wędrować z nim w nieznaną. Tam gdzie woda i pastwiska. Tam gdzie spokój. Pocieszające, że wcale z powodu tych nieustannych zmian nie cierpieli. Munson podziwiał w Afrykanach zgodę na każdy nowy dzień. Nieustannie go zadziwiali.

Kucharza lubił, dobry był z niego chłopak. Znośnie gotował, nie sprawiał problemów. Chyba że wypił albo żuł za dużo miraa - inaczej mirungi, czyli tutejszego halucynogennego zielska o działaniu podobnym do amfetaminy. Z wyglądu roślina przypominała do złudzenia botwinkę, natomiast co do smaku profesor nie potrafił się wypowiedzieć. Nie próbował, choć Nyete obiecywał mu, że po tym specyfiku zapomni o wszelkich smutkach. Kucharz włóczył się więc czasem po obozie nocą, bo od żucia miraa, jak twierdził, miał niespokojną krew. Ale kto nie ma słabości? Wady trzeba rozumieć i nikogo z ich powodu nie przekreślać. Ludzie

różnie radzą sobie w życiu. Albo i sobie nie radzą. Koniec końców nawet taki policjant nie powinien go wyprowadzać z równowagi, bo nie wiadomo, co nim powoduje. Ale niechęć wyczuwał na pewno. Ciekawe, skąd się brała. Odpychający typek.

- Kiedy konkretnie kucharz opuścił obóz? - Czarnoskóry rzucił w przestrzeń, nie zaszczycając profesora choćby jednym spojrzeniem.

- Cztery dni temu, w sobotę. To był ostatni dzień czerwca. Byliśmy na tańcach w Loiyangalani. Odłączył się i nie mogliśmy go znaleźć.

- Kto to może potwierdzić?

- Ale co potwierdzić? - Nie zrozumiał.

- To, że chłopak dotarł do wioski z wami. I że wróciliście bez niego.

- Przecież rozmawiał pan już prawie ze wszystkimi. Nie powiedzieli tego co ja?

- Pytam o osobę z zewnątrz - uściślił chłodno policjant.

- Z Loiyangalani? Nie mam pojęcia. Nikt nie wpisywał nas na listę gości. - Profesor wzruszył z niecierpliwością ramionami. - O osiemnastej weszliśmy do wioski. Przywitał nas wódz, najwyższy z Turkanów. Ale nie wiem, czy zapamiętał każdego. Po tańcach moi pracownicy zostali w wiosce, a ja z asystentką i przedstawicielem muzeum poszliśmy na nocleg do łodzi Oasis. Rano wołaliśmy Nyete, trochę na niego czekaliśmy, ale nie chcieliśmy marnować czasu. Wróciliśmy do obozu.

- Czemu marnować? - Mężczyzna zmarszczył brwi i pozwolił sobie na spojrzenie w stronę starego.

- Była szósta. Chcieliśmy tu szybko dotrzeć, żeby wykorzystać poranek i popracować przed upałem. Nyete znał drogę, wiedzieliśmy, że sobie poradzi, chociaż to sporo kilometrów. Nie mogliśmy czekać, aż wytrzeźwieje. To miała być nauczka. Bo lubił się napić.

- Panu to przeszkadzało?

- Że lubił pić? Zadowolony nie byłem, ale...

- A zły?

- Zły? Ja tam picie rozumiem, z pochodzenia jestem Ro-sjaninem - dodał, widząc, że policjant robi wielkie oczy. - Nie byłem zły. Raczej zmartwiony. Chociaż kiedy Nyete wypił, bywał zabawny, to mu trzeba przyznać. Raz nawet usmażył nam na kolację termity. Po deszczu, mieliśmy szczęście zobaczyć tu deszcz, owady wyleciały z kopca i zabijały się o płach-tę namiotu, bo w środku było jasno i...

- W porządku - uciał urzędnik, nie okazując najmniejszego zainteresowania szczegółami obozowego menu. - Spyta-m inaczej. Czy kucharz miał tu jakiegoś wroga?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- A pan?

- Ja?! - Profesora oburzyła obcesowość tej rozmowy.

- Do czego pan zmierza?! Jestem...

- Amerykańskim naukowcem, wiem. - Policjant wszedł mu w słowo, robiąc przy tym pobraźliwą minę.

- Więc co to za insynuacje? Przecież to nonsens! Kieruję projektem naukowym, byłbym głupcem...

- Ja się na nauce nie znam. - Szef policji uśmiechnął się bezczelnie. - Ale u nas w Kenii pracuje się solidnie. Wszystko trzeba sprawdzić. Każdą ewentualność.

- To proszę lecieć do Loiyangalani. Tam widzieliśmy Nyete po raz ostatni.

- Wiem, co mam robić. - Jenga zacharzał ostrzegawczo jak rozjuszony zwierz. - Teraz chcę jeszcze rozmawiać z pana asystentką i ostatnim z żołnierzy. Dlaczego są nieobecni? Przecież wiedzieliście, że przylecę.

- Moja asystentka poszła do misji w Tuum. Po kucharza.

- Po jakiego znowu kucharza?

Profesor poczuł na sobie gromiący wzrok. Co za nieprzy-jemny człowiek! No cóż, duma musi trochę pocierpieć. Z poli-cją lepiej nie zadzierać. Nie potrzebował więcej kłopotów i utrudnień. Uspokoi się. Opanuje emocje. Emocje się przecież udzielają. Skoro on pozbędzie się negatywnych myśli, może i jego rozmówca stanie się bardziej ludzki.

- Po następcę Nyete. A wyruszyła, bo nie było innego wyj-ścia. Dyrektor misji wylatuje dzisiaj do Niemiec, musiał tam

ktoś pójść. Na nowym kucharzu bardzo nam zależy, to nie może być ktoś przypadkowy. Nie sądziłem, że składanie zeznań będzie takie...

- Jakie?

- Takie...

Los oszczędził mu kolejnych tortur. Na zewnątrz dał się nagle słyszeć odgłos charakterystyczny dla nadlatującego samolotu. Ki diabeł?

- Poczekaj pan? Tylko sprawdzę - rzucił policjantowi i wyszedł na ganek.

Nie on jeden był ciekaw, co się dzieje. Nad brzegiem jeziora stali już wszyscy obozowicze i wyteżając w słońcu wzrok, obserwowali, jak na prowizorycznym pasie startowym, który wykonali wspólnymi siłami, lądował właśnie mały samolot z napisem Cessna 206. Niepokój profesora minął, dopiero kiedy zobaczył w drzwiach maszyny Julię. Wesołą aż miło. Pęd powietrza omiół ją pomarańczową chmurą pyłu, co w połączeniu z miedzianym kolorem włosów tworzyło miły dla oka obrazek. I pod względem barwy, i pod względem formy. Hmm. Gdyby był młodszy... A to kto? W środku samolotu zobaczył kilku machających im życzliwie mężczyzn. Pozdrowił ich również, a po chwili trzasnęły zamykane drzwi i biało-niebieski „ptak” wykonał manewr zawracania. Burczał w oddali coraz ciszej, wreszcie oderwał koła od ziemi. Odleciał.

- Hej, jestem! - Julia zakreśliła się w miejscu, łypiąc zalotnie na ważniaka w policyjnym uniformie, który również przyglądał się jej z zaciekawieniem. - Tom i kucharz idą piechotą - wyjaśniła - bo w samolocie nie było już miejsca, a mnie dyrektor misji podrzucił przy okazji swojej podróży. Żebym nie musiała się w tym upale męczyć.

- Jak to słabe kobietki potrafią o siebie zadbać - rzucił z uśmiechem stojący przy profesorze Cezary.

Julia powoli przeniosła spojrzenie swoich kocich oczu z policjanta na bruneta. Za to jego żona ostentacyjnie pokręciła głową.

Na obiad podano... łazanki!

Lutka martwiła się o nie coraz bardziej. Faktycznie, już o dziesiątej było duszno, a południe przyniosło jeszcze gorszy upał. Jeśli łazanki poczekają do jutra, zepsują się jak nic. Nie po to tachała w walizce pięciolitrowy słoje przysmaku, żeby go wyrzucić. Pomysł rozdzielenia potrawy pomiędzy obozowiczów bardzo wszystkim ucieszył. A już najbardziej chyba profesora, który nie mógł się łazanek najeść. Chwalił talent kulinarny Lutki i posyłał jej spojrzenia pełne wdzięczności. Kto by pomyślał, że zwykła kapusta może być przyczyną tylu uśmiechów i dyskusji. Ciemnoskórzy mężczyźni - już wiedziała, że czterej to żołnierze, a trzej to „łowcy”, którzy przekopywali ziemię w poszukiwaniu skamieniałości - początkowo podejrzliwie przyglądali się stosom beżowej paćki na talerzach. Kiedy jednak skosztowali potrawy, wyglądali na przyjemnie zaskoczonych. Polska kuchnia przypadła im do gustu. Lutka musiała opowiadać, jak się przyrządza łazanki i co jeszcze można wy czarować z kapusty. Profesor żartobliwie zaproponował jej posadę obozowej kucharki, a potem wszyscy podziękowali za obiad i pili mocną herbatę. Było bardzo, bardzo miło.

- Może pójdziemy na spacer? - Czarek przysunął się blisko Lutki. Tak blisko, że poczuła jego zapach.

- Trochę ruchu by się przydało - przytaknęła.

- Tylko ja bym proponował włożyć inne buty. - Zerknął pod stół. - Klapki fajnie, ale lepsze byłyby w tej okolicy trapersy. A już wieczorem obowiązkowo. Skorpiony, węże. Te sprawy.

- Leciałam nad ocean.

- Aha. Czyli szatki wczasowiczki?

- Takjakby.

- W takim razie pogadam z Julią. Może coś wykombinuje.

- A właśnie. Kim j est Julia?

Czarek rzucił jej krótkie, ale wymowne spojrzenie. Znał takie pytania.

- He, he. Zazdrośnica.

Czy oni kiedykolwiek porozmawiają normalnie? Bez aluzji,

bez tej jego okropnej pewności siebie?

- Pytam, bo jestem ciekawa. Profesor mi ją przedstawił, ale nie powiedział, co tu robi. Był jeszcze policjant, zamieszanie...

- Ciekawa. Akurat! Zazdrosna jesteś, i tyle. Jak baba o babę - wyszeptał jej do ucha zadowolony. - Ale nie umiesz się z tym pogodzić.

- Czy bierzesz pod uwagę taką możliwość, że nie każda samica na tym świecie na ciebie leci?

- Każda samica leci na faceta, który z nią szczerze rozmawia. Kobiety tak już są skonstruowane. Kochają się w słowach. Kochają się w emocjach. Natura miała zresztą w tym swój cel. Dzięki waszej pogmatwanej uczuciowości potraficie nawiązać silną więź z potomstwem. Wiwat *Homo sapiens!*

- Rozumiem. To jest twój sposób na podryw? Gadanie?

- Nie, moja miła. Ja już taki jestem. Rozmowny. Czarujący. Mama mi mówiła, że z dziewczynami trzeba szczerze wymieniać myśli. Że tego potrzebujecie.

- A wy? - Lutka ze zdziwieniem odnotowała, że ta idiotyczna, toczona półszepceniem dyskusja zaczyna ją wciągać. Zamiast się zirytować, dać wyraz swoim uczuciom, ona... Właśnie. Co ona robi? Nachyla się nad obcym mężczyzną, upaja się jego zapachem i... Przekomarza się? A może nawet flirtuje?

- My? - powtórzył Czarek, patrząc jej wyzywająco w oczy.

- Wszystkiego ci oczywiście nie powiem, popsułbym zabawę, ale... Między innymi chcemy zwykłej akceptacji. Daj facetowi akceptację, podziw, a zobaczysz, co się stanie. Do kompletu również potrzebujemy rozmowy, ale nie tylko werbalnej, że tak powiem.

- A moja mama mówiła mi, żebym nigdy - ostatnie słowo Lutka specjalnie zaakcentowała - ale to przenigdy szczerze nie wymieniała myśli z mężczyzną.

- Tajemnica. Widzę, że kumasz. - Mrugnął okiem. - To jest to! Uwielbiam tajemnice. Dlatego fajnie mi się z tobą rozmawia, ma-Lutka.

- A z tobą rozmawia się... wkurzająco!
- Ale po co się wkurzać? Nie prościej zaakceptować sytuację? Podobam ci się, i już. Nie ma się o co wściekać. Wystarczy się przyznać.

Krwi!!!

Nie twierdziła, że jest odrażający, ale przecież tak bardzo się starała nie pokazać po sobie, że ją interesuje. Wścieka, ale interesuje.

- Ja mam narzeczonego! - wypaliła.

- Faj, co za staromodne słowo. Narzeczonego. Kochanie, nie ty jedna. I co z tego? Umysłu nie zaobrączkujesz.

- Czyli twoim zdaniem małżeństwo...

- Ale o czym ty mówisz? Nie podobają ci się inni mężczyźni, bo masz narzeczonego i planujesz ślub? Chcesz mi wmówić taką bzdurę? I co gorsza sobie?

Znowu wytrącił jej broń z ręki. Coś w niej przeraźliwie krzyczało, że nie może mu przyznać racji, że ta jego pewność siebie nie powinna zatriumfować, ale miał rację. Po prostu. Wiedziała, że miał. Podobali się jej mężczyźni. Im dłużej trwała rozłąka z Robertem, tym gorzej Lutka znosiła samotne wieczory w pustym mieszkaniu, tym bardziej pragnęła... Ale na ten temat nie będzie z nikim rozmawiać! Z nikim!

- Zaręczona czy nie, musisz uważać - przestrzegł żartobliwie.

- Na co?

- Jak to na co? Na to, żeby się we mnie nie zakochać.

Lutkę zatkało.

Nie była w stanie wykrztusić z siebie choćby słowa.

Zresztą Czarek wcale nie oczekiwał komentarza. Zaśmiał się po swoim - krótko i niebezpiecznie - i zagadał coś na stronie do rudowłosej Julii, która pokiwała głową, a następnie ruszyła do wyjścia, upewniając się, czy za nią podąża.

- Idziemy nad jezioro - zakomunikował w przelocie profesorowi i wyciągnął Lutkę zza stołu.

- Tylko zanedo się nie oddalajcie – usłyszeli.

Profesor starał się mówić spokojnie, ale w jego głosie dało się słyszeć zdenerwowanie. Komendant policji odleciał niedługo przed obiadem, ale jego wizyta zepsuła wszystkim humory. Na domiar złego podczas przenoszenia ciała kucharza do wojskowego helikoptera zdarzył się nieprzyjemny wypadek. Nie wiedzieć jakim sposobem płótno z martwym Nyete wyslizgnęło się żołnierzom z rąk i uderzyło o ziemię jak worek mąki. Na moment cały obóz zamarł. Zwłaszcza niewesołe miny mieli tubylcy, którzy szeptali coś o złych znakach. Profesor zaczął więc pokrzykiwać i wydawać polecenia, co rozładowało napięcie, ale nie na długo. Dopiero łązanki dopełniły dzieła. Nie tylko spowodowały, że nieprzyjemne zdarzenia ostatniej doby poszły w niepamięć, ale zapewniły Lutce stałe miejsce w obozowej kompanii.

Myśląc o zawilych kolejach losu, pozwoliła Czarkowi zaprowadzić się na plac przed jadalnią. Odruchowo zarejestrowała, że nie chciał, by towarzyszyła mu podczas wizyty w domku asystentki, czego oczywiście nie powiedział, ale tak pokierował sytuacją, że ani się obejrzała, a stała przy tarasie w oczekiwaniu na jego powrót. No pewnie. Lubił przebywać z kobietami sam na sam. Mógł wtedy szczerze wymieniać z nimi myśli...

Nie zdążyła się znowu zirytować, bo na ścieżce od strony jeziora dostrzegła nagle dwóch mężczyzn. Szli gęsiego, pilnując, by dzielący ich dystans nie zmniejszał się. Ten z tyłu, w wojskowych spodniach moro, sprawiał wrażenie niezadowolonego. Co chwila mierzył wrogim spojrzeniem mężczyznę idącego przodem i nie spuszczał ręki z przewieszzonego przez ramię karabinu. Obaj byli pewnie zmęczeni, bo pot sączył się im z ubrań, ale ten wyższy zdawał się w ogóle nie przejmować prażącym słońcem. W jego ruchach było coś niepokojącego. Szedł jak kot przemierzający wysoką trawę. Miętko i sprawnie, mimo że dźwigał sporych rozmiarów plecak, który na pewno swoje ważył. Ale najgorsze nastąpiło, kiedy znaleźli się przy jadalni. Na widok białej kobiety obaj stanęli jak wryci

- sądząc po minie żołnierza, wyruszył wraz z asystentką profesora przed nocnym przybyciem do obozu Czarka i Lutki

i nic nie wiedział o nowych mieszkańcach. Zaraz jednak opanował zdziwienie i grzecznie ją pozdrowił.

Za to wyższy, który był pewnie nowym kucharzem...

Od dłuższej chwili wpatrywał się w Lutkę dziwnie intensywnym spojrzeniem.

Zbyt intensywnym.

Spojrzeniem, od którego zrobiło się jej po prostu nieswojo.

Pokryte czerwoną siateczką oczy patrzyły z niezrozumiałą uciechą, mimo że usta tego człowieka nie ułożyły się w uśmiechu - zresztą nie wyglądał na kogoś, kto kiedykolwiek się śmieje. A może to nie była uciecha? W każdym razie na pewno nie zainteresowanie, jakie się okazuje kobiecie. Miał ciemną twarz o regularnych rysach pozbawionych typowo afrykańskich cech. Gdyby nie malująca się na niej obojętność, można by ją uznać za ładną. Poza tym był strasznie chudy. Poszarzała skóra opinała kości policzkowe, co nadawało mu wygląd wygłodniałego zwierzęcia. Na nogach i ramionach dałoby się policzyć każdą kość. I te oczy! Te okropne oczy!

Zadrzała.

Poczula się jak tłusta antylopa, na którą ostrzył sobie zęby... lew?

Co za absurd!

Jednocześnie tuż za nią stanął Festus i mruknął pod nosem:
- Świetnie! Somalijczyk.

W głosie pilota Lutka usłyszała prawdziwą niechęć.

Czarek nie uważał się za bezczelnego.

Chociaż wiele osób tak twierdziło. Lutka pewnie też. Widział, że rośnie w niej furia.

Cóż, prawda bywa bolesna. O ile jest coś takiego jak prawda, bo każdy człowiek ma swoją wersję prawdy. A większość ludzi tkwi w schematach i miłości własnej. Trzeba mówić to, czego oczekują. Myśleć tak, żeby swoim sposobem widzenia świata nie przerażać. On się nie bał. Ani świata, ani, co najważniejsze - siebie. Wiedział, kim jest i czego potrzebuje. Potrafił przyznać,

że trochę się przed Lutką popisywał. Że szarżował. Oczywiście po to, żeby polechtać swoje męskie ego. I żeby wzbudzić w niej zainteresowanie. Fajna była. Coraz fajniejsza. Nie grała, chociaż jeszcze nie potrafiła rozmawiać szczerze o tym, co jej się w środku kotłowało.

A kotłowało się.

- Buty dobre? - zapytał, widząc, jak omija co większe kawałki wulkanicznych bomb. Julia, osoba przezorna, zabrała na wyprawę dwie pary odpowiedniego obuwia i teraz chętnie pożyczyła jedną z nich jego... żonie.

- Bardzo. Czemu pełno tu takich czarnych, dziwnych kamieni?

- To okruchy skał i lawa z wulkanów.

- Lawa?! - Wzięła do ręki czarną bryłę i przyjrzała się jej zafascynowana. - A może pójdziemy w tamtą stronę? - Wskazała ręką na przeciwległy brzeg jeziora, gdzie w popołudniowym słońcu rozpierał się Namurinyang - jeden z tutejszych wygasłych wulkanów.

- Do stożka mamy na moje oko jakieś dziesięć kilometrów. Tylko ci się wydaje, że to blisko. Parę godzin drogi, zależy, jakim tempem chodzisz. O osiemnastej zaczyna się robić ciemno. Ja bym nie ryzykował. A przede wszystkim profesor by się martwił. Więc wycieczka odpada - zakończył przemowę, nie pozostawiając co do swoich zamiarów żadnych wątpliwości.

- A jutro?

- Przecież chciałaś lecieć do Mombasy. Zapewne do szanownego narzeczonego?

- A gdybym tak została tu trochę dłużej? - Pominęła jego uszczypliwy ton. Rozejrzała się dookoła z wypisanym na twarzy zachwytem i nabrała w płuca powietrza, które pachniało zupełnie inaczej niż w Polsce. Nieco słonawo, ale smakowicie.

- Parę dni? Pięknie tutaj. Mój szanowny narzeczonny przecież nie wie, że zamierzam go odwiedzić.

- Nie wie... Niespodzianka czy raczej brak zaufania?

- Wolalabym nie analizować z kimś obcym mojego związku

- wygłosiła w zamierzeniu lodowatym tonem. Głos jej jednak trochę zdrzął. - To co? Jeśli będę ci przeszkadzać, nie ma sprawy. Polecę sobie jutro.

Czarek parsknął śmiechem. Proszę. Zaczynają się babskie podchody.

- Polecę sobie jutro. Zabrzmiało jak: „Nie to nie, łachy bez”. Głupio ci wprost zapytać, czy chcę, żebyś została, więc odgrywasz zdetronizowaną księżniczkę. Mam cię na siłę zatrzymać?

- O, nie mogę! - zakrzyknęła z oburzeniem.

- To przez nogę i dalej mogę. He, he. Coś źle mówię?

- Jeśli już pytasz... Śmianie się z własnych dowcipów jest zenujące, a poza tym odkąd to księżniczki mogą być zdetronizowane?

- Punkt dla ciebie. Wróćmy do wyjazdu. Przekonywać cię nie zamierzam - kontynuował, zastanawiając się jednocześnie, jak wytłumaczyłby nagły wyjazd małżonki profesorowi - ale chciałbym, żebyś tu jeszcze ze mną pomieszkała. Ten wulkan - skinął głową - może być twój. Planowałem co prawda pobrać jutro próbki...

- Jakie próbki?

- Jestem genetykiem. Paleoantropologia to dla przyjemności.

A Julię i profesora poznałem przez Internet, kiedy szukałem materiałów do pracy doktorskiej. Uwaga, cytuję: *Poziom zmienności genetycznej w populacjach afrykańskich badany w oparciu o markery DNA*. Uff, brzmi nieźle. To tytuł mojego dzieła. Co? - spytał, bo w jej oczach zobaczył niedowierzanie.

- Praca doktorska?

- Wiem. Według twojej oceny mojej osoby powinienem co najmniej prowadzić burdel. Albo handlować żywym towarem.

- Jesteś wulgarny.

- Nie bardziej niż inni. Z tą tylko różnicą, że się nie ukrywam. Mówię, co myślę. Oczywiście są granice, bo szczerością można zrobić komuś kuku...

- Naprawdę? Znasz takie pojęcie? Granice?

- Cholera - warknął. - Pojmij, kobieto, że ja do ciebie nic nie mam, a ty mnie ciągle atakujesz. A może chodzi o babską dumę? Może ci na nią swoimi tekstami włożę?

- Kto kogo atakuje?! - Lutka zatkała uszy. - Już nic nie chcę słyszeć! Żadnych wz... wywodów.

- Chwila! Czy ty chciałaś powiedzieć: WZWODÓW?

Nie, nie mógł sobie darować. Owszem, postanowił być nieco miłszy, widząc jej nerwowe reakcje, ale nie zapominajmy o poczuciu humoru. Lutka nie podzielała jego rozbawienia.

- Okej, koniec tematu - szybko uciał. - O czym my to... Aha, próbki! Jutro zamierzałem pobrać od naszych ciemnoskórych kolegów trochę DNA, ale skoro zostajesz, zrobimy sobie parogodzinną wycieczkę. Ty i ja.

Rzuciła mu tak wymowne spojrzenie, że pojał. Wolałaby spędzić ten czas choćby z diabłem. Byle nie z nim.

Po nędznej kolacji, która tylko rozdrażniła żołądki i wzbudziła wspomnienia o lazankach, nikt jakoś nie kwapił się do dyskusji. Nikt z wyjątkiem profesora, który był podekscytowany faktem, że ząb zakwalifikowany wczoraj jako należący do osobnika *Homo erectus*, dzisiaj wydał mu się o wiele starszy.

- Wiem, że nasz nowy kucharz... Jak mu na imię?

- Musa - rzucił ponuro znad kubka herbaty Festus.

- Że nasz nowy kucharz podał niezbyt smakowitą kolację, ale poczekajmy z ocenami do jutrzejszego obiadu.

- To Somalijczyk - wytknął Festus. - Oni nie mają pojęcia o gotowaniu. Czemu dyrektor Tuum nam nie powiedział? Czemu go zachwalał?

- Drogi Festusie. - Profesor nie przestawał wpatrywać się w ząb przez lupę. - Co masz takiego przeciwko Somalijczykom?

Festus zerknął w kierunku kuchni gazowej rozpierającej się w rogu pomieszczenia, ale Musa już się tam nie krzątał. Po

zebraniu jednorazowych talerzy i wyrzuceniu ich do kosza kucharz wyniósł się do zajmowanego przez siebie domku. Nie odezwał się słowem ani podczas wydawania posiłku, ani po jego zakończeniu, tylko patrzył spode łba na skupionych przy Festusie Samburu. Kiedy zniknął za drzwiami, wszyscy odechnęli z ulgą.

- Przeciwno Somalijczykom mam bardzo wiele. To nie są dobrzy ludzie. - Pilot twardo obstawał przy swoim, a siedzący przy stole łowcy potwierdzili jego zdanie wrogimi pomrukami.

- Wszyscy są źli? Bez wyjątku?

- Oczywiście, że nie.

- Więc? Skąd te uprzedzenia?

- Somalijczycy są bezwzględni. Palą wsie, zabijają, gwałcą i oszukują.

- Ech - westchnął profesor - te wasze plemienne walki. Każdy mówi źle o każdym. Ale rasizmu białych nie znosicie... A u siebie tylko walka i walka. Jakby nie można się było pogodzić. Każdy chce rządzić. Cała Afryka przez to cierpi.

- Biednemu trudno żyć w zgodzie. Wszystko jest proste dla tego, kto ma pełny żołądek - skomentował spokojnie olbrzym. - Somalijczycy z nikim nie chcą pokoju. Nawet sami ze sobą.

- A nasz Musa nie podzielił się ze mną w drodze wodą - dołożył żołnierz, który przyprowadził kucharza z Tuum.

- Widzę, że nie rozumiesz? - Profesor zignorował ostatni zarzut i zerknął na Lutkę, która faktycznie zastanawiała się, o co chodzi.

Walki plemienne? Dopóki tu nie trafiła, miała dość mętne wyobrażenie, że w Afryce mieszkają po prostu... Murzyni. Dopiero teraz zaczynała pojmować, jak schematycznie myślała. I jeszcze jedno - patrząc na Festusa, który wydawał się poruszony rozmową, nigdy nie nazwałaby go pogardliwie Murzynem. To słowo niespodziewanie nabrało dla niej negatywnego zabarwienia.

- Afryka to kontynent wielu krajów, a każdy kraj zamieszkują różne ludy - tłumaczył profesor. - Walczą ze sobą kraje,

a w obrębie krajów - ludzie z różnych plemion. Tak jest w Kenii, tak jest też w sąsiedniej Somalii. Plemiona tworzą osobne społeczności i zamieszkują różne tereny. I tu jest pies pogrzebany. Bo tereny oznaczają wodę i trawę. Albo i nie. Kiedy zaczyna brakować pożywienia, ludzie wszczynają kłótnie. Niektórzy najeżdżają wtedy na innych i ich napadają. Taki najazd nazywa się tutaj rajdem.

- A policja? - zapytała.

- Na północy Kenii nie ma policji. Ostatni posterunek jest w Marsabicie.

- Jak to? To kto pilnuje porządku?

- Tu nie ma porządku - profesor oznajmił dobitnie. - Prawo buszu. Owszem, kiedy plemiona za długo walczą, rząd czasem interweniuje. Postrzelają trochę do ludności ze śmigłowców i jest dobrze. Mają czyste ręce, coś zrobili. Ale to nie kończy kłótni. W grudniu wybory, ciekawe, co będzie.

- Wygra Kibaki. - Festus nie miał wątpliwości, ale nie wyglądał na ucieszonego tym faktem. - Umie o sobie zadbać.

- Luo na to nie pozwolą - zaprotestował jeden z łowców.

- Mwai Kibaki to obecny prezydent Kenii - profesor znowu zwrócił się do Lutki. - Wywodzi się z plemienia Kikuju, którego członkowie opanowali większość urzędów w kraju i przez to stają się coraz mniej popularni. A po drugiej stronie barykady stoi opozycjonista Raila Odinga, a za nim Masajowie, Luo, Kalendzinowie i inni.

- Trochę to skomplikowane - musiała przyznać Lutka.

- Kwestia opanowania nazw, nic więcej. - Profesor popatrzył po zebranych i zarządził: - Ale bez politykowania, bo trzeba przygotować na jutro sprzęt. Dzisiaj przez to groteskowe składanie zeznań nic nie zrobiliśmy.

- Dobrze powiedziane. - Festus westchnął, a siła jego płuc była tak wielka, że stojące na stole plastikowe kubki lekko zadrzęły. - Za wiele z tego zeznawania nie wynikło.

- Z szefem policji rozmawia się dość specyficznie - przytaknęła profesor. - Ale nie ma wyjścia, rozmawiać trzeba. Obawiam się, że tych wizyt będzie więcej.

- Powinien się chociaż zainteresować kobietami, które zna-

lazły Nyete.

- Sam wiesz, że przenoszą się z miejsca na miejsce. Poza tym za wiele nam nie powiedziały.

- A Loiyangalani? Przecież tam widzieliśmy Nyete ostatni raz. Trzeba się dowiedzieć, u kogo spędził noc.

- Już to zasugerowałem naszemu policjantowi. Zawarczał. Ale sądzę, że poleciał do wioski i uciął sobie pogawędkę z wodzem. No, ale koniec o tym. My tu jesteśmy przecież w innym celu. Przed nami projekt naukowy.

- Panie profesorze. - Lutka przysłuchiwała się wymianie zdań z rosnącym zdziwieniem. Jedno nie dawało jej spokoju.

- Somalijczycy, plemiona, walki. Czemu pan przyjechał właśnie tu, gdzie jest tak niebezpiecznie?

- Bo tu są skarby! - Munson naraz się ożywił. Wreszcie mógł opowiadać o tym, co interesowało go najbardziej na świecie. - Afryka to kolebka ludzkości! Tak wiekowych kości hominidów nie odkryto na żadnym innym kontynencie, więc nie może być inaczej. Człowiek oddzielił się od małp właśnie tu. Na Czarnym Lądzie. Ale gdzie konkretnie, nie wiadomo. Kenia, Etiopia, Tanzania, Czad. Kto wie...

Pod wpływem zapału w głosie profesora myśli wszystkich powędrowały naraz ku zagadkom nauk przyrodniczych. Lutce temat zaczynał się naprawdę podobać.

- Człowiek oddzielił się od małp - powtórzyła w zamyśleniu. - Ciekawe dlaczego niektórzy protestują, kiedy im się wytyka naszych kuzynów? - mruknęła bardziej do siebie, ale zaraz otrzymała odpowiedź.

- Hm... Niektórzy chcą wierzyć, że człowiek jest kimś wyjątkowym, a zapominają, że podlegamy przyrodzie. Ten, kto uważa, że nie podlega, niech przestanie jeść, spać, kopulować. Oczywiście, nie można zrównywać ludzi i zwierząt, bo stąd już krok do usprawiedliwienia choćby faszyzmu. Dlatego od postawienia takiego znaku równości jestem daleki. Ale czy człowiek chce, czy nie - natura ma na niego wpływ i jest on jej częścią, mimo że został wyposażony w tak potężne narzędzie jak świadomość.

- A co z Kościołem? I z powstaniem świata? Biblia mówi o

Adamie, nie o małpie.

- Darwin w miejsce Boga wstawił dobór naturalny, i tym sobie w Kościele zaszkodził. Co nie oznacza, że w wielu punktach jego teoria nie brzmi rozsądnie.

- Ale papież oficjalnie zgodził się z teorią ewolucji - dołożył Czarek. - Przesłanie do Papieskiej Akademii Nauk z 1996 roku. Słyszałaś?

- Coś tam słyszałam.

- Toteż właśnie. Sam Jan Paweł II! - Zagadnienie najwyraźniej Czarka poruszało. - Przecież Biblia to w dużej mierze dzieło symboliczne, nie naukowe. I tak miejscami powinno być czytane! W dwunastym wieku przed naszą erą, kiedy powstawał Stary Testament, nie było narzędzi naukowych, nie było mikroskopów i rezonansu spinu elektronów. Jak więc inaczej można było opisać powstanie świata?

- Rezonansu czego? - zapytała uprzejmie zainteresowana Lutka.

- Innym razem ci wyjaśnię. Taka metoda datowania. A teoria ewolucji nie musi zaprzeczać istnieniu Boga. Po prostu mówi, jak akt stworzenia przebiegał. Siła sprawcza to zupełnie inna bajka! Naukę i wiarę można pogodzić.

- No! - Profesor klasnął w dłonie, widząc, że Czarek dopiero się rozkręca. - Temperatura rozmowy coś nam dzisiaj skacze! A Musa powiedział, że jutro w Loiyangalani znowu tańce. Ja bym polecał. I trochę jednak pogadał z Turkanami. Bo też mam dziwne przeczucie, że mordercy naszego Nyete trzeba by szukać właśnie tam. Co wy na to?

Z nim?!

W jednym łóżku?

Niestety Czarek kategorycznie odmówił spania na podłodze, a Lutce również nie uśmiechało się spędzenie nocy na twardych deskach. Zresztą jeżeli zamierzała tu zostać, trzeba wymyślić rozwiązanie, które załatwiłoby sprawę na dłużej. Przydałby się jakiś kamień graniczny. Coś, co by ich skutecznie oddzielało i

zapobiegało przypadkowym dotknięciom pod kołdrą. Walizka? Odpada. Zajmuje za dużo miejsca. Ale worek z karmą dla Frygi byłby idealny! Lutka rzuciła się do klatki, obok której stał sporych rozmiarów pakunek. Tak! Idealny! Będzie chrząścił i szeleścił, jeżeli czyhający po drugiej stronie intruz pomyśli o jakichś podstępach.

- Okej, nie komentuję tej infantylnej szopki, bo na noc nie zamierzam się denerwować - wymamrotał Czarek z dezaprobatą, nie odrywając się od notatek, które czytał oparty o ramę łóżka.

Lutka bez słowa ułożyła worek dokładnie pośrodku. Co teraz powinna zrobić? Położyć się? Poprosić, żeby zgasił światło?

- Zastanawiam się tylko, po co ci ten... kombinezon. - Obrzucił ją krótkim, ale baczny spojrzeniem. - W bieliźnie już cię widziałem, nie dziwne mi. Ciepło, ugotujesz się.

Kombinezon?

Jej nowa piżama w fiołki zakupiona na cześć Roberta?!

- Ty, widzę, nie masz takich problemów. - Nie potrafiła ukryć złości.

Westchnął. Popatrzył na nią, po czym z męczeństwem wypisanym na twarzy poskładał kartki do teczki.

- Ja nie mam tylu problemów, bo ich sobie nie stwarzam - odpowiedział beznamiętnie i zanurzył ręce pod prześcieradło. Po chwili wyciągnął spod niego... slipki!

- Chcesz spać nago?!

- Jakiś kolejny kłopot? Przecież obwarowałaś się. - Chwyił worek za papierową rączkę i przeczytał: - „Karma dla kociąt”?

- Fryga to lubi - wyjaśniła z godnością, ale zaraz stwierdziła, że słowo godność zbytnio nie pasowało do sytuacji. - Ty to robisz specjalnie!

- Specjalnie ściągnąłem majtki? No chyba! Majtek nie ściąga się raczej odruchowo, pozwolę sobie zauważyć.

- Naprawdę nie ściągasz ich odruchowo? Ty?

- Opanuj swoje żądze, cyniczna kobieto. Myśl o worku... karmy dla kociąt. Od moich majtek nie zależy twoje bezpieczeństwo. Z przykrością zawiadamiam, że nie gwałcę. Nie je-

stem Somalijczykiem. A właśnie. - Zmienił ton głosu. - Mnie się ten Musa też nie podoba. Festus ma rację.

Dobrze, że ta idiotyczna dyskusja o męskich gaciach i żądach została zakończona. W sumie lepiej nie poruszać tematów związanych z jej... pragnieniami. Co?! Z jakimi pragnieniami!? Przecież to czyste wariactwo! Usiadła na swojej stronie łóżka i ostrożnie wsunęła się pod prześcieradło.

- Dlaczego Musa ci się nie podoba? - Nowy kucharz również i jej nie przypadł do gustu, ale lepiej, żeby rozmowa toczyła się w obranym kierunku.

- Ja tam o Somalijczykach za dużo nie wiem, chociaż parę lat temu czytywałem korespondencję Pałkiewicza z tego ich obłądnego kraju. Wiesz, że dziewięćdziesiąt pięć procent dziewczynek jest w Somalii obrzezanych? Zresztą w prawie całej Afryce stosuje się takie praktyki. W Kenii też.

- Okropność.

- Okrucieństwo! Oczywiście okaleczają je bez znieczulenia. Żyłtką albo nożem. Ale nie o tym chciałem rozmawiać. Zwróciłaś uwagę na to, skąd profesor wiedział o tańcach w Lo... w tej jakiejś miejscowości?

- Poczekaj, bo nie nadażam. Ogłuszyłeś mnie tą żyłtką. Skąd wiedział?... Od Musy.

- Widzisz! Musa mu powiedział. Ten milczek i mruk!

- Mówić chyba potrafi. - Stała w obronie czarnoskórego, mimo że podzielała niepokój Czarka.

- W porządku, jasne, że potrafi. Ale skąd wiedział? Tuum jest trochę kilometrów od tego Lo... czegoś, sprawdzałem na mapie. Festus mnie oświecił, że oni tutaj mają swoje systemy komunikacji, że wieści rozchodzą się szybko, coś na zasadzie systemu od ucha do ucha, ale...

- To o co chodzi?

- Nie wiem. Po prostu mnie się ten człowiek nie podoba. I już.

- Spojrzenie ma niezbyt szczere. - Pomyślała o zdarzeniu przed jadalnią i aż się wzdrygnęła. Nie widziała jednak sensu, żeby o tym opowiadać. Jeszcze Czarek rzuciłby jakiś złośliwy komentarz dotyczący relacji damsko-męskich.

Spojrzenie Musy zinterpretowałby jako sygnał wysyłany przez rozochoconego amanta. O tak, do tego był zdolny. Już go na tyle poznała, że pewne reakcje potrafiła przewidzieć. Wykluczone! Nic mu nie powie. - Coś zamierzasz?

- Będę na niego uważał, tylko tyle. Wezmę gnojka pod lupę i trochę mu się poprzyglądam - postanowił.

- A nie prościej zapytać, skąd wiedział o tańcach?

- Twoja bezpośredniość jest powalająca. Już się rozpędziłem! On też by się rozpędził i grzecznie powiedział prawdę. Ja bym uwierzył i wszyscy żyliby w Afryce długo i szczęśliwie.

- Już się taki sceptyczny urodziłeś?

- Ja się urodziłem jako *Homo sapiens*, czyli człowiek myślący. A propos. Myślałaś już nad jutrzejszą wycieczką? Chcesz zobaczyć wulkan?

- Pewnie, że chcę. Ale on chyba nie jest czynny? Wygasł?

- na wszelki wypadek zapytała.

Stwierdziła, że kiedy jej nie dogryzał, był całkiem miłym rozmówcą. Fajnie im się gawędziło. Nie stresowała się już, jak zostanie odebrana i oceniona. A takie obawy towarzyszyły jej zawsze, kiedy poznawała kogoś nowego. Po prostu nie należała do osób otwartych i spontanicznych. Przy Czarku jednak wcale się o takie szczegóły nie martwiła. Za bardzo ją wkurzał. Koncentrowała się raczej na odpieraniu ataków niż na rozważaniu własnego charakteru. Może to dobrze? Po co ciągle się nad sobą zastanawiać.

- Ostatnim razem wybuchło coś w tej okolicy w tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym roku, więc bez obaw - uspokoił. - Wiesz, że tu jest skupisko wulkanów? Oddzielają nas od jeziora Turkana barierą. Tak to nazwali. Bariera wulkaniczna.

- Skąd tyle o tych okolicach wiesz?

- Jak się leci do Afryki, trzeba się wielu rzeczy dowiedzieć. Rozpoznanie terenu, jak na wojnie. Internet, książki. Ty się nie przygotowywałaś?

- Przystudiowałam przewodnik, ale nie podchodziłam do sprawy jak do wojny.

- Bo baba jesteś. Facet wszystko traktuje jak wyzwanie.

Przygotowałem się sam, ale mnóstwo wskazówek dali mi profesor i Julia. Dwa lata temu kopali w Kanapoi, niedaleko Turkana, więc sporo już o tych okolicach wiedzieli.

- Coś odkryli?

- Owszem, ale to nie był *Australophitecus anamensis*. - Czarek zachichotał, widząc jej minę. - Radzę trochę poczytać. - Przewiesił się przez łóżko, a prześcieradło opadło mu nieco poniżej linii brzucha, co Lutka zarejestrowała szybkim spojrzeniem. Odwróciła wzrok, zanim Czarek dźwignął się z powrotem. - *Wprowadzenie do ewolucji człowieka* Rogera Lewina. - Rzucił jej książkę na kolana. - Znośnie napisana, chociaż to podręcznik akademicki. Jak przebrniesz przez pierwsze rozdziały, potem dasz radę. Wziąłem, bo czasem potrzebuję coś sprawdzić.

- Dzięki, lubię się dowiadywać nowych rzeczy. Z podręczników akademickich w szczególności - wymamrotała z przekąsem. - A o co chodziło z tym austalo...

- Wiesz, że są różne formy człowieka?

- Wiem.

- Więc *Australophitecus anamensis* to jeden z tych starszych gości. Liczył sobie jakieś cztery miliony dwieście tysięcy lat. Wykopali parę jego kostek właśnie w Kanapoi. Ale to nie było dziełem naszego profesora, chociaż jemu marzy się właśnie coś takiego, jeśli dobrze główkuję. Odkrycie! Mam nadzieję, że mu się uda.

- Czemu zainteresowałaś się antropologią? - Lutka popukała w książkę.

- Od genetyki do ewolucji jest pół kroku. Dlatego. Na podstawie układu genów, ich sekwencji można wiele powiedzieć o pochodzeniu człowieka. Jest nawet coś takiego jak genetyka ewolucyjna. I ja się tym zajmuję.

- W Katowicach?

- A czemu by nie? Na Jagiellońskiej jest Katedra Genetyki. Wydział Biologii i Ochrony Środowiska. *Ole!* A ty czym się zajmujesz?

- Jestem anglistką. Od września zaczynam uczyć w szkole. Czarek wyglądał na wstrząśniętego.

- Ty?! To dlatego tak dobrze sobie radzisz z językiem... Ale nauczycielka?

- Czemu się dziwisz?

- Nauczycielki są niestabilne emocjonalnie! Hegemonia, tyranki...

Spojrzała w swoim mniemaniu ostrzegawczo, ale Czarek niczego nie zauważył.

- Odpuść sobie szkołę! Wiem, co mówię. Jestem piątym pokoleniem nauczycieli w mojej rodzinie.

- I dlatego jesteś niestabilny emocjonalnie?

- Ja jestem bardzo stabilny, kochanie. W przeciwieństwie do ciebie. A jeszcze nie uczysz. Tu jest klops. Najpierw dowiedz się, czego w życiu chcesz, a dopiero potem pchaj się mądrzyć przed innymi.

Czy to zimne, paskudne coś, co rosło jej w środku, nie było czasem chęcią strzelenia mu w ten zarozumiały dziób? Pewnie by się pokłócili, gdyby nie komórka. Rozdzwoniła się niespodziewanie, stawiając jej wszystkie włosy do pionu.

Robert!

Po krótkim przebłysku paniki oprzytomniała. Przecież odebranie telefonu nie uruchamia ukrytej kamery, która przekaże narzeczonemu obraz Lutki dzielącej łóżko z nagim mężczyzną! Robert dzwoni z Mombasy, ona odbierze. Chwilę porozmawiają...

- Lutka, to ty? - usłyszała znajomy głos. - Dzwonię, bo ostatnio odebrał jakiś palant i chciałem wyjaśnić, o co chodzi. Będziesz tak uprzejma?

Kiedy się obudziła, Czarka już nie było.

Zerknęła na zegarek.

Punkt ósma.

Czy dobrze pamięta, że oni zaczynają tu dzień o szóstej? Może innym razem wstanie na czas. Dzisiaj przez pół nocy próbowała się uspokoić. Czarek rozmawiał z Robertem w samolocie! Oczywiście przyznał się do tego, dopiero kiedy urzą-

dziła awanturę. No, niech będzie: awanturkę - urządzania prawdziwych awantur, takich z rzucaniem talerzami i dzikim wrzaskiem rozwścieczonej żony, musi się jeszcze nauczyć. Koniecznie! W końcu przekonała narzeczonego, że cała sytuacja była jedynie głupim żartem kolegi, który odwiedził ją skoro świt z informacją o znalezionym dla niej miejscu pracy (że też potrafiła wymyślić taką bajeczkę na poczekaniu!). Znajomy odebrał, bo była w łazience. Robert niby uwierzył, ale w tonie rozmowy pobrzmiwał chłód. Na temat swojego przybycia do Mombasy nie pisnęła ani słówkiem. Pożegnali się niezbyt serdecznie. I ten wyrzut sumienia, że tyle nakłamała. Już niedługo wszystko mu wyjaśni, powie o Czarku...

Powie?

Zawahała się. Niby nie było nic złego w ich dotychczasowych relacjach, ale...

Od moskitiery z cichym pacnięciem odbił się kamyk.

Podeszła do okna, wiedząc już, kogo tam zobaczy.

Na zewnątrz czekał Bambo, obok którego stała wystraszona dziewczynka.

- Cześć! - Lutka uśmiechnęła się na ich widok. - To twoja koleżanka? Jak ma na imię? - spróbowała zagadać, ale bezskutecznie.

Bambo i tym razem nie zamierzał wdawać się w konwersacje. Szturchnął swoją towarzyszkę, która wyciągnęła z fałdów przewieszanej przez ramię chusty coś, co wyglądało znajomo.

- Znowu kość? - Lutka odebrała prezent, udając entuzjazm. Tym razem w półksiężycowatym fragmencie kostnym tkwiło kilka zębów. Urocz. - Poczekajcie chwilę.

Nie miała wåtpliwości, czemu zawdzięcza wizytę dzieci. Problem w tym, że więcej maskotek nie posiadała. Tak jak poprzednio wrzuciła brązowe paskudztwo do klatki Frygi, a potem zadumała się nad walizką. Zaraz. A może da dziewczynce lusterko? Gdzie ono może być... Z lusterka powinna się cieszyć każda mała kobieta. Tym bardziej że było zamknięte w pudełeczku grawerowanym kwiatkami.

- Proszę bardzo. - Wręczyła małej przedmiot i patrzyła, jak śmieją się jej oczy. Pokazała, w jaki sposób otwierać pudełko,

po czym się pożegnała.

Chciała przemyśleć kilka spraw.

Czy jest niestabilna emocjonalnie?

Co to w ogóle znaczy?!!!

To prawda, za bardzo za sobą nie przepadała, nie akceptowała pewnych swoich zachowań. Co do wyglądu - w lustrze widziała niekiedy cielecą parówkę, nie Lutkę. Ale żeby zaraz niestabilna emocjonalnie? Wiedziała, czego w życiu chce.

Chce rodziny, chce spokojnego życia!

Bez towarzystwa przemądrzałego faceta, który wszystko wie, który czyta w niej jak w otwartej książce. Spokojnego życia! Koniec z bzdurami. Teraz się ubierze i wykorzysta fakt, że znalazła się w tak dzikim i pięknym zakątku świata jak dolina Suguty. Postara się zobaczyć jak najwięcej! Koniec bezproduktywnych rozmyślań. Do dzieła!

Szukając krótkich spodenek, bardzo się zdziwiła. Pamięta dobrze, ułożyła je na samym dnie walizki, więc czemu teraz leżały na wierzchu? Nie ma przecież sklerozy. Poza tym pakowała rzeczy według określonego systemu. Hmm. Podumała chwilę i przyjrzała się zawartości swojego bagażu.

Ktoś w nim grzebał!

Dlatego nie potrafiła znaleźć kosmetyczki, w której schowała lusterko.

Kto?

Chyba nie...

Czarek?!

Ubrała się, jak potrafiła najszybciej, i wyszła na taras. W obozie nie widać było żywej duszy. Pewnie poszli na wykopki, jak nazywał wykopaliska profesor. Ale dokąd?

Odruchowo zerknęła na plac przed jadalnią, ale Festus nie siedział tam zaczytany w gazecie. Postanowiła najpierw zjeść śniadanie i dla pewności przeszukać wszystkie domki. Przecież gdzieś tutaj muszą być żołnierze, obóz nie mógł zostać bez niczyjej opieki.

W jadalni pustki. I dobrze, obawiała się, że spotka tu tego dziwnego człowieka. Musę.

Weszła do kuchennej części pomieszczenia, gdzie stały lo-

dówka, sporych rozmiarów stół oraz kilka szafek. Otwierała po kolei każdą z nich, chcąc znaleźć coś do jedzenia. Wybór padł na płatki. Dobrze. Teraz jeszcze mleko i łyżka.

Kiedy zobaczyła prawdziwy talerz, bardzo się ucieszyła. Ze względu na oszczędzanie wody w obozie jadało się z „plastikowej porcelany”, którą po spożyciu po prostu wyrzucano. Jeść mleko z płatkami na wijącym się talerzu? Brr. Lutka przykucnęła przy szafce, bo talerz stał na samym dole i na dodatek był chyba czymś od spodu przyklejony. Oderwał się od deski dopiero przy mocniejszym szarpnięciu. Głębiej za nim... To metalowe coś wyglądało jak lufa karabinu. Schyliła się.

Tak.

Najprawdziwszy karabin!

Bynajmniej nie zdziwiła się widokiem broni, bo podobne cacka nosili przecież żołnierze. Ale karabin w kuchni?

Za rękojęścią zobaczyła coś jeszcze. Jakiś zwinięty w kłębek rzemyk z paroma zębami i telefon komórkowy. Cegła po prostu, nie telefon - takich aparatów używano w Polsce dobrych kilka lat temu. Ciekawe, czy zabytek jeszcze działa. Nie, absolutnie nie zamierzała sprawdzać. Wychowano ją w poszanowaniu dla cudzej własności (nie tak, jak co niektórych pyskatych brunetów), dlatego pomimo wzbierającego w niej zaciekawienia zostawiła cały ten kram i zajęła się śniadaniem.

Gdyby chwilę wcześniej spojrzała w okno...

Zobaczyłaby, że przygląda się jej para gorących od gniewu oczu.

Znalazła ich wśród wzgórz, na dnie wąwozu wypełnionego kamieniami, piaskiem i bryłami lawy. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, dostała do ręki szczotkę, pędzel i od razu stało się jasne, że z wyrażaniem swojego zdania będzie musiała poczekać. Czarek z obłędem w oczach biegał od profesora do Julii, a oni z takim samym szaleństwem biegali do niego, starając się nie zahaczyć o porozciągane na ziemi sznurki, które dzieliły powierzchnię na równe części.

- Gigant! - wykrzykiwał podekscytowany profesor, patrząc na to, co wystawało ze ściany zbrocza. - Po prostu gigant! Śliczny! Śliczny!!!

Lutka przyjrzała się przyczynie poruszenia. Z warstwy brunatnej ziemi wystawało coś podobnego do brzegu starej popękanej miski. O co tyle krzyku?

- Malutka, żółw! - wykrzyknął rozradowany Czarek. - Prehistoryczny!

Uśmiechnęła się dla towarzystwa, ale za bardzo nie rozumiała, skąd ten entuzjazm. Przecież szukano szczątków człowieka! Hm. W tym momencie doznała dziwnego wrażenia, że powinna powiedzieć o czymś profesorowi. Ale o czym?

- Dobrze mieć żółwia. - Czarek podparł się rękami i zapatrzył z lubością w znalezisko. Najwyraźniej nie dąsał się już o te kilka słów, które rzuciła mu w nocy po telefonie Roberta. - Kości zwierząt są bardzo potrzebne do ustalania wieku odgrzebanych ludzi.

Odgrzebanych?

Przecież po to Czarka znalazła. Grzebał w jej rzeczach!

Już zbierała się, żeby okazać swoje niezadowolenie, kiedy Julia wrzasnęła na całą okolicę:

- Jajo!!!

Skamieniałe jajo żółwia, które tkwiło między kamieniami tuż przy zwierzęciu, stało się przebojem dnia. Aż do obiadu był to temat numer jeden - żadnych szans, żeby z Czarkiem poważnie porozmawiać, gdyż on nieustannie rozmawiał z kimś innym. Na Lutkę nie zwracał zbytnej uwagi. Oczywiście zapomniał również o obiecanej wycieczce, ale nie miała o to pretensji. Znaleziska napełniły go takim szczęściem, że podekscytowanie udzieliło się w końcu i jej. Nawet własnoręcznie oczyściła fragment skorupy szczoteczka do zębów!

Po obiedzie wzniesiono z okazji odkrycia kilka toastów piwem Tusker i profesor zarządził przygotowania do wylotu na tańce. I znowu Lutka zapomniała o reprimendzie. Kuląc się za klatką Frygi, włożyła najładniejszą sukienkę, jaką przywiozła i... Spojrzenie Czarka mówiło wiele. A potem mówił on sam. Mówił bardzo miłe rzeczy, od których prawie

zakręciło się jej w głowie. Oczywiście szczęście nie trwało długo. Po dawce komplementów zaczął bredzić o traperach, które powinna koniecznie przywdziać do tej uroczodokrywającej ramiona szatki. Osobiście spryskał ją też brutalnie środkiem na komary i przez dziesięć minut protestował przeciwko zabraniu do wioski Frygi.

Aż trudno uwierzyć, ale...

Postawiła na swoim!

Do Loiyangalani - osady nad jeziorem Turkana - dotarli po niecałym kwadransie lotu.

Podczas tej podróży Lutka zobaczyła to, co Czarek nazwał barierą wulkaniczną. Bajka! Pod nimi znajdował się rudoczarny obszar obłożony babkami z piasku. Kopce wulkanów nasuwały też skojarzenie z bąblami powietrza w gotującym się budyniu. Oczywiście stożki trwały nieruchomo, nie ziały ogniem, ale wcale nie wyglądały przez to mniej groźnie. Poruszająca była już sama świadomość, że przelatywało się ponad czymś, co dawno temu z olbrzymią siłą rozrywało ziemię i brutalnie kształtowało krajobraz.

- Możesz obejrzeć fragment Wielkiego Rowu Afrykańskiego. - Czarek pokazał na boczne okna. - Ciągnie się przez tysiące kilometrów. To takie tektoniczne pęknięcie, które podzieliło Afrykę na dwie części i zmieniło klimat. Może dlatego powstał człowiek? Okoliczności zmusiły go do zmiany trybu życia.

- Po prostu ziemia po wschodniej części rowu została wypiętrzona i znalazła się w strefie bezdeszczowej! - przekrzyczał Czarka profesor. - Lasy ustępowały! Człowiek musiał wyjść na sawannę. Zaczął chodzić, ale oczywiście nie od razu. A tu jest Teleki, jeden z wulkanów Turkana!

Lutka uśmiechnęła się na myśl, że znalazła się w towarzystwie szalonych naukowców, którzy nie przepuszczą żadnej okazji, żeby napomknąć o swoim fiole, ale posłusznie zerknęła w pokazywaną przez profesora stronę. Olbrzymi lej tonął w

nefrytowozielonej wodzie, która lśniła w słońcu tak, że trzeba było mrużyć oczy, pomimo założonych okularów przeciwsłonecznych. Bezmiar wody, jej intensywny kolor i wiatr obijający się o samolot - wszystko to zapierało dech w piersiach. Lutka delektowała się pięknem, ale już od paru minut nie potrafiła opanować zawrotów głowy. Bała się, że za chwilę spadnie z fotela, chociaż Festus prowadził maszynę sprawnie. Fryga również była niespokojna. Miotła się dziko po transporterze, aż Lutka bała się, że zrobi sobie krzywdę, uderzając o ściany klatki.

- Największe pustynne jezioro na świecie! - poinformował Czarek i zatrzymał na Lutce spojrzenie. Chyba zorientował się, że coś jest nie tak, bo zapewnił: - Zaraz lądujemy. Już widać chaty!

Festus zerknął w lusterko i również zobaczył jej nieszczerą minę.

- W wiosce jest szaman. Potrafi wyleczyć wszystko!

Pewnie.

Lęk wysokości, lęk przed lataniem, lęk... przed Czarkiem również?

Po makabrycznie nieprzyjemnym lądowaniu samolot wreszcie się zatrzymał.

W porządku. Następną porcja powietrznych doznań nastąpi dopiero jutro rano. A do tego czasu Lutka zamierzała się dobrze bawić.

Po chwili wirowały jej przed oczami tylko trzy barwy: zieleń wody, żółtość chat i błękit nieba. Rozglądała się wkoło zachwycona. W wiosce leżało mnóstwo nieuprzątniętych kamieni. Niektóre były tak wielkie jak nad brzegiem Logipi, ale tu znalazły nowe zastosowanie - służyły do suszenia ryb. Lutka kroczyła zafascynowana pomiędzy domostwami z liści palmowych, pomiędzy kobietami, które patrzyły na przybyszów trochę nieufnie, a trochę z ciekawością. Mężczyźni też zerkali, ale udawali, że biali ich w ogóle nie obchodzą. Za to dzieci... Dzieci biegły tuż za nimi zwartą grupką roześmiane, skore do figli i zabawy - jeden z chłopców toczył przed sobą starą oponę samochodową i wyglądał na przeszczęśliwego. Przez krótką

chwilę wydawało się jej, że w gromadzie dzieciaków zobaczyła też Bambo. Odwróciła się jeszcze raz, ale wzdłuż wąskiej ścieżki zgromadziło się już tylu ludzi, że odszukanie kogokolwiek w tej płataninie brązowych ciał stało się niemożliwe.

Lutka podziwiała zwłaszcza stroje kobiet, bo większość stojących przy chatach mężczyzn ubrana była w zwykłe podkoszulki lub T-shirty, co nieco ją rozczerowało - dobrze, że przynajmniej nie chodzili w spodniach, ale wiązali wokół pasa zwoje wzorzystego materiału.

Kobiety za to wyglądały bardziej oryginalnie. Silny wiatr, który niósł ze sobą ziarenka piasku, rozwiewał ich kolorowe chusty. Na szyjach dźwigały obręcze żółto-czerwonych koralów, w uszach prawie wszystkie miały mnóstwo srebrnych kółek i kolczyków w kształcie liści brzozy. Ze zdziwieniem zauważyła też, że niektóre przekłuwały uszy małymi patyczkami. A może były to ciernie akacji? Plemienna moda dyktowała także fryzury - wszystkie Turkanki goliły włosy. Zostawiały jedynie pojedyncze pasma na czubku głowy w postaci krótkich i drobnych warkoczyków, niekiedy barwionych na czerwono.

Lutka już wyciągała z torby aparat, ale podążający za nią Festus złapał ją przezornie za rękę.

- Bez ich zgody nie można. Trzeba zapytać i zapłacić. Ale najpierw musimy iść do wodza.

Wódz był najwyższym mężczyzną, jakiego Lutka kiedykolwiek widziała. Z podziwem patrzyła na jego patykowate i niewiarygodnie długie nogi. Tak zapewne musiała się czuć mrówka przy żyrafie - pomyślała, zadzierając głowę. Po wymianie grzeczności zostali zaprowadzeni do lodży, czyli małych, błękitnych domków krytych blachą, w których mieli spędzić noc. Profesor zasugerował kąpiel w basenie, a sam wziął wodza na stronę. Pewnie zamierzał poruszyć z nim sprawę morderstwa Nyete. Po kilku chwilach wrócił jednak niepokieszony. Wchodząc do basenu, posłał Czarkowi ponure spojrzenie oznaczające, że niczego się nie dowiedział.

- Nyete widzieli tu ostatni raz z nami na tańcach - powiedział niezbyt głośno, gdyż parę metrów dalej pluskała się kilkusobowa grupka turystów, dla których organizowano dzi-

siejszy pokaz. - Potem kamień w wodę. - Pacnął taflę otwartą ręką.

- A szef policji już tu był? - zainteresował się Czarek.

- Był. Ale podejrzewam, że usłyszał to samo co ja.

- Nikt nie gościł Nyete w nocy w swojej chacie? Niemożliwe! Może jakaś kobieta...

- Wódz przepytął wszystkich. Nyete u nikogo nie nocował.

- Dziwne. - Czarkowi nie chciało się wierzyć. - Przecież ktoś musiał coś widzieć. Tu jest pełno ludzi. Nie można tak po prostu zniknąć, a potem wylądować nad Sugutą ze sznurkiem na szyi. A jacyś obcy? Nie kręcił się wtedy w pobliżu wioski nikt obcy?

- Wódz na ten temat nic nie mówił.

- Może sami powinniśmy popytać, a nie zdawać się na wodza?

Festus łypnął na nich okiem, co profesor zinterpretował właściwie:

- Obawiam się, że zostałyby to odebrane jako brak zaufania.

- Czyli co? - Czarek nie był zadowolony. - Co robimy?

- Chłodziśmy głowy. - Profesor zapatrzył się na pływającą Julię i poprawił mokre włosy. - Dzisiaj tańczymy, jutro wracamy do pracy.

- Mamy się poddać?

- Ja przyleciałem do Afryki, żeby pracować, młody człowieku. - Po raz pierwszy w głosie profesora zabrzmiała stal i Lutka pomyślała, że ten mężczyzna nie jest tylko zabawnym starszym panem, który cieszy się z każdego wygrzebanego z ziemi ohydztwa. - A Nyete zamordowano na... mojej zmianie, dlatego próbowałem to wyjaśnić. Napotkałem mur. Masz ochotę, przebijaj go sam. Ale zabraniam ci rozmawiać z Turkanami, bo nie będziemy mieli wstępu do wioski. Nie radzę też pobierać odcisków palców - dodał na zakończenie z lekkim przekąsem.

Festus milczał, wyrażając w ten sposób aprobatę dla decyzji przełożonego. Dwaj przysłuchujący się wymianie zdań łowcy zgodnie odwrócili głowy.

Czarek nie wyglądał jednak na kogoś, kto właśnie został skarcony.

- W porządku - powiedział tylko tyle, ale Lutka już wiedziała.

Oznaczało to żelazne postanowienie wyjaśnienia sprawy. Oczywiście zamierzała mu pomóc.

Tańce zapamiętała jako feerię barw i dźwięków.

Siedzieli przy ognisku i jedli pieczone ryby, a przed nimi toczyło się widowisko przy akompaniamencie śpiewów, tupania stóp i miarowego brzęczenia grzechotek. Kobiety z plemienia Turkana tańczyły ubrane w spódnice z kozich skór, którymi machały na boki, co powodowało charakterystyczny odgłos podobny do łopotania flagi na wietrze. Na uroczystość przyszły wystrojone. Niektóre z ich ozdób wyglądały zabawnie - na przykład jedna z kobiet za pomocą grzebyka umocowała sobie na czubku głowy sterczący na kilkanaście centymetrów drut zakończony czerwonym pomponem! Po sposobie zachowania elegantki Lutka pojęła, że ozdoba musiała być uważana za wyjątkową. Pozostałe panie powpinały we włosy zwiewne białe pióra albo korale. Mężczyźni również zadbali o wygląd. Niektórzy stawili się na tańce w nieśmiertelnych podkoszulkach, ale na głowy powkładali zabawne czapeczki ozdobione wzorami. Nie brakowało też kilku Turkanów w nieco sfatygowanych kapeluszach.

Lutka spodziewała się jakichś instrumentów, tymczasem okazało się, że mieszkańcy wioski sami zadbali o oprawę muzyczną. Potrafili skakać, wybijać stopami rytm i śpiewać przez dwie godziny nieustannie! I chciało się do nich dołączyć i podzielać ich radość. O ile wcześniej Lutka czuła, że przyjęto ich tu nieco chłodno, o tyle teraz - płasząc wśród tych ludzi - odnosiła wrażenie, że się z nimi jednoczy. Trochę się śmiali, widząc, jak nieporadnie próbuje ich naśladować, ale był to śmiech przyjazny i życzliwy. Nie protestowała więc, kiedy po zakończeniu tańców podszedł do niej jakiś starszy mężczyzna i

bez zbytnich ceregieli po prostu pociągnął ją za sobą. W przełocie rzuciła spojrzenie Festusowi, który dał znak, że czuwa. Niespodziewanie pojawił się też w pobliżu Czarek, który tańczył do tej pory w towarzystwie Julii i zdawało się, że poza asystentką świata nie widzi, zdrajca.

- Co jest? - zapytał.

- Twoja żona ma wizytę u szamana - wyjaśnił Festus. - Spokojnie, stary nic jej nie robi. Chodź, będę tłumaczył.

Lutka zdążyła się przestraszyć.

Mężczyzna zaciągnął ją do wypełnionej szmatami chaty i dopiero wtedy spojrzała mu w twarz. W świetle lampy naftowej zobaczyła poorly zmarszczkami brunatną maskę, w której tkwiło dwoje zażółconych oczu. Wpatrywało się w nią tylko jedno z nich. Drugie, pozbawione prawie całkowicie tęczówki, wyglądało jak rozlane na przypalonej patelni jajko. Starzec uśmiechnął się dla zachęty, pokazując w jamie zapadniętych ust kikuty zębów. Kiedy sięgnął ręką, żeby dotknąć jej włosów, omal nie krzyknęła.

W tej samej chwili do środka weszli Festus z Czarkiem. Narreszcie! W maleńkiej chacie zrobiło się naraz bardzo ciasno. Starzec przywitał mężczyzn i po krótkiej rozmowie z pilotem rozkazał im obu usiąść w wejściu. Za ich plecami zgromadziły się już rozradowane nocną zabawą dzieci. Śmiech podział na Lutkę kojąco, ale starzec wychylił się na zewnątrz i rzucił kilka urwanych słów, które przyniosły nadspodziewany efekt. Buzie maluchów spoważniały, a po chwili żaden z nich nie próbował już przeszkadzać. Dzieci w kompletnej ciszy odeszły.

Lutka zaczęła się trząść.

Nie potrzebowała żadnego szamana! Pozwoliła się tu zaciągnąć, bo tańce wprawiły ją w dobry humor. Myślała, że to jakieś żarty, że czeka ją kolejna porcja zabawy. Poza tym z lękiem przed lataniem da się przecieżyć żyć. Nie zamierzała urządzać sobie co tydzień wycieczek samolotem na zakupy do Paryża. I szczerze wątpiła, żeby jakieś magiczne rytuały na cokolwiek pomogły. Przesady! Już chciała wstać i grzecznie przeprosić, ale wstrzymała się.

Staruszek wyciągnął z puszek po farbie wyświechtane zawi-

niątko i przez moment podrzucał je w powietrzu, mamrocząc coś do siebie z zamkniętymi oczami. Kiedy podjęła decyzję, było za późno. Przetarł podłogę i rozsypał zawartość woreczka wprost na ziemi. Zahuścił się nad kamieniami, koralami i guzikami, które leżały w artystycznym nieładzie, a potem zaczął wyrzucać z siebie słowa. Bełkotał. Krzyczał. Zawodził. Chwilami Lutka odnosiła wrażenie, że śpiewał. Sparaliżowana patrzyła to na jego wystające zębra, to na kąciaki ust, gdzie powoli gromadziła się ślina. Czuła się coraz gorzej. Ogarniała ją jakaś dziwna duszność. Pojękiwania starca, gorzkawy zapach, który unosił się w chacie... Musiała wyjść na powietrze. Zaczerpnąć tchu! Uciec!

Żeby dodać sobie odwagi, popatrzyła na Festusa.

Był przerażony.

I unikał jej wzroku.

Jak miała to rozumieć?

Po całej wieczności starzec wreszcie zamilkł. Jednak nie otwierał oczu, a jego wychudzone ciało wciąż dygotało.

I co teraz?

Czy ona może już stąd pójść?

Kiedy szaman ocknął się wreszcie z letargu, łypnął nieprzytomnie i wybełkotał coś do Festusa. Pilot zerwał się na równe nogi.

- Musimy iść, on chce odpocząć. A mąż niech zapłaci. - Ostatnie słowa skierował do Czarka, który stał obok chaty ze znakiem zapytania wypisanym na twarzy.

- Kurde, już płacę. - Zaczął w popłochu grzebać po kieszeniach. - Ale ile? Jakiś cennik tu mają czy coś...

- Daj tyle, ile możesz - przemówił grobowym głosem Festus. - Tyle ile warta jest dla ciebie żona.

- A mogą być złotówki?

Dalej wydarzenia potoczyły się w takim tempie, że Lutka nie wiedziała w ogóle, co się dzieje. Po wyjściu z chaty dopadła Festusa, żeby jej wytłumaczył, co mówił szaman i dlaczego pilot

patrzy niepewnie to na nią, to na Czarka. I wygląda przy tym, jakby widział dwie zjawy.

- Stary! - Czarek też zaczął się już niecierpliwić. - Odezwij się, bo my tu zaraz z wrażenia popuścimy. A przynajmniej ja. Co to wszystko było?

Najwyraźniej próba wyleczenia Lutki z lęku przed lataniem przybrała obrót nieco inny od zamierzonego. I wcale mu się ten obrót nie podobał. Wystarczyło spojrzeć na roztrzęsioną pacjentkę.

Festus zaczerpnął powietrza, po czym wyrecytował:

- Kości. Dużo kości, dużo duchów. Człowiek o kamiennym sercu. Złe zamiary. Złote włosy. Śmierć w wodzie, śmierć w piasku. Wielka strata. Skarb. Zasadzka. Ogień.

Czy to się działo naprawdę?

Lutka zastanawiała się, czy powinna wziąć na poważnie to, co usłyszała, czy raczej uśmiechnąć się na znak, że nie dała się nabrać. Czarek też zerkał kątem oka na pilota i rozważał, czy to czasem nie jakaś kolejna atrakcja wieczoru. Może jest tu taki dziwny zwyczaj, że zaciąga się turystów do najbrzydszego starucha w wiosce, a potem słucha się mrozących krew w żyłach historii? Tylko że Festus to równy gość, który dał się do tej pory poznać jako rozsądny i inteligentny facet. A może zaraz roześmieje się tubalnie, głośno, jak tylko on potrafi? I powie, że to żart. Taka zielona noc, jak na koloniach. Cholera, czy w Afryce wiedzą, co to jest zielona noc?

Wątpił.

- No cóż... - powiedział tylko i nie przestawał obserwować Festusa. Jednocześnie podszedł do Lutki i wziął ją pod ramię, bo wyglądała, jakby miała się za chwilę przewrócić. - Czy to jakaś przepowiednia?

- Nie należy lekceważyć tego człowieka - przestrzegł olbrzym.

- Czyli?

- Czyli trzeba się zastanowić - oznajmił Festus kategorycznie. - Kiedy tańczyłście, powiedziałem szamanowi o problemie Lutki z lataniem. Żeby coś poradził. Ale stary miał wrodzone. To bardzo ważne. On widzi przyszłość.

- Podśpiewywał prawie pół godziny, a powiedział tylko tyle? - Czarek sceptycznie pokręcił głową.

- Przekazałem wszystko, co istotne. Widzenie to nie czytanie książki. Szaman też mówił hasłami.

- W porządku. To co? Mamy się bać?

Czy on wierzył, że można wykraść tajemnicę przyszłości? W zasadzie wierzył. Może dlatego czuł się nieswojo. Jeśli to, co mówił staruszek, było wizją, to on, Cezary Trębacz, na żadne zasadzki, duchy i inne takie kretyństwa nie pozwoli. Będzie Lutkę chronił, będzie chronił obóz. Co jest, do cholery! Niech nikt nie zadziera...

- Myślę, że trzeba powiedzieć profesorowi - po chwili zastanowienia oznajmił Festus. - Była mowa o kościach, więc to pewnie dotyczy całego obozu.

- Czy mam rozumieć, że rozmawiamy poważnie? - upewniła się Lutka.

Ponieważ nie otrzymała odpowiedzi, grzecznie odsunęła ramię Czarka i postanowiła poczłapać do najbliższego głazu, który znajdował się parę metrów przed nimi. Tam zastanowi się, co o tym wszystkim myśleć. Od siedzenia po turecku w chacie szamana zdrętwiały jej nogi. Musi je rozprostować. A potem powinni wracać do łodzy. Frygę co prawda powierzyła kobiecie opiekującej się pokojami, ale była o nią niespokojna, bo nie zostawiała jej nigdy tak długo zamkniętej w transporcie-rze.

- Szaman powiedział coś jeszcze. - Festus nieco ściszył głos i zaciągnął Czarka pod żywoplot z kolczastych gałęzi, tak że nie byli widoczni od strony wioski.

- Prowadzisz mnie w ustronne miejsce, nieźle się zaczyna. Dawaj, słucham.

- Powiedział, że tylko biały człowiek może zapobiec nieszczęściu.

- Aha. I to niby ja?

- Jesteś biały. Jesteś sprytny i silny.

- Naprawdę, bardzo mnie wzruszyłeś, ale profesorowi też sprytu nie brakuje. Nie mówiąc już o kolorze skóry.

- Cezary. Nie lekceważ szamana - powtórzył twardo Festus.

- Stary WIDZI. Powiedział o białym, a ja wiem, że chodziło o ciebie.

- I dlatego ciągniesz mnie w krzaki? Nie mogłeś tego powiedzieć przy...

- Nie chciałem, żeby twoja żona się martwiła.

Słowa pilota nie zdążyły przebrzmieć, kiedy w oddali - tam gdzie siedziała Lutka - coś zaczęło się dziać.

Coś niedobrego.

Wokół kamienia zakotłowało się nagle od ludzi. Rozległy się odgłosy szamotania. Zachrzęściły kamienie.

- Tam! - krzyknął Czarek i rzucił się do przodu. Lutka patrzyła w niebo.

W Katowicach zdarzało się jej chodzić z Agunią do rosarium i spoglądać na gwiazdy. Ale nigdy nie widziała tylu rozświetlonych srebrnych światełek, które jak lampiony na wieczornym festynie oblepiały cały horyzont. Od góry do dołu!

Kiedy usłyszała za sobą ruch, pomyślała, że to Czarek z Festusem skończyli wreszcie toczyć swoje magiczne rozważania o przepowiedniach. Ale... Nawet jakiś czas później, kiedy bezpieczna siedziała już ze wszystkimi przy stole, nie potrafiła opowiedzieć, co się stało.

Poczuła szarpnięcie.

Ktoś zatkał jej usta i złapał od tyłu, ściągając z kamienia. Szamotała się. Usiłowała kopać. Dookoła zaroilo się od postaci. A może było ich tylko kilka? Stały zbyt blisko, napierały tak, że nie potrafiła się ruszyć. Nagle ktoś przyłożył jej do szyi coś ostrego. Nóż? Czy to nóż? Próbowała się odchylić. A potem już nie panowała nad własnym ciałem. Gwiazdy straciły ostrość, były już tylko mlecznymi smugami światła. Zanim zemdlą, zobaczyła pochyloną nad sobą twarz.

Twarz Musy.

Ze względu na rozmiary ciała Festus nie był najlepszym biegaczem.

Narobił za to takiego rabanu, że zewsząd zaczęli nadbiegać

mieszkańcy wioski. Kobiety krzyczały, mężczyźni rzucili się w pogoń, bo intruzi - widząc, że podstęp się nie udał - porzucili nieprzytomną Lutkę i popędzili w kierunku wzgórz. W oddali zamajaczyły włączone światła auta.

Czarek wiedział, że Festus zaopiekuje się Lutką. Biegł. Teraz było ważne, żeby dopaść tych drani. Żeby nie zwolnić! Po kilku minutach rozpaczliwej pogoni dostrzegł, że odległość pomiędzy nim a uciekającymi stale się zwiększa. Skubańcy! Najwyraźniej mieli więcej wprawy w bieganiu po kamienistych badziewiach. Pewnie pomykali w sandałach zrobionych z samochodowych opon, a jego buty świetnie chroniły przed skorpionami, ale były ciężkie.

Byle do przodu!

Nie da za wygraną.

Nawet jeśli miałyby wypłuć z siebie flaki.

W pierwszej chwili nie zrozumiał, co oznacza ten suchy, grzechoczący dźwięk. Dopiero kiedy usłyszał przyskające na wszystkie strony kamienie, pojął.

Strzelają do niego!

Dalej!

Odskoczył w bok, żeby nie znajdować się w tej samej linii co mierzący z karabinu, i biegł. Chociaż gardło aż pękało od haustów łapanego powietrza. Biegł.

Zwolnił, dopiero kiedy usłyszał odgłos silnika.

A potem znowu seria.

Po chwili cisza.

Do wioski wracał wykończony i wściekły. Miał trochę czasu, żeby się uspokoić i zastanowić, bo znajdował się w sporym oddaleniu od chat i droga powrotna trochę mu zajęła. Cholerny szaman! Cholerne przepowiednie! To się tak nie skończy, o nie. Cezary Trębacz nie da za wygraną.

W wiosce zastał poruszenie. W miejscu, gdzie zostawił Festusa, nikogo nie było, za to wszędzie roilo się od uzbrojonych wojowników. Przy chacie wodza stał rozgorączkowany profesor.

- Jesteś cały?! - wykrzyczał na jego widok z widoczną ulgą.

- Cały.

- Mamy go! - zawiadomił kogoś w oddali i poklepał Czarka po ramieniu. - Szukaliśmy cię. Co ci strzeliło do głowy?

- Strzeliło? Dobrze powiedziane. - Zaczynało do niego docierać, że chwilę temu tam, na otwartej przestrzeni, gonił niewidoczne czarne cienie. - Właśnie doświadczyłem na własnej skórze, jak to jest, kiedy ktoś mierzy do ciebie z kałasznikowa. Ekscytujące, cha, cha.

Profesor nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Poprzestał na uniesieniu brwi. Nie tak dawno zalecił przecież Czarkowi samodzielne przebijanie „muru”. Nie przypuszczał jednak, że chłopak jest tak uparty. Z niezręcznej sytuacji wybawił go wódz. Wyszedł z chaty w towarzystwie kilku mężczyzn.

- Bandyty to Somalijczycy - oświadczył. - Gabbra mówili nam wczoraj, że w pobliżu Kalacha krąży cała ich banda. Chcieli pewnie porwać mzungu dla okupu.

- Ale przecież Somalia leży kawał drogi stąd.

- Bandyty to byli Somalijczycy. - Wódz zdawał się nie przyjmować sprzeciwu. Powtórzył swoją kwestię z niewzruszonym spokojem, patrząc w stronę srebrzącego się na horyzoncie jeziora. - Będziemy pilnować wioski. Idźcie spać.

Z doświadczenia profesor wiedział już, że z wodzem się nie dyskutuje. Poszli więc do łodzi, gdzie przed domkiem zastali Lutkę popijającą beznamiętnie coca-colę. Wzrok miała przyćmiona, włos rozczochrana. W ogóle wyglądała jak siedem nieszczęść. Na jej widok Czarka coś w środku ścisnęło.

Nie tylko jego.

Profesor dosiadł się do Lutki i od słowa do słowa wydobył z niej całą historię. O tym, jak Musa spojrział na nią po raz pierwszy i jak ją to spojrzenie zmroziło. O tym, że ktoś grzebał w jej bagażu. O znalezionych w kuchni rzeczach. I o ostatnim zdarzeniu. Tu. W wiosce. Kiedy usiłowano ją porwać. Kiedy usiłował ją porwać Musa.

W tym miejscu wtrącił się Festus, który uzupełnił historię o szczegóły wizyty u szamana. Nie zapomniał też o pościgu i strzałach. Kiedy skończył, wszyscy wpatrywali się w milczeniu w Czarka. Lutka też. Wreszcie zaczęła wyglądać jak człowiek - wyraz obojętności spelzał z jej lica, które jakby nabrało rumień-

ców. Czyżby po wygłoszonej przez pilota laudacji? Festus trochę przesadził, zrobił z niego bohatera. Ha! Pewnie ma swój plan. Liczy, że pod wpływem pochwał Czarek będzie rzucał się z gołymi rękami na somalijskich zbirów. No, będzie się rzucał. Ale kupi zaraz jakiś sprytny pistolecik. Będzie się rzucał, bo tak postanowił. On. Nie Festus, nie jakiś stary spryciarz wróżbita, który wydebił od niego za „wizję” trzydzieści dolarów.

Ze złotówkami to był oczywiście żart. Zawsze nosił w obcym kraju dolary, bez względu na obowiązującą walutę.

- Takie tam ble, ble - skwitował przemówienie pilota. Nie zamierzał pozować na żadnego Indianę Jonesa, choć to uznanie w oczach pań... - Proponuję zrobić naradę - zagadał i również sięgnął po colę.

- Tak jest! - zapalił się profesor. - Czy na początek Lutka może dokładnie opisać ten naszyjnik, który zobaczyła w kuchni? Mówiła coś o zębach. Ja bym chciał wiedzieć, bo coś mi się skojarzyło. Mam nadzieję, że się mylę.

Opisać naszyjnik? Nie ma problemu. Był to zwykły brązowy rzemyk, na który nawleczono jakieś olbrzymie poźółkłe zęby. Niezbyt estetyczna ozdoba zdaniem Lutki. Ale w Afryce inaczej rozumiano piękno. Podczas tańców widziała na przykład mężczyznę, który miał zrobioną pod dolną wargą dziurę. Tkwiło w niej coś okrągłego, do złudzenia przypominającego korek od butelki.

- A ile tych zębów było?

- Trzy - odpowiedziała zgodnie z prawdą.

Profesor opuścił głowę. Festus chrząknął.

- Coś nie tak? - zapytał Czarek.

- Taki naszyjnik nosił Nyete - westchnął ciężko Munson. - Dałem mu te zęby na pamiątkę. Zęby tygrysa szablatozębnego. Miały mu dodać odwagi.

- Ale dlaczego ten wstrętny Somalijszyk go zabił? - zapytała ze smutkiem Julia.

Nikt jej nie odpowiedział. Nikt też nie miał wątpliwości, że po powrocie do obozu nie zastaną w nim Musy. Sytuacja zaczęła się powoli klarować.

- On wcale nie jest kucharzem - rzucił Festus. - Chciał się

po prostu dostać do obozu. Dlatego zamordował Nyete. Żeby się zwolniło dla niego miejsce.

- Skąd mógł wiedzieć, że zadzwonimy do Tuum, żeby znaleźć nowego kucharza? - Julia zadała trafne pytanie.

- Tym bardziej że to dyrektor Tuum zadzwonił do mnie i spytał, czy nie potrzebujemy kogoś do pracy - dodał niewesołym głosem profesor.

- Jak to? Myślałam...

- Tak właśnie było. Oczywiście nie podejrzewam dyrektora misji o konszachty z przestępcami. Co nie zmienia faktu, że pierwszy do niego nie zadzwoniłem. Nie wiem, jak to wytłumaczyć. Ale na razie nie otrzymamy odpowiedzi na pytanie, bo dyrektor wrócił do domu. Do Niemiec.

- Chyba że zawiadomimy policję i oni już go sobie przepytają - słusznie zauważył Czarek, ale profesor skrzywił się, jakby ktoś podstawił mu pod nos coś wyjątkowo śmierdzącego.

- Tak... - Z niechęcią pomyślał o szefie policji. - Trzeba go będzie zawiadomić i o znalezionych przez Lutkę rzeczach, i o porwaniu. Zaraz tam zadzwonię. Cóż! W takim razie chyba znaleźliśmy mordercę.

- Musa zabił, żeby w zastępstwie Nyete mieszać w garze?

- Czarek nie wyglądał na przekonanego. - Coś mi się nie chce wierzyć. Czemu w takim razie usiłował porwać Lutkę? Myślę, że chodziło o coś więcej.

- To jak to wszystko wyjaśnić? - Profesor bezradnie rozłożył ręce.

- Moim zdaniem na razie nie da się tego wyjaśnić, bo mamy za mało informacji. Ale coś mi tu nie gra. Za bardzo naciągana ta historia. Musa morduje Nyete, żeby być kucharzem, a potem postanawia zostać dla odmiany porwaczem. Facet jest po prostu wszechstronny. Nie widzicie, że coś tu nie pasuje?

- Stwierdził, że gotowanie dla naukowców przerasta go intelektualnie - wyjaśniła zgryźliwie Julia. - I postanowił zmienić profesję.

- A może to kwestia naszej odmiennej mentalności? Jak myślisz, Festusie? - profesor zagadał do wielkoluda. - Czy dla

zdobycia pracy można odebrać komuś życie?

- Można. - Festus nie pozostawił co do rozważanej kwestii żadnej wątpliwości i zaraz przeszedł do szczegółów: - Musa ściągnął Nyete naszyjnik, żeby go było trudniej rozpoznać. Swoje rzeczy zaniósł do kuchni. Dobre miejsce. Nikt nie zagłada do szafek. Żaden mężczyzna.

- Ja zajrzałam - przypomniała Lutka. - I chyba domyślam się też, skąd Musa wiedział o tańcach. Przecież przy naszyjniku był telefon! Mógł bez problemu zadzwonić do wioski i zapytać, kiedy organizują tu jakąś uroczystość.

- Tańce. - Pokiwał głową profesor, który powoli zaczynał łączyć ze sobą pewne fakty. - Chciał nas wyciągnąć z obozu. Bo tam mamy żołnierzy i nie byłoby tak łatwo. A tutaj jest idealnie. Tłum ludzi, dostęp do drogi. Tylko czemu wybrał Lutkę?

- Blondynki są cenniejsze - bąknęła Julia.

Festus nagle wstał od stołu.

- Słuchajcie, przecież w wiosce tylko jeden człowiek ma telefon komórkowy!

Profesorowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Pomimo późnej pory poszedł z pilotem zawiadomić wodza. Może Somalijszyk znalazł w wiosce sprzymierzeńca? Lepiej nie czekać z wyjaśnieniami.

- Zastanawiam się też, czego Musa szukał w moich rzeczach - zamyśliła się po ich odejściu Lutka.

- Pewnie dokumentów. - Czarek spojrzał na księżyc, który przypominał dzisiejszej nocy żółty naleśnik. - Jakbym kogoś porywał, to chciałbym wiedzieć, kogo porywam. Adres by się przydał. Żeby szantażować rodzinę...

- I co? Napisałbyś do rodziny czuły list?

- Dobrze, że nie tracisz poczucia humoru. Znaczy, dochodzisz do siebie, maleńka. Cieszę się. Czuły list? No faktycznie.

Bez sensu. To nie wiem. Może Musa chciał coś ukraść? Ja też miałem wrażenie, że z moimi rzeczami jest coś nie w porządku. Ale myślałem, że to ty czegoś szukałaś.

- Na przykład?

- A skąd mam wiedzieć? Baby generalnie lubią myszkować.
- Kto ci ponabijał głowę takimi schematami? - Wpiła się w niego spojrzeniem. - Baby to, chłopcy tamto! A może cały ten podział na męskie i żeńskie to fikcja? Może mężczyzna, zdobywca, a kobieta, strażniczka ogniska domowego to zwykła bujda? Próba wmówienia kobietom, że są o wiele mniej przebojowe, że władza należy się nie im, ale owłosionym stworom z penisami! Bardzo wygodna teoria. Dla was! Facet, król świata, baba, kuchta domowa. Łyżka zamiast berła, kibel zamiast tronu!

O rany!

Czy ona to powiedziała?

Przed chwilą, kiedy mierzyła się spojrzeniem z Czarkiem, nie wiedzieć czemu, znowu zobaczyła wykrzywioną w złości twarz Musy. Tak jakby nałożyły się na siebie dwa różne obrazy, jakby na moment zatarła się granica pomiędzy tym co teraz, a tym co wtedy. W efekcie bez ogródek powiedziała swoje zdanie. Używała dosadnych słów. Czyżby przeżycia dzisiejszego wieczoru wyzwoliły w niej inną Lutkę?

Rozmawiali po polsku. Julia zagadła do jednego z żołnierzy, ale chwilę potem usłyszała w toczącej się obok rozmowie taki ładunek emocji, że przyjrzała się im z zaciekawieniem.

Czarek długo wpatrywał się w Lutkę bez słowa, aż zaczęła podejrzewać, że usłyszy zaraz coś porażającego. I nie pomyliła się.

- Nooo! - Zaklaskał niby z uznaniem. - Tak jak myślałem. Lalunia taka niby spokojna, a jak pokaże pazurki... Nie trzeba się było z nimi ukrywać. Ja lubię ostre... Pazurki.

- Bez podtekstów, proszę.

- Gdzieżbym śmiał! - Wyprostował się jak struna. - Wracam do tematu. W tym, co mówiłaś, jest jakiś sens. Nie przeczę. Muszę przemyśleć. Ale - nagle zmienił ton - nawet bez długich rozmyślań widzę między... Jak to było? Widzę między owłosionymi stworami a nadobnymi białogłowami pewne różnice. Już nie wspomnę o banalnym fakcie, że natura skazała was na odmienność w kwestii rozrodu. Mnie interesują raczej smaczki psychologiczne. Na przykład

częściej dajecie się wyprowadzić z równowagi, zauważyłaś? Czy to jakiś defekt w kontrolowaniu emocji? Zdrówko! - Podniósł puszkę w kierunku Julii, ucinając w ten sposób dyskusję.

- Dokończymy naszą rozmowę... w łóżku - rzucił Lutce półgłosem. - A przypomnę ci, że nie zabrałaś swojego ulubionego worka karmy, moja słodka feministko.

A niech sobie Czarek prawi złośliwości. Ona delektowała się zwycięstwem.

Odważyła się!

Powiedziała, co myśli.

Zazwyczaj siedziała cicho, kiedy inni rozmawiali. Żeby czegoś nie palnąć. Sam na sam też nie wypadała najlepiej. Niejednokrotnie stwierdzała, że jej narządy mowy działają w sposób sprzeczny z przeznaczeniem. Ilekroć znajdowała się w towarzystwie mężczyzny, zęby zaciskały się, tworząc małą szczelinę, przez którą przechodziły jedynie dwa słowa: „tak” lub „nie”. Ale teraz... Otaczali ją mili ludzie, obok siedział facet, przy którym nie obawiała się wyjść na kretynkę, bo pewnie już dawno na nią wyszła, więc w sumie - jaka różnica? Od dzisiaj postanowiła głośno mówić, co sądzi. Nie bać się! Oczywiście bez przesady. Nigdy nie powie Czarkowi, że...

- Słucham? - Zdaje się, że Julia o coś zapytała.

- Jakie to uczucie być porywaną? - powtórzyła asystentka na pozór uprzejmie.

Lutka nie lubiła Julii. Chociaż nie potrafiła podać żadnego racjonalnego powodu. Po prostu. Do pewnych osób od razu czuje się sympatię, do innych wręcz przeciwnie.

- Polecam. - Posłała asystentce uśmiech gwiazdy filmowej.

- Jeśli ktoś szuka ekscytacji, nie ma nic lepszego niż porwanie.

- Okupy za turystów to podobno ostatnio jakaś plaga. - Julia, nieco zbity z tropu, zatrzepotała rzesami. Bynajmniej nie w kierunku Lutki.

- A pyskata blond piękność - Czarek udawał, że nie dostrzega napięcia pomiędzy paniami - która jest uczestniczką międzynarodowego obozu naukowego... To dopiero gratka! I

jakie perspektywy zarobku.

Dobrze, że cała sytuacja z porwaniem została omówiona, a teraz obrócona w żart. Lutka czuła się już całkiem normalnie. Nawet lepiej niż normalnie. Zdziwiona odkryła, że ma się wspaniale! Jak to leciało z tymi porwanymi księżniczkami? Jakoś tak, że siedziały w wieżach i przybywał wybawca. Lutka wątpiła, czy musiał się fatygować wspinaczką. Raczej bardziej prawdopodobne, że przeraźliwie znudzona niewiasta opuszczała się na linie z prześcieradeł i już na niego czekała. Bądźmy szczerzy, ileż można grać ze sobą w warcaby? Musa co prawda wyglądał raczej na świniopasa niż na księcia, ale ten dreszczyk emocji...

COŚ WRESZCIE SIĘ DZIAŁO!!!

Tylko ta Julia.

Mogłaby się nie mizdrzyć tak bezczelnie do jej męża.

Do jej męża?

Zapowiedziana łózkowa konwersacja odbyła się dopiero następnego dnia.

Bładym świtem.

W nocy Lutka zasnęła, zanim zdążyła machnąć choćby jedną kończyną, nie mówiąc już o mieleniu jęzorem. Może gdyby Czarek położył się z nią... Ale został jeszcze, żeby porozmawiać z profesorem. Trochę na niego czekała, trochę nawet obawiała się, czy z tego wspólnego dzielenia łoża nie wyniknie coś nieprzewidzianego. Pomyślała jeszcze, że jej życie bardzo się zmieniło. Nie przelatywało już przez palce, dzień nie włókł się za dniem coraz ciszej, coraz smutniej. W pustym mieszkaniu, w mieście pełnym ludzi, którzy mieli swoje sprawy, swoje problemy. Teraz po prostu ŻYŁA! Żyła pełną piersią. I chciała, żeby tak już zostało.

Z uśmiechem na ustach zapadła w głęboki kojący sen.

Kiedy nad ranem się przebudziła, nie wiedziała, co w płataninie odnóży pod prześcieradłem należało do niej. Chwilę leżała nieruchomo, bo miło było przytulać się do

męskiego ciała. Oj, miło. Aż za miło! Ale nie będzie się tu cielesnie uzależniać i wtulać. Sytuacja zaczynała wyglądać nieciekawie. Zrozumiała to wczoraj wieczorem. Nazwała Czarka swoim mężem! Tak jakby Robert nie istniał. Tak jakby go w ogóle w życiorysie Lutysławy Zaleskiej nie było. Trzeba koniecznie coś z tym zrobić. Dla własnego bezpieczeństwa.

Rozplątywanie nóg obudziło Czarka. Uniósł się na łokciu i spojrzął nieprzytomnie, ale z uśmiechem.

- Siemka, mała. Wyspana? I jak, nie lepiej chrapać bez kamieni granicznych?

- Nie lepiej.

- Ooo, bojowy nastrój od rana? Na to liczyłem. - Usiadł na łóżku i sięgnął po gumę do żucia. - Chcesz? Często się. Może kąpiel w jeziorze?

- O nie. Festus mówił, że pełno w nim krokodyli.

- Zapomniałem. To może basen?

- Może być. Tylko ja bym najpierw chciała porozmawiać.

- To rozmawiaj. Jestem... prawie cały do twojej dyspozycji.

- Udając zawstydzenie, podciągnął prześcieradło po samą brodę. - A o czym by pani chciała porozmawiać? I czemu tak oficjalnie? Przecież cały czas rozmawiamy.

- Ja bym chciała poznać twoje zdanie o widzeniu szamana.

- Miło mi, że staję się dla ciebie autorytetem. - Skinął uprzejmie głową. - Okej. Moje zdanie. Ale tak bez śniadania?

- Zaraz przyniosę do pokoju. - Zdobyła się na poświęcenie.

Opinia Czarka była dla niej naprawdę ważna. Widział pewne rzeczy inaczej niż wszyscy i chociaż niektóre jego uwagi doprowadzały ją do szewskiej pasji, wiele się od niego uczyła.

- Nie żebym lubił być obsługiwany, ale zgoda. Ja ci zdradzę moje zdanie, ty mi załatwisz żarcie.

- W porządku. - Lutka przystała na warunki i zamyśliła się.

- Najbardziej przeraziła mnie „śmierć w wodzie”.

- Też o tym myślałem. Chodzi o Nyete? Że śmierć w wodzie już była?

- Brzmi makabrycznie, co? Morderstwo...

- No, wiesz, morderstwo to są instynkty jeszcze z jaskini.

Kiedy samiec musiał walczyć o swoje stado i nie był religijnie ani socjologicznie zaprogramowany. Nie rób min - uprzedził jej słowa, ale tym razem Lutka nie pozwoliła się zagadać.

- Zaprogramowany? Czyli dobro i zło nie tkwią w człowieku tak po prostu?

- Kochanie, mieszasz pewne porządki. To nie była kwestia dobra i zła, ale przetrwania.

- A pojęcie matriarchat znasz? - natarła. - Wiesz, że był dużo przed tym, jak ten twój sfrustrowany samiec odkrył, że też coś potrafi? Matka Ziemia, Wielka Macierz... Słyszałeś?

- Wielka Macierz - powtórzył lekko znudzony. - Zostawmy już twoje bolączki płci, dobrze? Chyba że wolisz dyskusje o Marsie i Wenus zamiast wizji szamana. Decyduj. Bo mnie się tak nie chce skakać z tematu na temat. Zresztą nie widzę związku. A Wielką Macierz mam w tym momencie wiesz gdzie? Głodny jestem.

W sumie jeszcze zdąży z Czarkiem obgadać niektóre palące kwestie. Co prawda nie bardzo wiedziała, ile czasu zamierza zostać w obozie, ale ma przecież dwa miesiące wakacji. W Mombasie na pewno nie będzie tak ciekawie. Tam nie natknie się na szczątki prehistorycznego żółwia, z okien hotelu nie zobaczy stożka wulkanu całego w bladym, niebieskim świetle. I nikt nie będzie jej chciał porwać. Nie będzie przygody, wrażeń, wolności. Będzie Robert i jego wywody na temat dyscypliny moralnej... Tak, jeszcze jest dużo tematów do obgadania. Teraz, kiedy się przełamała i postanowiła wyrażać swoje poglądy, nie popuści. Ale to potem.

- Martwię się, że Festus może mieć rację - westchnęła ciężko. - Z kośćmi. Że wizja dotyczy nas wszystkich.

- Obóz ochraniają żołnierze. - Czarek nie widział problemu.

- Czterech żołnierze, bądź precyzyjny.

- O mojej precyzji to ty, maleńka, nic nie wiesz. Ale czterech.

- Czy ich nie powinno być czasem więcej?

- A inne chłopy to co? Pic na wodę, fotomontaż? Łowcy, profesor? Czy choćby moja czarująca osoba? - Czarek poglądził się po torsie. - Razem jest nas dwunastu facetów.

Całkiem fajna liczba.

- Musa nie był sam. - Lutka zadrzała na wspomnienie napierających na nią zbirów.

- Wiem. I tylko to mnie lekko martwi. Dlatego nie przekonuje mnie wersja z mordowaniem Nyete dla zastąpienia go w pracy kucharza. Coś się szykuje.

- Ale co?

- Łajno. Jakieś łajno. I bynajmniej nie liczę, że ten smród wykryje nasz Jenga. On ma wyjątkowo odporne powonienie. Zero kryminalnego nosa. Cóż. Nie ma wyjścia, komisarz Cezary Trębacz musi się za to wziąć sam - oświadczył z zadowoleniem. - Chyba że pomoże mu jego elokwentna współniczka Lutysława?

Współniczka zachichotała.

- To może jako osoba elokwentna zapytam, co z tym człowiekiem od telefonu, którego poszedł szukać Festus?

- Elokwencji tym nie potwierdzasz, kochanie, ale dobrze, że się starasz. Co do pytania, to dupa. Facet zostawił swoje palmowe M-3 i zwiął. Przedwczoraj, czyli w środę, po przybyciu do wioski Jengi. Tyle go profesor i Festus zobaczyli.

- Czyli zdradził swoich? Pomagał Musie?

- Dlaczego zaraz zdradził? Tu chodziło o turystów i o informację, kiedy będą tańce. A że wyszło z tego coś brzydkiego, może wolał zniknąć? Przeczekać? Nie wiem.

- I Musa znał przypadkiem numer jedyne go człowieka w wiosce, który posiadał komórkę? I niewinnie zadzwonił i zadał niewinne pytanie? Chociaż... - Lutka się zreflektowała.

- Co ja opowiadam, przecież nikt nie udowodnił, że do siebie dzwonił.

- O, widzisz. Wiedziałem, że ze współniczką to był dobry pomysł. Dedukuj, dedukuj, może dostaniesz w nagrodę... skarb? - Czarek wypowiedział ostatnie słowo z przesadną powagą i uniósł znacząco brwi.

- Wierzysz w przepowiednie? - spytała poważnie.

- Wierzę.

- Jak to?

- Tak to. Apokalipsa, a więc nawet Biblia, uznaje coś ta-

kiego. Ale wierzę też w człowieka i w to, że może o sobie decydować. Wolna wola. Są rzeczy od ciebie zależne, są i niezależne. Ale nawet jak coś od ciebie nie zależy, to i tak wychodzi na twoje, bo potem możesz się do tego ustosunkować. Proste.

- A jak się zamierzasz ustosunkować do tego, co powiedział szaman?

- Pozytywnie.

- To znaczy?

- To znaczy, że za chwilę zjem tutejsze placki z suszonego na słońcu mleka i nie zamierzam przejmować się przepowiedniami. Ale jak coś się będzie działo, to ręka, noga, mózg na ścianie. Nie pozwolę cię tknąć. Jasne? A teraz poproszę o śniadanko. Żreć mi się chce jak jasna cholera.

Nie wytrzymał.

Zapalił.

Dolecieli właśnie do obozu i przygotowali potrzebny sprzęt. Klamoty trzeba było zabrać na stanowisko i prawie przez kilometr nieść. A z niego dopiero dzisiaj schodziło napięcie wczorajszego wieczoru i pogoni, w którą się rzucił. Poczucie czającego się zagrożenia. I wspomnienie Lutki leżącej bezwładnie na ziemi, zostawionej jak coś niepotrzebnego, kruche- go. Zapamiętał jej nienaturalnie wygięte ciało, rozrzucone ręce. Okropne.

Zastanawiał się właśnie, w co zapakować rzeczy, kiedy Tom wyciągnął paczkę i zapalił.

Ten zapach...

Nie potrafił się oprzeć, no nie potrafił!

Poprosił o jednego.

I poczuł się jak wędrowiec, który dotarł do celu. Który cieszy się, że wreszcie jest w domu. Tu gdzie spokojnie i dobrze. Gdzie nie zdarzy się nic złego. Gdzie ulubiony fotel.

Od razu zaczął myśleć jakby inaczej. Za moment wyruszają, a on stoi tu z rzeczami. Mógłby je co prawda podrzucić Festu-

sowi, ale przypomniał sobie plecaczek Lutki. Poprosi, żeby mu pożyczyła to dziadostwo - przecież różowego łosia można odpiąć. Nie przewidział, że na miejscu będzie potrzebował czegoś poręcznego do przenoszenia szpadli, pędzli i innych dupereli. Ale od czego... żona! Ociągając się, zgasił niedopałek i pomaszzerował do domku.

Lutka robiła porządki.

- Proszę, proszę - wyraził uznanie. - Jak w naszym gniazdku ładnie.

- Sprzątam dla siebie - uściśliła. - Nie znoszę bałaganu.

- Ja też nie lubię - łaskawie przytaknął. - Dobrze, że chociaż trochę się zgadzamy. Mam pytanie. Czy przeżyłabyś rozstanie ze swoim mikroplecakiem? Jest trochę rzeczy do zaniesienia na stanowisko, a nie chcę tego nosić w rękach. Tylko wykonałbym najpierw wyrok na łosiu i odciął gnojka od źródła. Chwytasz metaforę, dear?

- Chwytam. Ale nie ma takiej potrzeby, bo... Lutka usiadła na właśnie posłanym łóżku. Wiedziała, że ma coś do powiedzenia profesorowi, wiedziała!

Ale tyle się działo.

- Łosia dałam komuś w prezencie. W zamian dostałam to.

- Podeszła do klatki Frygi, otworzyła klapkę i wygrzebała z trocin dwie kości. Były w tym samym stanie, kiedy je tam wrzuciła. Tak samo poźółkle i wstrętne. Fryga bacznie ich pilnowała, chociaż nie chciała się nimi bawić. Lutki wcale to nie dziwiło.

Czarek zachłannie przyjrzał się znalezisku. Obracał kości ze wszystkich stron nieskończenie wiele razy. Nie był w stanie niczego z siebie wykrztusić. Patrzył i patrzył, a potem wybiegł na zewnątrz i wrzasnął:

- Juliaaaa!

Czemu wołał akurat Julię?

Po chwili w obozie rozpętało się piekło.

Julia zaczęła wzywać profesora, profesor - łowców. A wszyscy w tym samym momencie zaczęli nawoływać ją, Lutkę! A potem musiała odpowiadać na setki, jeśli nie tysiące pytań. Rozmawiała ze stadem obłąkańców, którzy chyba nie ro-

zumieli, co się do nich mówi, bo jak w transie zadawali ciągle te same pytania! Skąd to ma, kto jej to dał, co powiedział, czy nie pokazywał, gdzie to znalazł. Wreszcie i ona zadała pytanie:

- Co to właściwie j est?

W oczach profesora zobaczyła prawdziwe wzruszenie. Z nabożną czcią uniósł na dłoni haczykową kość w kształcie podkowy.

- To jest kość gnykowa. Jeśli mnie doświadczenie nie myli, to *Homo erodus*. Mamy też fragment żuchwy, chyba od tego samego osobnika. Dzięki tym kościom będziemy mogli ustalić, czy półtora miliona lat temu ludzie potrafili mówić. Absolutny wyjątek. Unikat. Skarb!

Masz ci los...

Od czasu wizji szamana słowo „skarb” bardzo źle się Lutce kojarzyło.

Dodatkowo właśnie odnaleziony, a raczej ujawniony skarb okazał się kością, a o kościach starzec też mówił. Niedobrze. Zasadka również jakby się sprawdziła - usiłowali ją porwać Somalijczycy. Co pozostało jako następny punkt programu? Wielka strata, ogień, śmierć w piasku... Brzmi zachęcająco, w morde jeża!

A może jednak powinna opuścić obóz?

Może zagraża tym ludziom, może ściąga na nich nieszczęście?

Złote włosy - w przepowiedni była mowa o niej!

Zanim zdążyła całkowicie pogrążyć się w niewesołych rozmyślaniach, w pokoju z powrotem pojawił się Czarek. Cały roześmiany rzucił się na nią od progu i zaczął ścisnąć.

- Mamy odkrycie! Kość gnykowa! Wiesz, co to znaczy?

Lutka nie wiedziała. Ale warto było Czarka posłuchać, bo zrozumiała, czemu polecił z kością najpierw do Julii. Ruda okazała się anatomem, specjalistką od ludzkiego szkieletu. A kość gnykowa... Tu już Czarek zaszerwował jej regularny wykład, z którego dowiedziała się, że mały, kostny

duperelek to miejsce przyczepu mięśni żuchwy, krtani i języka. I na podstawie jej kształtu faktycznie można się pokusić o spekulacje, czy przodek *Homo sapiens* sprzed miliona sześciuset tysięcy lat potrafił posługiwać się mową, a raczej - czy umiał porozumiewać się za pomocą dźwięków, bo nie o mowę w dzisiejszym rozumieniu tu chodzi. Jej rozentuzjasmowany współlokator oświadczył, że oto spełniło się marzenie profesora. Lutka uczestniczy bowiem w odkryciu na skalę światową. I to nie przesada, na całym świecie odnaleziono do tej pory tylko jeden jedyny taki okaz! Oczywiście określając zdolności językowe, nie poprzestaje się na obserwacji pojedynczej kostki, ale analizuje również budowę podstawy czaszki i strukturę mózgu. Niemniej jednak odkrycie na pewno wstrząśnie środowiskiem naukowym i Czarek jest przeszczęśliwy, że bierze w tym przedsięwzięciu udział.

- Dzisiaj wieczorem robimy imprezę - oświadczył. - Przylatuje George Anton, dyrektor generalny muzeum.

- Jakiego muzeum?

- Muzeum Narodowego w Nairobi. Mają tam dział historii naturalnej - stamtąd są nasi łowcy. Ale przyłot Antona...

- On jest biały?

- Tak, ale mieszka tutaj podobno od urodzenia. Wielka postać. Wiesz, Muzeum Narodowe to jak korporacja. Podlegają mu dwadzieścia dwa mniejsze muzea, trzy tak zwane światowe dziedzictwa kultury i jakaś setka zabytków.

- Nieźle - oceniła Lutka.

- Zarządza tym wszystkim jeden gość, właśnie Anton. Zapewniam cię, że on się dla byle czego ze swojego zamku nie rusza. Już samo to... Profesor nie wie, co ze sobą zrobić, nie rozstaje się z kością nawet na chwilę. Nieźle się spisałaś... A może chociaż zwróciłaś uwagę, w którą stronę te dzieci poszły? - Czarek znowu zapytał z nutką nadziei o wizytę Bambo, ale usłyszał dokładnie to co profesor.

- Przecież okno wychodzi na skarpe. Nic nie widać, mówiłam.

- Wiem, wiem. Trudno. Kość gnykowa! I tak można wy-

skoczyć z kapci.

Wieczorem wszystkich czekała niespodzianka. Wraz z dyrektorem muzeum do obozu przybył John Jenga - szef policji. Już wysiadając z samolotu, zrobił tak kwaśną minę, że profesorowi przeszła cała dotychczasowa radość. Może nie cała, ale znaczna jej część. Jednak przywitał gości i zaprosił ich do wspólnej kolacji wyczarowanej przez pomocnika kucharza przy niewielkim wsparciu Lutki, która zasugerowała zrobienie pożywnej zupy z zabranych znad jeziora ryb. Oczywiście o pewnych składnikach nie mogło być mowy (na przykład kope-rek), ale zupka działała cuda. To znaczy - wywołała na twarzy komendanta coś jakby cień zadowolenia.

Zaczęła się dyskusja.

Jenga wyjaśnił powód swojej wizyty. Oczywiście chodziło o Musę - jak się okazało, był znanym władzy przestępcą. Policjant nie chciał za dużo zdradzać, ale wyręczył go Anton, z pochodzenia Anglik, który ku ogólnemu zdziwieniu zdawał się pozostawać z komisarzem w bliskiej komitywie i najwyraźniej znał sprawę. Starszy, wesoły jegomość o nastroszonym blond wąsiku nie przejmował się tajemnicą śledztwa i bardzo zadowolony z towarzystwa naukowców, którzy dokonali w jego kraju tak ważnego odkrycia, z rozbijającą szczerością wyjawiał szczegóły telefonicznego przesłuchania dyrektora misji w Tuum. Komendanta o mało szlag nie trafił, ale Lutka dała znak pomocnikowi i ten postarał się, żeby Jenga otrzymał dokładkę zupy. Anton opowiadał, zerkając z zadowoleniem na wpatrzone w niego damy:

- Musa to podobno zwykły złodziej. Zatrudnił się w Tuum wcześniej, kiedy stawialiście obóz po porze deszczowej.

- Ale skąd wiadomo, że Musa to Musa? - przytomnie spytała Lutka. - Przestępcy nie przedstawiają się przecież swoim nazwiskiem.

- Dyrektor misji zrobił kiedyś Musie pamiątkowe zdjęcie. Przesłał je policji e-mailem. Tak ptaszek został zidentyfikowany. John od razu go poznał - wyjaśnił muzealnik i posłał pełne uznania spojrzenie w stronę Jengi, który złym głosem zaprzeczył:

- Bez przesady. Przeszukałem archiwum.

- Nie bądź taki skromny. I tak wszyscy wiedzą, że znasz prawie wszystkich łobuzów w tym kraju. O czym ja to... Aha. Musa był w Tuum pomocnikiem ogrodnika, ale najlepiej potrafił oczywiście kraść. Tylko że wtedy nikt go o to nie podejrzewał, dopiero teraz dyrektor misji połączył fakty. I bardzo się stara pomóc, bo jednej z sióstr zginął złoty różaniec.

Czarek zrobił na boku głupią minę, ale Jenga dostrzegł ten grymas i odczytał go jako przejaw lekceważenia. Zmrużył oczy, co sprawiło, że jeszcze bardziej stał się podobny do przyczajonej hieny.

- Ja już dokończę - powiedział do swojego kolegi, bynajmniej nie starając się maskować irytacji. Otarł usta i posłał Antonowi wybitnie niechętnie spojrzenie, które zapowiadało: „Już ja się z tobą policzę”. To była jego historia, jego sprawa. Wolał opowiedzieć ją sam i zapanować nad sytuacją. Zapanować, czyli nie mówić wszystkiego. - Musa coraz gorzej pracował. Kiedy rozeszło się, że potrzebujecie kucharza, namówił dyrektora misji, żeby go wam polecił. Dyrektor bardzo się ucieszył, że się Musy pozbędzie.

- Czy to Musa zamordował Nyete? - zapytał niecierpliwie Festus, przechodząc od razu do sedna.

- Na to nie ma ani świadków, ani dowodów. Musa jest na razie tylko podejrzanym.

- A rzemyk?

- Jaki rzemyk?

Profesor poprosił Lutkę, żeby jeszcze raz opisała to, co zobaczyła w kuchennej szafce. Policjant zamyślił się.

- To zasadniczo nie zmienia sytuacji.

- Nie? - jednocześnie zapytali profesor z Czarkiem.

- Nie - zaburczał rozeźlony Jenga. - Poproszę o ten rzemyk i resztę rzeczy. Karabin i telefon. Zdejmiemy odciski palców.

- Wszystko zniknęło razem z Somalijczykiem.

- To tym bardziej nie ma o czym mówić. Rzemyk to żaden dowód, każdy mógł go znaleźć. Na razie Musa jest oskarżony o usiłowanie porwania. Teraz będzie zeznawała mzungu. -

Komisarz spojrział na Lutkę tak wrogo, jakby była wyjątkowo upierdliwą odmianą osy.

Rozmowa z szefem policji nie należała do przyjemnych pogawędek, ale i nie trwała długo. Jenga nie trwonil czasu. Ograniczył się do wysłuchania relacji z próby porwania i zadał kilka pytań. Za to po wszystkim Lutkę czekała feta. Świętowano znalezienie kości. Na stole w jadalni zorganizowano coś na kształt szwedzkiego stołu - główną atrakcją stanowiło piwo i garnek z pikantną potrawą przyrządzoną z ciemnego ryżu. Nikt nie myślał już o ponurych wydarzeniach. Liczyła się jedynie kość gnykowa, którą położono na plastikowym talerzu przykrytym dla ozdoby serwetką. Anton cmokał za każdym razem, kiedy na nią patrzył, a Jenga wyglądał tak, jakby walczył ze sobą, żeby nie splunąć. Stado baranów, jak w myślach nazywał naukowców, zaczęło się tymczasem zachowywać co najmniej niewłaściwie. Po kilku toastach zaintonowali jakąś bełkotliwą piosenkę, a później przystojniak w okularach zaczął bredzić jakieś głupoty o...

- Tak, Festusie! - krzyczał do wielkiego Samburu. - Czasem kopie się dwa lata i gówno! Gówno słońia! Nie śmiej się. Tak odkryto ślady *Australophitecusa afarensis* w Lateoli. Tanzania. Wiesz, trzy miliony sześćset tysięcy lat temu. Dowód na dwunożność! Naukowcy, czyli tacy desperaci jak my, rzucali się z nudów słoniową kupą. I jeden padł na twarz, żeby nie oberwać. I co zobaczył? Ślady stóp! A nasza kość gnykowa? Lutka chciała się pozbyć łosia! - parsknął śmiechem.

- Wcale nie - zaprotestowała blondynka. - Chciałam zrobić komuś prezent.

- Nieistotne. - Spór zakończył profesor, któremu także zaczęły się już świecić oczy. - Najważniejsze, że mamy odkrycie. Teraz trzeba tylko ustalić plan działania. Musimy znaleźć tego czarnego chłopca. To najważniejsze. I zapytać, gdzie znalazł kości.

- Ale jak go chcesz znaleźć? - do rozmowy włączyła się rudowłosa piękność.

- Odwiedzimy z Lutką najbliższe wioski. Tuum, Parkati,

Loiyangalani. Powiemy, że chcemy obdarować dzieciaka, który dostał od mzungu różową zabawkę. Maluch na pewno się zgłosi.

Tak, zapowiadała się tu dłuższa zabawa.

A niech się bawią - stwierdził Jenga i skinął znacząco na Antona, który właśnie uśmiechał się głupkowato do blondynki. Postanowił, że przed pójściem na spoczynek zamieni z nim kilka słów. Nie będzie brał udziału w takich... Odruchowo przystanął, bo do jadalni przemknęło chyłkiem jakieś zwierzę. Ale dziwne. Ruchliwe. Z długą, falującą kitą. Co to mogło być? Nie, nie zamierzał się wracać.

- Wyświadczyłeś mi dzisiaj niezłą przysługę, przyjacielu - z brzmiającą w głosie pretensją strzelił w stronę brzuchacza, kiedy ten stanął pod ścianą w pozie wyrażającej skruchę i próbując bagatelizować pośpiesznie wyłuskał z kieszeni papierosa.

- Garść zwykłych informacji, John. Tylko tyle.

- Widzisz baby i tracisz rozum.

- A ty go tracisz i bez widzenia bab - odparował blondyn, po czym westchnął. Nie chciał kłótni. Jenga i tak za dużo ostatnio przeszedł. - Nic. Masz rację. Za bardzo staram się być miły. - Zapatrzył się w oświetlone drzwi, zza których dobiegł dźwięczny kobiecy śmiech.

- Miły? Opowiadałeś o moich sprawach. Mówiłem ci o nich jak kumpłowi, w zaufaniu...

- Nie powiedziałem niczego ważnego. Pilnowałem się.

- Ciekawe, czy zawsze będziesz się pilnował. - Jenga wsadził ze złością ręce do kieszeni.

Brzuchacz wyczuł jego obawę.

- John... Tamto... Możesz się nie martwić. Nic. Nikomu. Przysięgam.

Nie dość mocno zamknięte drzwi klatki korciły. Po kilku natarciach pyszczkiem stanęły otworem.

Fryga wyszła na wolność.

Tam gdzie pachniało.

Tam gdzie wszystko tak wspaniale się ruszało i szeleściło. Zaciekawiły ją niesione w nocnym powietrzu dźwięki. Na chwilę zastygła w miejscu. Jedyłą częścią jej ciała był teraz nos - ciemny węgielek, który lśnił w księżycowej poświacie. To on skierował Frygę do jadalni.

Wystarczyło w tym rozgardiaszu toczonych rozmów wskoczyć na krzesło.

Znaleźć coś dla siebie.

I czmychnąć.

Lutka dojrzała do tego, żeby powiedzieć sobie brutalną prawdę.

Była zazdrosna.

Cholernie, obsesyjnie zazdrosna.

O Julię rzecz jasna!

Dokładnie przeanalizowała każdy szczegół. Odkąd tu przyjechała. Scena z pożyczaniem butów. To raz. Czarek poszedł pożyczyć dla Lutki buty, ale poszedł z Julią do jej domku sam. Sam! Jej kazał czekać przed jadalnią. Znaczące. Scena druga. W wiosce Turkanów tańczył tylko z Julią. Lutkę ignorował. Może nie do końca ignorował, bo przecież pilnował jej razem z Festusem, kiedy przybłąkał się ten piekielny szaman. Ale z Lutką nie tańczył, a z Julią tak! Scena trzecia. Julia trzepocze rękami na widok Czarka, a Czarek uśmiecha się, szczerząc poźółkle (dobrze mu tak, palaczowi) zęby. Uśmiech wyraża co najmniej aprobatę. Dalej - kogo pierwszego woła ten obrzydliwy przystojniaczek, kiedy Lutka wręcza mu kości? Oczywiście Julię! Niby specjalistkę od szkieletu, ale jednak leci do niej, a Lutkę zostawia samą, bez słowa.

Zazdrośnikowanie było brzydkie i zastanawiające. Chyba zaczynało jej na Czarku zależeć, a to bardzo źle. Bardzo. Teraz też nie potrafiła opanować złości, bo od początku wspólnej kolacji Czarek siedział przy Julii i to z nią rozmawiał.

A nawet szeptał.

Nachylał się.

Był blisko!

Denerwowała ją ta zażyłość, ale postanowiła trzymać fason. Za wszelką cenę. Trzymanie fasonu polegało na krzywieniu szczęki w niemrawym uśmiechu i pilnowaniu oczu, żeby co chwila nie latały w wiadomym kierunku. W walce z samą sobą pomagało piwo i towarzystwo Antona, który nie ustawał w prawieniu jej komplementów. Dziwne. Miłe słówka dyrektora muzeum jakby przelatywały obok. Lutka wolała koncentrować się na picciu. Sukces! Przy trzeciej butelce tuskera w ogóle na Czarka nie popatrzyła. W ogóle! Ani razu. Ale teraz... Teraz, kiedy wstał od stołu i pomaszerował z Julią zgodnym krokiem do jej domku...

Poczuła w środku falę upiornego gorąca.

Upiornego!!!

Jak mógł mówić jej różne rzeczy, jak mógł sugerować, że jest nią zainteresowany, dlaczego pozwalał, żeby sobie roiała... Lutka odetchnęła. Weźmie się w garść. Żadnych hysterii, żadnych babskich żalów i pretensji. W porządku. To tylko nadininterpretacja, opacznie zrozumiany układ zdarzeń. Czarek niczego nie obiecywał, nie składał żadnych deklaracji.

Ale o co tu chodzi?!

Postanowiła jednoznacznie wyjaśnić sytuację. A to oznaczało, że odczekała kilka minut, przeprosiła Antona i lekko się zataczając, ruszyła śladem zdrajców wprost do domku Julii.

Nie, żadnego podglądania przez okno. Nic z tych upokarzających rzeczy. Po prostu otworzy drzwi. Bez pukania. O taaaak...

W profesorze Julia zakochała się dwa lata temu, kiedy po raz pierwszy ruszyła z nim na wyprawę. Nie potrafiła uwierzyć, ile ma lat, dopóki po powrocie nie przegrzebała dokumentów i nie sprawdziła daty jego urodzenia. Zgadzało się. Ten wspaniały brodac, mówiący z lekkim rosyjskim akcentem, miał wtedy pięćdziesiąt trzy lata. Nieprawdopodobne.

Bynajmniej się nie zniechęciła, po prostu zaczęła rozumieć dystans, z jakim ją traktował. Pewnie uważał, że jest dla niej za stary. A Julia uwielbiała starszych mężczyzn! Próbowała go zainteresować sobą na różne sposoby, ale profesor nie reagował nawet na przypadkowe otarcia biodrem. Oczywiście widział jej podchody, co do tego nie miała wątpliwości. Ale nie reagował. Z premedytacją wygłosił kiedyś niby do kolegi przemówienie na temat kobiet, które upychają mężczyzn na ołtarzu swojej próżności. Więc zrezygnowała z dotychczasowych inwazyjnych metod działania bezpośredniego i przeszła na metody utajone. Bardziej skuteczne. Przestała zagadywać do studentów, którzy przychodzili do gabinetu. Przestała nosić krótkie spódniczki. Zaczęła rozmawiać z Borysem o genach, mitochondriach i modelach rozwoju osobniczego. Zaczęła przenikać korytarze tej zawikłanej duszy. Zaczęła go słuchać. Z metody zrodziła się potrzeba. Julia pokochała profesora, który nie wiedzieć kiedy stał się jej najbliższym przyjacielem. I tylko przyjacielem chciał pozostać, żeby nie pozbawiać Julii możliwości urodzenia dziecka i założenia rodziny. Nie przyjmował do wiadomości, że ona nie znosi dzieci i nigdy ich nie planowała. Nie wyobrażał sobie, że taka kobieta może istnieć. Kobiety mają wpisaną w geny chęć przynależności do stada. Chęć rodzenia.

Więc wymyśliła ostateczną rozgrywkę.

Wzbudzi w nim zazdrość.

To też jest podobno w genach. Znaczenie samicy i rewiru. Dominacja. Może wtedy Borys pojmie, że za nią szaleje? Bo przecież czasy dystansu już dawno minęły. Byli sobie bliscy.

Cezary nadawał się znakomicie. Miała trochę wyrzutów sumienia w stosunku do jego żony, ale przecież nie podrywała go na poważnie. Tylko odrobinę kokietowała. I to jedynie wtedy, kiedy w pobliżu znajdował się Munson.

Teraz też wybrała odpowiedni moment. Zaprosiła Czarka do siebie, bo chciał odebrać karabin, który zakupił w Loiyangalani. Na somalijskich bandziorów, jak powiedział. Żeby były równe szanse. Nie chciał niepokoić żony, dlatego zostawił broń u niej. Bardzo słusznie. Teraz mogli się wymknąć, co nie uszło uwagi

Borysa. Odprowadził ją roztargnionym spojrzeniem, w którym dało się jednak zauważyć lekki błysk.

- Widział? - zapytał Cezary, chytrze się uśmiechając.

Julia uniosła brwi.

- Czy profesor widział, że mnie wiesziesz do swojego bu-
duaru?

- Widział - odpowiedziała niezbyt chętnie.

- O to chodziło, prawda?

- Mniej więcej.

- Bardziej więcej niż mniej. - Na twarzy Cezarego plątała się denerwująca pewnośc siebie. - Dlatego daję ci się prowa-
dzić, rudowłosa. Profesor jest fajny facet. Jakbym był babką,
też bym na niego leciał. Albo na siebie, rzecz jasna. Hm... No
dobra, poproszę o moją fantastyczną giwerę. Kałasznikow.
Kto by pomyślał... Ale z Baranem w Słońcu i Skorpionem w
Księżycu trudno być normalnym. Astrologię mam na myśli -
dodał, widząc, że Julia nie bardzo rozumie. - Żeby było
śmieszniej, urodziłem się pierwszego kwietnia. W prima
aprilis.

Karabin schowała pod szafą. W walizce.

- Baran? Szkoda, powinieneś być raczej Strzelcem - po-
owiedziała z przekąsem i sapnęła. Jak na złość walizka utknęła
w szczelinie pod meblem. Wejść weszła, ale wyjść raczej nie
zamierzała. - Chyba nie dam rady, zaklinowało się.

Czarek ukląkł. Zachichotał i objął Julię w pasie.

- Zaraz coś wymyślimy. Mamy w Polsce taki wierszyk o
rzepie... Wiesz, co to rzepa?

W tej samej chwili usłyszeli łomot otwieranych drzwi.

W progu stanęła Lutka.

Z bardzo, ale to bardzo ponurym wyrazem twarzy.

Obejmują się!

Kłęczą, tarzają się po podłodze w erotycznym szale!

Lutka była wstrząśnięta.

WY-JEZ-DŹA!!!

Nie zostanie tu ani chwili dłużej. Zatrzasnęła z powrotem drzwi, nie zważając, że Czarek coś tam za nią krzyczał. Nieważne. To, co miała zobaczyć, zobaczyła. Wystarczy jej ten upojny obrazek za wszystkie słowa i tłumaczenia. Zresztą po co jakiegokolwiek wyjaśnienia. Jest zwykły układ: ona odgrywa jego żonę. ODGRYWA! A co powinna zrobić żona, która przyłapała męża z inną?

Wpadła do swojego domku i pozbierała z kątów i szafek jego rzeczy. O niczym nie można zapomnieć! Ubrania, książki, notatki, kosmetyki. Tak. Jeszcze raz sprawdziła pokój, po czym otworzyła na oścież drzwi i wyrzuciła wszystkie te uroczo męskie kłamoty na taras. Jednym energicznym zamachem.

Luuup!!!

Oceńla, że gruchnięcie wyszło bardzo dźwięczne.

Aż szkoda, że nikt nie był świadkiem tej malowniczej sceny. W poczuciu dobrze spełnionego obowiązku przysunęła łóżko pod drzwi i zamknęła okna. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że dokonana właśnie manifestacja sił jest nieco infantylna. I jakby bezsensowna. Jutro zamierzała odlecieć z Festusem do Mombasy, a Czarek zostanie ze swoimi rzeczami właśnie tutaj. To ona się wynosi. Trudno, przecież tego teraz nie pozbiera. Gotowa była wsiąść do samolotu choćby zaraz, ale Festus również nie żałował sobie dzisiaj piwa. Poza tym nocą na pewno nigdzie by się nie wybrał. Więc dobrze. Zaczeka. Spa-kuje się i zaczeka. A Czarek niech się tłumaczy, dlaczego żona go opuszcza.

Lutka wygramoliła się z łóżka, żeby nakarmić Frygę, choć prawdę mówiąc, najchętniej od razu położyłaby się spać. Kiedy się śpi, nie trzeba myśleć i to jest piękne. Nie myśleć! Nie zastanawiać się!

Ale fretka też jakaś ponura. Trudno się zresztą dziwić. Gorąco. Fretki źle znoszą wysokie temperatury. Dobrze się złożyło, że zanim wyjechały z Polski, pogoda zaserwowała im upały i mała zdążyła się przestawić. Proszę, przez ten skwar Lutka sama czasem nie wie, co robi. Zapomniała zamknąć klatkę! Dobrze, że Fryga nie uciekła. Aż się wzdrygnęła na taką myśl.

W końcu było to jedyne na świecie stworzenie, które lubiło ją

naprawdę.

I to lubiło bezinteresownie.

Zorganizowanie transportu było dla Musy mniej więcej tak trudnym zadaniem jak nabycie na targu worka ziemniaków.

Żaden problem.

Jego ludzie zawieźli go do Isiolo, a tam pozostało postarać się o inny samochód i ruszyć w dalszą drogę. Tak zarządził szef. Nie chciał, żeby ktokolwiek skojarzył dzipa z nimi. Potrzebowali się przemieszczać, a sprawny pojazd na tutejszych terenach jest bezcenny. Coś, co zmieniało się podczas deszczu w lepkie bagno, a w czasie suszy przypominało pełną kraterów powierzchnię Księżyca, poddawało się pod imponującym napędem ich wozu. Drogi północnej Afryki są nieodgadniona zagadką i zostały wydarte ziemi chyba tylko po to, żeby ludzie codziennie walczyli na nich o życie albo o dobytek. Kto nie potrafi walczyć, powinien raczej wsiąść do spycharki, niż do zwykłego czterokołowego pojazdu, który w najlepszym przypadku może się zepsuć, a w najgorszym - zostać ostrzelany przez bandę przydrożnych obwiesiów. Oczywiście takie bandy nie były im straszne. Znali się tu dobrze. Każdy zajmował swój teren i pod groźbą wojny nie zaglądał bez potrzeby na podwórko sąsiada.

Musa szedł teraz głównym deptakiem miasta, gdzie pod blaszanymi dachami podobne do garaży stały pstrokate sklepy. Za chodnik wystarczał brązowy piach, który przy każdym kroku wzbijał się w górę i zatykał pudrowym pyłem szczeliny karabinu - w tej mieścinie widok broni nikogo nie dziwił, więc Musa przewiesił broń przez ramię. Trzeba się śpieszyć. Do więzienia powinien dotrzeć przed wieczorem, a przed nim prawie trzysta kilometrów. Trzysta kilometrów w jakimś rozklekotanym trupie.

Trup...

Od rana układał w głowie historię, jaką ma opowiedzieć

szefowi. Czemu nie udało się uprowadzić dziewczyny, czemu nie mógł pozostać w obozie, czemu...

I czuł się coraz bardziej jak trup właśnie.

Ale stanie naprzeciwko tego człowieka i przyzna się do wszystkiego.

Już widział jego oczy, których źrenice zwężają się w niedowierzaniu. On - zabijaka, pustynny pies - zaczynał pod tym spojrzeniem kulić ogon.

Chociaż w zasadzie nie ma się do czego przyznawać. Zaczęło się zgodnie z planem. Zajął miejsce kucharza, wiedział o wszystkim, co dzieje się w obozie. Niepotrzebnie tylko zostawił swoje rzeczy w kuchni. Głupi błąd. Ale bał się, że w pokoju nic nie umknie uwagi pomocnika, a nie mógł tam ciągle siedzieć i pilnować. Kuchnia wydawała się najlepszym miejscem. Wścibska biała kobieta. Żeby ją... Przynosiła mu pecha. To przez nią nie wypełnił zadania. Ta mzungu jest niebezpieczna. Nie będzie się już wstydził przez kobietę. O nie!

Przed drzwiami niebieskiego budynku hotelu Sauoia było tłoczno. Skupowano skóry zwierząt. Nad wejściem wisiała na łańcuchu waga, do której dwóch Masajów pakowało swoją zdobycz. Pomiar odbywał się przy głośnych komentarzach gapiów. Dokładnie naprzeciwko zbiegowiska Musa wypatrzył auto, które idealnie się nadawało. Przynajmniej tak wyglądało z zewnątrz. Wmieszał się na chwilę w tłum, a potem jak gdyby nigdy nic podszedł do wozu i już siedział w środku. Uruchomienie silnika zajęło kilka minut. Od pierwszego burknięcia maszyny wiedział, że to był dobry wybór. Staruszek dowiezie go do Nairobi.

Po pięciu godzinach był na miejscu.

Pieniądze włożył do pudełka po butach. Miał je przekazać strażnikowi na bramie, a potem czekać. Tak zrobił. Drzwi otworzył mu jakiś typ w ubrudzonym podkoszulku. Żaden z nich nie wypowiedział ani słowa.

Pudełko przeszło z rąk do rąk.

Pokręcił się trochę w pobliżu, ale mieszkał w tym kraju wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że takie sprawy trwają, nawet jeśli się je przyśpiesza za pomocą pachnących wolnością

banknotów. Nie mylił się. Drzwi zaskrzypiały ponownie dopiero nocą. Zdążył się nawet zdrzemnąć.

Main, jego przywódca, jego mentor, stał w błękitnej poświacie rzucanej przez więzienną lampę i uśmiechał się kąciakami ust. Miał zimne oczy, tak jak Musa. Doskonale się rozumieli. Byli tak bardzo od siebie różni, a jednocześnie przeraźliwie podobni. Twardzi. Bezlitośnie dążący do celu. Liczył, że w ramach wdzięczności za to, co robił, będzie więcej znaczył w organizacji, kiedy szef powróci. A tak się stanie. Na razie jednak trzeba uregulować sprawy z przeszłości, żeby przyszłość ułożyła się po ich myśli.

Po zdawkowym powitaniu usłyszał pytanie, którego się obawiał:

- I jak?

Wiązanka przekleństw, jaka nastąpiła, kiedy wszystko opowiedział, była niemal tak długa, jak sama historia. Ale myliłby się ten, kto by uznał, że Main nie panuje nad emocjami. Jego gniew był straszny, jeśli wiedział, że wina wynika z głupoty, a nie z przypadku. Potok wyzwisk wreszcie się skończył. Main kazał jechać do baru na obrzeżach miasta i dopiero po posiłku dał znak do rozmowy.

- Teraz musimy wszystko przeprowadzić inaczej - oznajmił, wkładając do ust wilgotny liść miraa.

Budzac się skoro świt, Lutka poczuła na swoim brzuchu... czyjaś nogę!

A taka noga waży. Chociaż nogi bywają różne. Tak jak mężczyźni. Na przykład noga Roberta była z rodzaju pneumatycznych - lekka jak u wróbelka. I upierzona. Nie tak jak ta: gładka, ale masywna. Twarda. Miło było jej dotykać. Tak, Cezary ma fajne nogi. I uda. I...

- Wynochaaa! - Z siłą, o jaką by siebie nie podejrzewała, odrzuciła seksowną kończynę w nieokreśloną dal.

Na tak gwałtowną reakcję Cezary skrzywił się z niesmakiem i zionął na dzień dobry odorem chmielu.

- Śpij, dziecino - wymamrotał i otworzył niezbyt przytomnie czarne oko. Nie rozumiał, o co ten krzyk. - Się nie rozpychaj.

- Jakie się nie rozpychaj?! Ja cię wywaliłam! Ja zamknęłam drzwi na klucz! Zabarykadowałam!

- Barykady... - ziewnął. - Wszyscy mają ten sam... Ten ten...

- Klucz?!

- Kluuuuucz. - Przeciągnął się. - Pożyczyłem od profesora. Kurde, trzeba by chyba wstawać. Która na osi? Godzina która?

- Siódma - odpowiedziała naburmuszona. Nie, nie. Wczorajszego zdarzenia absolutnie nie zamierzała omawiać. Nie miała też obowiązku być miła. A jak się postara, będzie po prostu obojętna. Żadnego wypytywania. Po co zdradzać, że jej zależy. Zresztą z tym zależeniem... Afryka się nie rozpadnie, kiedy ona spędzi resztę wakacji gdzie indziej. Dalej będzie duszno, muchy masowo nie wyzdychają, a Suguta nie wyleje.

I dobrze.

A piękny i próżny Cezary niech się przeciąga, aż mu gacie pękną. W kroku!

- Późno, cholera - sapnął z niechęcią, również pomijając temat nocnych wydarzeń. - Ty lepiej skocz, maleńka, na taras i znajdź mi w tym majdanie szczoteczkę do zębów. Siódma... A tak fajnie się spało.

- Komu się spało, temu się spało. Szczoteczkę wsadź sobie w... ucho. Wylatuję dzisiaj - oznajmiła szybko, bacznie obserwując jego reakcję. Jednak w ukrywaniu emocji Czarek był mistrzem. Na spalonej słońcem twarzy nie pojawił się nawet cień jakiegokolwiek uczucia, co odnotowała z pewnym żalem.

- A to dlaczego? - w końcu jednak przemówił, a Lutka zamarła. Przeczesał odruchowo dłonią włosy, po czym zaszczycił ją spojrzeniem. Bardzo przytomnym spojrzeniem. - Dlaczego w ucho?

Czy nie trzeba by go jednak udusić?!

Puknięcie kamykiem o szybę rozległo się w samą porę.

- Bambo! - Lutka skoczyła jak oparzona do okna, a Czarek za nią.

- To on?! - zdążył spytać, zanim zobaczył pod oknem ciemnoskórego chłopca i tłoczące się za nim kobiety. Przepychały się, śmiały i trajkotały po swojemu. A każda... ścisnęła w rękę kość!

- O ja pierdykam! - Czarek najwyraźniej nie mógł uwierzyć, że spotkało go tyle szczęścia naraz. Mrugał oczami i śmiał się tak serdecznie, że i Lutka zrezygnowała z ponurej miny. - Widzisz to samo co ja?

- To samo.

Uśmiech nie zdążył zejść jej z ust, kiedy Czarek dostał jakiegoś szalonego napływu energii. Zakręcił się w miejscu i dopadł przeciwległego okna, po czym rozdarł się, ile sił w młodych piersiach:

- Juliaaaaaaaaaa!

No tak.

Julia.

Znowu Julia.

Lutka oklapła jak przebity balon. Ale tylko w środku. Na zewnątrz wszystko zostało tak jak trzeba. Uśmiech, hm, radość z przybycia Bambo malująca się na twarzy. Zresztą trzeba było jakoś zapanować nad sytuacją. Kobiety patrzyły na nią nieśmiało i życzliwie, ale wyraźnie czekały, aż rozpocznie się wymiana. Ale co Lutka miała im dać? Może zawoła Festusa, on będzie negocjował. I profesora, rzecz jasna. Zaraz, czy ta najwyższa, urodziwa dziewczyna to nie ta sama, która zajmowała się pokojami w lodży w Loiyangalani? To nie jej Lutka zostawiła pod opieką transporter z Frygą? Pomachała uprzejmie. Tak, to ona! Odpowiedziała na powitanie uśmiechem i przesunęła się do przodu. Na szyi dźwigała wyjątkowo dużo obręczy z koralami - czy takie kilogramy ozdób aby nie przeszkadzają w oddychaniu? Powiedziała coś po swojemu i pokazała na klatkę z patyków, którą trzymała w ręce. Lutce wydawało się, że w tym potrząsaniu kupką badyli odczytuje... zachętę.

- Bardzo ładne - powiedziała grzecznie i nagle zrozumiała.

- Chcesz mój transporter? O to chodzi?

Pamiętała wieczór w Loiyangalani doskonale. Tańce, przepowiednia szamana, próba porwania, narada ze wszystkimi w lodży. Kobieta, a raczej dziewczyna, bo nie liczyła sobie więcej niż dwadzieścia parę lat, przez cały czas ich wspólnej rozmowy siedziała na progu domku i trzymała transporter z Frygą na kolanach. A potem oddała go z widocznym żalem. Na początku Lutka myślała, że to fretka przypadła jej do gustu, ale Festus wyjaśnił, że Sandra (ciągle słyszało się tu europejskie imiona) posiada papugę i bardzo chciałaby mieć dla niej taką ładną błyszczącą klatkę jak ta.

- Wymiana? Nie ma problemu. - Posłała Sandrze miły uśmiech i na chwilę zniknęła w pokoju.

W sumie czemu nie? Transporter - plastikowe czerwone cudo chińskiej roboty - służył jedynie do przewozu Frygi z miejsca na miejsce. Więc od dzisiaj fretka będzie podróżować w czymś innym. Trochę się Lutka zastanowiła, czy jej ulubienica aby nie przegryzie drewnianych prętów, ale co tam. W Mombasie na pewno znajdzie się jakiś sklep zoologiczny. Transporter to niedroga rzecz. Tylko nie zdąży go umyć, zaraz wszyscy tu przybiegną. O, już są! Nawet żołnierze. Brakuje jedynie szefa policji i dyrektora muzeum - pewnie odlecieli, kiedy wzeszło słońce.

- Proszę bardzo. - Lutka przewiesiła przez okno czerwoną klatkę, a po chwili stała się posiadaczką ekologicznego transportera *made in Kenya*. W odpowiedzi usłyszała nieśmiało:

- Dziękuję.

- O, znasz język!

- Ja chciałam... - zaczęła Sandra, ale nie zdążyła nawiązać z Lutką dłuższej rozmowy. Profesor z Julią dopadli bowiem kolorowej gromadki z takim zapamiętaniem, że kobiety się przestraszyły. Zrobiło się zamieszanie. Po ich przerażonych minach widać było, że chcą uciekać. Dopiero kiedy Festus wkroczył do akcji i wszystko im wytłumaczył, na nowo zaczęły szczebiotać. Ale nie chciały zaprowadzić naukowców na miejsce znaleziska ani pokazać choćby jednej kostki bez oczekiwanych prezentów. Do handlu wymiennego musiało więc dojść. Po krótkiej naradzie ustalono, że każdy

przyniesie ze swojego domku jakiś drobiazg. Całe towarzystwo przeniosło się na plac, pod akacje, gdzie było sporo miejsca i nieco cienia. Wejścia do któregośkolwiek pomieszczenia kobiety z uśmiechem, lecz stanowczo odmówiły. Chwilę potem na rozłożonym pod drzewem kocu powstała kupka prezentów, w którą z entuzjazmem się wpatrywały. Czego tu nie było! Znalazły się tam na przykład klapki pod prysznic, skarpetki Lutki z motywem krowich łat (wywołały największą kłótnię), ręczniki, szampon, guma do żucia, paczka papierosów (Czarek mierzył ją łakomym spojrzeniem), kubek oraz koszulka z napisem *Yes! Yes! Yes!* Dzięki takiej oto oryginalnej metodzie pozyskiwania obiektów badawczych paleoantropolog profesor Borys Munson stał się bogatszy o kolejne okazy. Ale nie koniec na tym. Za cenę przenośnego odtwarzacza firmy Sony wraz z kompletem płyt kobiety Turkana zgodziły się zaprowadzić przejętą i rozkrzyczaną bandę naukowców w miejsce, gdzie paskudne kości wały się po pagórkach. Antropologiczne eldorado znajdowało się raptem dwa kilometry marszu od obozu - na obrzeżach jednego z wąwozów, którym w porze deszczowej płynęła błotnista i brudna rzeczka. Profesor odtańczył z Julią taniec radości, kobiety zaczęły podśpiewywać, a Bambo przyglądał się temu wszystkim roześmianymi oczami.

Podobnie jak Lutka.

Ale dziwna rzecz.

Z jej oczu popłynęły po rozgrzanym policzku dwie ledwie widoczne łzy.

I jak wytłumaczyć babie, że się myli, kiedy ona jest święcie przekonana, że to wszyscy dookoła są w błędzie? Poza tym tłumaczą się winni. A on, patriota, Polak, chciał pokazać Julii, jak w wierszu Tuwima radzili sobie z wyciąganiem rzepy dziadek z babcją.

Wielkie mi co!

Nikt go na emocjonalną smycz nie będzie brał! Swoją drogą, jakie to szczęście, że w całej tej głupiej znajomości z Lutką nie doszło do spoufaleń cielesnych. To by dopiero było! Myślał o pewnych sprawach, i to często, ale za kłopoty uprzejmie dziękował. Na uniesienia pozwolił sobie po powrocie, jeśli ta znajomość przetrwa. A na razie niech sobie Lutka kręci nosem, od tego ten nos ma. Zazdrość bywa sympatyczna, jeśli mierzona jest szczyptami. Szczyptami! Kopy to nie szczypty. Tak trzęsą się o chłopca tylko niedowartościowane bzdziągwy. A nie lepiej zadbać o to, żeby chłop nie miał potrzeby zerkać gdzie indziej? Nie myślą, głupie. Źle ukierunkowana energia, po prostu. Energię to on by proponował koncentrować na wnętrzu. Żeby być dla faceta bardziej ciekawą. Niezależną, silną. Osobowość! To przede wszystkim. Osobowość obleczona w... te takie tam. Ale te takie tam przemijają, a tymczasem są jedynie premią, erotycznym bonusem. Potem... Piersi, zgodnie z bezlitosnym prawem grawitacji, i tak ciągną ku podłodze, loki siwieją, tyłeczki kłęsną. A niebanalność zostaje.

Howgh.

Koniec i kropka.

Wszystko w temacie.

A jak baba chce go terroryzować wyjazdami, proszę bardzo. On jej co najwyżej pomacha na do widzenia swoim muskularnym ramieniem. To znaczy dłonią. No dobrze. Ewentualnie może jej... trochę potowarzyszyć. Lutka przekabaciła Festusa i olbrzym wskakuje w samolot zaraz po obiedzie. Świetnie. Czarek nigdy nie był w Mombasie, a słyszał, że warto. I na pewno dostanie tam papierosy. Zrobi sobie wycieczkę. I trochę dołoży na paliwo, żeby ta wstręciucha nie poszła z torbami.

Profesorowi powie, że Lutka leci do rodziny.

A jemu na otarcie łez zostanie przynajmniej kałasznikow.

I fajki.

Dużo fajek.

I dużo kości.

W tym kość gnykowa.

Małżeństwo pani Kadangi od dawna przypominało w smaku omlet bez soli.

Przypalony omlet, jeśli chodzi o ścisłość.

Z małżonkiem, ministrem bezpieczeństwa w rządzie Mwai Kibaki, przeżyła dwadzieścia niemrawych i bezbarwnych lat. Teraz tak to widziała. Trzeba jednak przyznać, że początek nie był taki zły. Byli zakochani, choć dzisiaj pani Kadangi już rozumiała. Nigdy nie kochała męża dla niego samego, dla jakichś jego przymiotów - po prostu odpowiedziała głosem serca na głos serca Aloisa. Zakochała się w jego zakochaniu, a nie w charakterze. Potrzebowała czyjegoś uczucia, żeby się czuć akceptowaną. Tyle. Teraz płaciła za własną głupotę czy raczej za własną niedojrzałość. Ominęło ją w ten sposób wielkie uczucie. Dwadzieścia lat...

Dzieci założyły swoje rodziny, dom zrobił się pusty. Tym bardziej że mieszkało w nim dwoje obcych już sobie ludzi. Pani Kadangi żyła swoim życiem - spotykała się z przyjaciółkami, organizowała akcje na rzecz biedoty i regularnie chodziła do kina, bo uwielbiała filmy. Najlepiej o miłości. Pan Kadangi natomiast całą swoją energię, jaka buzowała jeszcze w pięćdziesięcioletnim ciele, poświęcał pracy i służbie krajowi. Do domu na szczęście wracał późno, tak że nie było zbyt wielu okazji do spotkań. Te zdarzały się zazwyczaj przy posiłkach i przebiegały wedle ściśle określonego schematu - małżonkowie omawiali wtedy sprawy związane z utrzymaniem i prowadzeniem domu albo mówili o dzieciach i o tym, jak im pomóc. Potem siadali każde do swoich zajęć. Żona zatracala się w świecie książek, mąż w świecie politycznych rozgrywek.

Jeżeli ktoś zarzuciłby pani Kadangi, że nie jest szczęśliwa, najpewniej zaśmiałaby się nerwowo i zlekceważyła sprawę.

Aż do dzisiaj.

Dzisiaj, kiedy spojrziała w roześmiane oczy Johna Jengi, który przedstawił się jako komendant policji, zrozumiała, że przez wiele lat była całkiem przezroczysta. Że do dzisiaj nikt jej tak naprawdę nie dostrzegał, dla nikogo nie istniała jako... kobieta.

To odkrycie wstrząsnęło nią do głębi. Nie podejrzewała, że ona, osoba już nie pierwszej młodości, może aż tak intensywnie przeżywać zwykłe spotkanie z mężczyzną. Spotkanie niewinne. Po tym jak wpadł na nią przypadkiem pod Kenyatta Centre, została w ramach zadośćuczynienia zaproszona na szklankę soku z passiflory. I wcale się nie liczyło, że szli na ten sok przez pół Nairobi i że spotkała po drodze kilku znajomych Aloisa.

Pani Kadangi czuła się szczęśliwa.

Wreszcie.

Lutka też się z tych znalezisk cieszyła. Należało im się. Ale ona pójdzie sobie przed obiadem na spacer. Założy się, że nawet nikt nie zauważy. Dla nikogo jej obecność nie jest ważna, kurczę pieczone. Pożegna się ze wszystkimi miejscami, które tu polubiła, popatrzy na wulkan i postara się nie pamiętać, że Czarek obiecał jej wspólną wycieczkę. Szkoda. Wielka szkoda. Wulkanów nie widzi się na co dzień, nie wyrastają przed człowiekiem pomiędzy ulicą Mariacką a Francuską w Katowicach. Taka mała penetracja stożka to byłoby coś! Ale za to przy północnym brzegu jeziora jest miejsce, gdzie woda tryska w górę jak gorący gejzer. Rozgrzane krople smyrają po całym ciebie. Połóż się tam na kamieniach, zamknie oczy...

Ktoś za nią biegł.

Rytmicznie wybijane kroki chrzęściły coraz bliżej.

Może to Czarek?

- Ja muszę porozmawiać - padło z boku łamaną angielszczyzną.

Sandra. Stała na baczność, chowając za sobą transporter. Wyglądała na zmartwioną. Zostawiła swoje towarzyski w wąwozie, więc pewnie coś się wydarzyło. Czego mogła chcieć?

- Coś nie tak z kłatką?

Dziewczyna chyba nie zrozumiała, bo pominęła pytanie niepewnym skrzywieniem ust i wbijając w Lutkę błagalne spojrzenie, powtórzyła prośbę:

- Chcę porozmawiać.

- To usiądźmy pod drzewem - zaproponowała Lutka. Starą się nie okazać zdziwienia i tym samym nie odebrać Sandrze resztek odwagi.

Pod akacją znalazło się tyle cienia, że mogły się tam wygodnie usadowić. Lutce już nie przeszkadzały kamienie - traktowała ich wszechobecność jak coś oczywistego. Może nie siedziało się na nich jak na soczystozielonej murawie, ale dało się wytrzymać. Kwestia przyzwyczajenia. Są przecież różne sposoby przysiadania na bryłach lawy. Półdupkiem, śróddupkiem, kantdupkiem...

- Masz jakiś kłopot? - zagaiła, bo Sandra nadal nie kwapiła się do rozpoczęcia rozmowy.

- Duży kłopot. Bardzo duży kłopot - powiedziała dziewczyna drżącym głosem. - I ja chcę mzungu opowiedzieć. Mzungu jest dobra i mądra. I mzungu się nie boi.

Wstęp nie zabrzmiał zbyt dobrze. Jeśli ktoś zaczyna od pochlebstw, coś jest na rzeczy. Trzeba się mieć na baczności. Nie boi się? Co za bzdury! Wystarczy, że przypomni sobie Musę, w nogach od razu zaczyna się jej ścinać krew.

- Dzisiaj przyszłam, żeby mzungu zobaczyć.

- O... To mnie widzisz. I... Ja nie jestem ani dobra, ani tym bardziej mądra. Nawet myślę, że jestem głupia. Bardzo głupia - powtórzyła smętnie.

- Pani jest biała, inna kobieta. - Sandra obstawała przy swoim. Wypowiedziała kwestię, potrząsając zgrabnie głową. Jej angielski był o wiele prostszy niż język szefa policji. Trudno się dziwić. Jenga ćwiczył swoje zdolności językowe w różnych urzędowych sytuacjach. Podobnie Festus, również mówił płynnie. - Mzungu mi pomoże. Widzi inaczej. Ja nie umiem tak widzieć.

- W porządku, przestań mi słodzić. Nie, nie rozumiesz, co mówię. - Lutka machnęła ręką, widząc pytający wzrok swojej rozmówczynie. - Powiedz po prostu, o co chodzi. Zobaczymy. Wysłuchać zawsze mogę.

- Ja potrzebuję rady.

- Uuu, to nie wiem, czy jestem kompetentna. Znaczy się,

nie wiem, czy potrafię. A ten wasz szaman? - Lutka wypowiedziała ostatnie słowo z lekkim powątpiewaniem, które brało się z jej własnych doświadczeń. Seanse i wizje szczerze odradzałyby każdemu, ale może stary mógłby pomóc dziewczynie inaczej? Przecież nikt nie orientuje się w tutejszych obyczajach lepiej od niego.

- Nie. - Sandra jakby się skurczyła. - Nie mówię nikomu z wioski.

- Tajemnica?

- Tak. Nikomu!

- To ja też nikomu.

- Bardzo dobrze. - Sandra westchnęła z przygnębieniem i zaczęła opowieść: - Jestem żoną Emilia. Były tańce i do naszej chaty przyszedł Samburu. Ten zabity.

- Nyete?!

- Nie wiem. Nie znam imienia. Potem policjant pytał woda, kto widział zabitego na tańcach. Ja nie mówiłam, Emilio nie pozwolił.

- Poczekaj. - Lutce zapało dech pod wpływem usłyszanych właśnie informacji. - Mówisz ważne rzeczy. Powoli. Były tańce i do twojego domu przyszedł Samburu? Ten, którego znaleźli później zabitego nad Sugutą?

- Ten.

- To Nyete, kucharz z naszego obozu.

- Tak, kucharz.

- Przyszedł wtedy do twojego męża? - upewniła się Lutka.

- Tak.

- Słyszałaś, o czym rozmawiali?

- Nie. Emilio kazał mi iść na tańce. Oni żuli miraa.

- Ufff Nie rozumiem. Co to jest miraa?

Sandra spojrzała na mądrą białą kobietę z lekkim osłupieniem. Nie pojmowała. Jak można nie wiedzieć, co to jest miraa? Wszyscy mężczyźni to żuli, a potem do niczego się nie nadawali.

- Aha, pewnie coś znowu palnęłam - domyśliła się Lutka. - Mów dalej. Co się działo? Wróciłaś z tańców i co?

- Emilia nie było. Przyszedł dopiero rano. Sam. Bardzo

przestraszony. Zabronił mówić, że był u nas kucharz. Potem ktoś do niego ciągle dzwonił.

- Jak to zadzwonił?

- Dzwonił. Emilio ma telefon.

- Komórkowy?!

- Tak - dziewczyna potwierdziła cichym głosem, a Lutka poderwała się z miejsca, jakby pędził na nią wielbłąd. Dziwne, podobno telefon to dla białych zwykła rzecz. Sandra patrzyła na Lutkę coraz bardziej zaniepokojona. A może mzungu rzeczywiście jest głupia? Przed chwilą mówiła o sobie właśnie w ten sposób. Że jest bardzo głupia. Przecież człowiek zna siebie najlepiej. Może wstąpił w nią jakiś zły duch?

- Słuchaj! - Mzungu dla odmiany opadła z powrotem na kamienie i aż syknęła z bólu. Masując tylną część ciała, oświadczyła: - Musisz powiedzieć o tym policji.

Szeroko otwarte oczy Sandry przypominały teraz rozmiarami dwa dorodne ananasy i wystarczyły za każdą odpowiedź.

- Nie? - Lutka bardziej stwierdziła, niż zapytała. - Dlaczego nie?

- Policjant pytał w wiosce o kucharza. Pytał, czy kucharz był w jakiejś chacie, czy ktoś go widział. Emilio nic nie powiedział i mnie też kazał nie mówić. Muszę słuchać. Zakazał, a potem uciekł. Wielki wstyd.

- Uciekł. A wcześniej coś wyjaśnił?

- Nie. To jego sprawa, nie kobiety.

- Aha. Taaakie macie tutaj klimaty...

- Jakie klimaty? Co to klimaty?

- Nic takiego. U nas mężczyźni rozmawiają z kobietami, przynajmniej teoretycznie.

- My też rozmawiamy.

- I co z tego rozmawiania? Po co twój mąż zaciągnął do waszej chaty Nyete i co się z nim potem stało? Wiesz?

- Nie wiem. - Sandra na nowo posmutniała. - W wiosce źle.

- Co: źle? Czemu źle?

- Mówią, że Emilio zdrajca. Uciekł. Tylko słaby i winny ucieka.

- A ty co o tym myślisz? Czemu uciekł?

- Bał się. Po tańcach wrócił bardzo smutny i taki już był. Nie spał w nocy. Odbierał telefony. Szedł rozmawiać na pustynię, żebym nie słyszała.

- Czyli coś ukrywał?

- Tak - westchnęła Sandra. - Stało się coś niedobrego. Coś bardzo niedobrego.

- No raczej... Zabili Nyete.

- Emilio nie zabił!

Lutka postanowiła działać dyplomatycznie. Polubiła Sandrę i szczerze współczuła dziewczynie, że jej mąż musiał się chować w mysiej dziurze, zamiast przechadzać się po świecie ze stołeczkiem i kijkiem w ręce jak inni nomadzi (nad jeziorem Turkana mężczyźni obowiązkowo posiadali takie atrybuty męskości). Ale ona nie zamierzała rozstrzygać, kto zabił Nyete. Tym zajmie się Jenga. Zaraz, zaraz. Jak by to zrobić, żeby nie zaszkodzić Sandrze, która okazała jej przecież zaufanie, a jednocześnie załatwić sprawę jak należy...

- Wiadomo tylko, że twój mąż zaprosił kucharza do chaty i wrócił nad ranem sam - zaczęła ostrożnie. - Masz rację, to jeszcze o niczym nie świadczy. Może poszli na dłuższy spacer i po prostu pożegnali się pod jakąś palmą? Ale coś było nie tak, skoro twój mąż zabronił mówić o tej wizycie wodzowi. Ciekawe.

- Było źle - Sandra przytaknęła, pociągając nosem.

- I tego twojego Emilia nadal nie ma? Nie wrócił?

- Nie wrócił.

- A ktoś go szukał?

- Wódz szukał, ja szukałam. Nigdzie nie ma. Nie wiem, co robić.

- To jak zawiadomimy policję, to i tak do kitu. To znaczy, bez sensu. Co im po tej informacji, skoro główny po... - Lutka ugryzła się w język, żeby nie chlapnąć: „podejrzany” - ...posiadacz telefonu komórkowego gdzieś przepadł? Policji nie powiemy, twojemu wodzowi też nie powiemy. Powiemy profesorowi, bo on jest tu najmądrzejszy i umie dochować tajemnicy. Poczekasz, ja go przyprowadzę i razem coś wymy-

ślimy. Ale najpierw zdradzisz mi, co to jest miraa, zgoda?

Sandra uciekła.

Nie zaczekała.

Kiedy Lutka wróciła pod akację z profesorem, dziewczyny już tam nie zastała. Turkanka niechętnie zgodziła się na wtajemniczenie kolejnej osoby, ale widocznie kiedy została sama i spokojnie przeanalizowała sytuację, opory wzięły górę. Historię o Emiliu opowiedziała Lutka profesorowi po drodze. Nie był zachwycony zniknięciem Sandry.

- Wielka szkoda. - Podparł się rękami i mrużąc wśród zmarszczek oczy, patrzył na zamglony piaskiem horyzont. Nie migąła jednak na nim żadna czerwono-żółta sukienka. - Jak oni coś postanawiają, potem jest to ciężko odwrócić. Miejmy nadzieję, że dziewczyna jeszcze zechce ze mną porozmawiać.

- Postaram się ją przekonać. Chociaż nie, co ja gadam - zreflektowała się. - Po obiedzie odlatuję.

- A może ty sama dasz się przekonać? - usłyszała nieoczekiwanie.

- Do czego?

- Raczej do kogo. Słyszałem, że wybierasz się do Mombasy. Czarek mówił, że masz tam rodzinę.

Lutka usiłowała ukryć zmieszanie. Pogawędka o Cezarym niekoniecznie była w tej chwili tym, co by ją zachwycało. A już o Robercie mówić sobie wręcz nie życzyła. Samo myślenie o chuderławym blondynie wydawało się jej teraz nieprzyjemne. A może powinna w tej Mombasie złapać samolot do Polski?

- Tak, w pewnym sensie... Rodzinę.

- A Czarek to nie rodzina? Dlaczego zostawiasz go tutaj samego? Julią się nie przejmuj - dodał i spojrzał Lutce dobrotliwie w oczy. - Julia lubi się po prostu bawić, taka już jest.

- Ja... Wcale się Julią nie przejmuję - wydukała.

- Więc?

- Po prostu MUSZĘ stąd zniknąć - powiedziała niemal rozpaczliwym tonem i profesor zrozumiał, że decyzja została już podjęta. Zrozumiał także, że Lutka odleci z Kotła Diabła, ale wraz z Czarkiem zostawi tu część siebie.

I ciągle będzie jej czegoś brak.

- Proszę na razie nie zawiadamiać komisarza - poprosiła na odchodnym.

- Nie rozumiem. - Profesor zmarszczył krzaczaste brwi.

- Proszę nie mówić Jendze o Emiliu. Może to głupie, ale nie chciałabym zawieść Sandry. Jej mąż i tak gdzieś zginął, więc nie można go przesłuchać.

- A jeśli policja pomogłaby go odnaleźć?

- Niby jak? - Lutka wątpiła. - Wystarczy namierzyć Musę. Jak ten patafian się znajdzie, znajdzie się też Emilio. Spokojna głowa.

Nie spodziewała się zobaczyć Czarka w samolocie.

- A ty gdzie się pchasz? - Zasłoniła ciałem drzwi, widząc, że brunet zamierza wtarabanić się do środka.

- Pcham się jako pasażer, bo lecę do Mombasy po fajki - rzucił znudzonym tonem. - Nie myśl, że stracę taką okazję. Więc się suń, *babe*. Chyba że chcesz, żebym użył siły.

W żadne użycie siły nie wierzyła. A przynajmniej nie wierzyła w nadużywanie siły. Co do tego jednak, że Czarek upora się z przeszkodą na drodze w ciągu paru chwil, nie miała wątpliwości. W nocy poradził sobie z dostawionym do drzwi łóżkiem, w którym spała, i nawet się przy tym nie przebudziła.

- Proszę uprzejmie. Po fajki każdy może lecieć, z kim chce i kiedy mu się podoba. - Przepuściła go i usiadła na miejscu.

- Jaka miła dziewczynka, myślałby kto... I jaka łaskawa.

- Pozwolisz, że będę cię ignorowała? W tym samolocie lecą tylko Fryga, Festus i ja. Ciebie tu po prostu nie ma. Nic nie widzę, nie słyszę, nie czuję twoich perfum...

- Fajnie pachną, co? Bicz na kobiety. - Zaśmiał się zado-

wolony i podniósł ramię, ukazując zarośniętą kępkę pachy. - Chcesz niuchnąć bezpośrednio?

Poczucie humoru wygrało. Lutka zajęła się nową klatką Frygi, żeby nie parsknąć śmiechem. Czemu to skubaniec robił? Czemu zawsze udawało mu się ją rozbawić, wkurzyć, speszzyć, zakłopotać?

- Gotowi? - Na szczęście Festus pojawił się w samą porę i wszelkie odruchy radości jej przeszły.

Zostawia wszystko.

Zostawia swój pachnący drzewem pokój, profesora, jezioro, kości, wzgórze. Zostawia Afrykę.

Co z tego, że Mombasa leży na tym samym kontynencie.

Nigdzie nie będzie tak prawdziwie, tak mocno czuła Afryki jak tutaj.

Nigdzie.

Od strony domków zaczęły nadciągać obozowicze. Zjawiała się nawet ta ruda małpa, Julia. Mogła się nie wygłupiać, do prawdy. Chyba że przyszła tu z powodu Czarka, ale i tak nie było to zbyt taktowne zachowanie. Brak klasy, nic więcej.

Lutka westchnęła. Bez zbytniego zaangażowania wykonała kilka pozdrawiających ruchów ręką i ułożyła usta w grzeczny uśmiech.

Wystartowali.

Turkotanie kół, postękiwania blachy. I wreszcie moment, kiedy koła tracą kontakt z ziemią. Rzęgot zmienia się w świst, maszyna zaczyna pracować miarowo. Powietrze łupie o kadłub.

I co? Gdzie motyle w brzuchu? Gdzie obezwładniające pragnienie, żeby się schować pod siedzenie i wyjść dopiero, kiedy z powrotem wylądują? Serce nie wali jak oszalałe, a w gardle nie tkwi już lepka kula uniemożliwiająca oddychanie.

Ona...

Nie czuje nic!

Żadnego niepokoju!

Jak to możliwe?

- Ja chyba... - Odwróciła się do Czarka i wykrzyczała: - Ja chyba nie boję się już latać! Może ten szaman rzeczywiście mi pomógł?

- Gdybym był wredny, a nie jestem, zapytałbym, do kogo mówisz! Do Frygi czy do Festusa? Bo mnie tu nie ma. Nie ma mnie!

Niech straci.

Zawiezie Lutkę na miejsce. Do tego jej, co za słowo, NARZECZONEGO. Podstawi ją pod nos innemu jak frajer. Szlag by taką imprezę trafił. Ale cóż... Przecież to blond dziewczę zginie w Mombasie. Przepadnie, zatraci się, wszyscy uliczni handlarze wcisną jej swoje „najcenniejsze” towary za bezcenne kenijskie szylingi. Mało tego! Zostanie okradziona, nakłoniona do przejścia na islam, zawleczona do jakiegoś portowego zaułka i zgwałcona.

Nieznośny babol.

Same z nią kłopoty.

A wystarczyłoby, żeby go wysłuchała. To nie, zawzięła się. Więc on nie będzie się napraszał z wyjaśnieniami. Każdy widzi to, co chce zobaczyć. Lutka chce widzieć w nim bawidamka, pozeracza niewieścich serc. I nie tylko serc - ale również pozeracza niewieścich wdzięków. Lubił kobiety, zwykła rzecz. Ale bawidamek?! Po prostu facet. Facet wysyłający sygnały, że jest facetem. Facet przez duże F, a nie przez marne d jak dupa.

Na zapachowy żart, który miał rozładować sytuację, Lutka nie zareagowała. Odwróciła się do okna i trwała tak, dopóki nie wylądowali w Mombasie.

I dobrze.

Niech się obraża.

Dama z tchórzoszczurem.

A może ma okres? One zawsze są przed okresem, w trakcie albo tuż we frustrującym po. W starożytności sądzono, że przyczyną hysterii u kobiet jest wędrówka macicy w ich ciachach. Zresztą macica to z greckiego *hystera*, he, he. Wszystko jasne.

Histeryczka z tchórzoszczurem.

Tak, tak brzmi lepiej.

Histeryczka!

Nie żadna dama.

- Mogę wiedzieć, dokąd idziesz po te fajki? Bo nie będziesz ich chyba szukał w odległości metra ode mnie? - rzuciła mu przez ramię, kiedy wyszli z lotniska.

Parę godzin lotu najwyraźniej nie poprawiło jej humoru. A przecież widzieli z góry prawie całą Kenię! Sawanny, rzeki, góry, wulkany, zwierzęta. Nie ekscytował się zazwyczaj widoczkami, nie wzdychał do zachodów słońca i zarysu szczytów, ale Kenia z lotu ptaka? Co za nieczuła złośnica.

- Tam masz sklep. - Wskazała oschle na obdrapany wózek z przeróżnymi produktami.

- Kupię po drodze. Gdzie mieszka twój...

- Narzeczony? Jakiś problem z wyartykułowaniem słowa?

Uszczypliwa histeryczka z tchórzoszczurem. To najlepsze określenie. Co to się porobiło! Jeszcze niedawno dziecina była taka przestraszona, zahukana. A teraz pyskuje, ile wlezie!

- Problem z czym? Pilnuj swojego różowego jęczorka, oralistko, żeby ci się nie powyginał. Problem! Narzeczony, kochanek, fagas, ziułysław... Co tam wolisz. Mnie *wsio równo*. Gdzie mieszka, pytam?

- Po co ci jego mieszkanie?

- Dostarczymy cię tam z Festusem. - Przeszedł na angielski, bo do tej pory toczył z Lutką rozmowę po polsku. - Prawda? - zwrócił się do pilota z nadzieją, że znajdzie w nim sprzymierzeńca.

Festus zerknął porozumiewawczo i zasalutował.

- Tak jest!

Widząc Mombasę, aż trudno uwierzyć, że to drugie co do wielkości miasto Kenii. Panuje tu atmosfera niemrawej, portowej krzątaniny i beztroskiego bałaganu, który w ogóle nie nasuwa skojarzeń z metropolią. Gdyby porównywać miasta do ludzi - Mombasa przypominałaby majtka, który wymknął się ze statku na piwo do zasmrodzonej tawerny,

natomiast Nairobi dla kontrastu przebrałoby się za egzotyczną kokietkę w gustownej, choć gdzieniegdzie pomiętej sukni. W centrum Mombasy słyszeć klaksony matatu, nawoływania sprzedawców i eksplozje kłótni, które są nieodzownym elementem komunikacji miejskiej - piesi poruszają się tu bowiem jezdnią na równych prawach co samochody. Codziennosc w tych okolicznościach rodzi pewne konflikty. Jeśli więc auto zmiażdży ci przypadkiem stopę kołem, rozedrzyj się tutejszym zwyczajem z głębi trzewi. Stopie to już nie pomoże, ale przy odrobinie szczęścia ocalisz biodro.

Lutka stwierdziła, że prawie każdy tu coś dźwiga albo przewozi na wózku (w jednym z takich pojazdów tłoczyły się kozy i patrzyły dookoła zupełnie jak białe turystki, które oglądają miasto z autokaru). Na ulicznych straganach można było zobaczyć sterty arbuzów, patelni, zniszczonych butów, chińskich majtek. Wszystkiego! Ponad tym ludzkim kłębowiskiem krzyku i pośpiesznego szurania unosiło się natrętne i mamrotliwe zawodzenie. Zupełnie jakby ktoś po usunięciu migdałków usiłował powiedzieć lekarzowi, że operacja niekoniecznie się udała. Czyżby w którymś z meczetów nadawano przez głośniki modlitwę?

Na Moi Avenue obie strony ulicy są wypełnione budami handlarzy i niskimi, co najwyżej czteropiętrowymi budynkami

- pełno na nich koślawych, niezbyt wprawnie wykonanych reklam. Obowiązuje ruch lewostronny. Lutka z otwartą buzią obserwowała, jak wiozący ich kierowca nucił coś pod nosem i wciskał się przed inne samochody, w ogóle nie przestrzegając przepisów. O mało nie potracił przy tym jakiejś kobiety, odskoczyła w ostatniej chwili! Nie widać było też sygnalizacji drogowej.

Żadnej! Choćby jednego marnego zielonego światełka. Każdy robił, co chciał.

- Jak ci się podoba Mombasa? - zagadał Festus. Czarek siedział z przodu nie wiedząc czemu naburmuszony i odkąd wsiedli do taksówki, do nikogo się nie odzywał.

- Inna. Czemu tu nie ma świateł?

- A po co?

- W sumie racja. Wszyscy nieźle sobie radzą.

- Światła są, chyba na dwóch skrzyżowaniach, ale prąd włączają na osiem do dziesięciu godzin dziennie. Więc trzeba mieć refleks i sprawny klakson, nic więcej.

- Zaczyna mi się ta beztroska podobać. O rany!!! - zawołała, widząc już z daleka górującą nad ulicą sławną bramę z kłów słoniowych. Wiadomo, że wzniesiono ją z arkuszy białej blachy, ale... Może zrobiłaby pod kłami ostatnie, pożegnalne zdjęcie z Czarkiem? Rozstaliby się o te parę chwil później. - Moglibyśmy się tutaj zatrzymać?

Festus zamienił parę słów z kierowcą, a Czarek spojrzał do tyłu zdziwiony.

- Na Tayari już jest niedaleko - zawiadomił pilot. - Przyjdziecie pieszo, a ja zawiozę rzeczy do hotelu. Tam na was czekam.

Lutka zerknęła na Czarka. Urażony książę w końcu dał sygnał, żeby wysiadła, więc wzięła klatkę z Frygą i wygramoliła się z auta.

- Znowu sami - skomentował Czarek z przekąsem, rozglądając się dookoła. - Jak ty to zniesiesz?

- Dzielnie to zniosę. Dzielnie.

- Tere-fere. Śmiem przypuszczać, że nie dzielnie, tylko pyskująco. Ale za to cię w sumie lubię, mała. Jesteś uroczo pyskotliwa.

- To od błyskotliwości?

- Też... Może trochę odpoczniemy? Najpierw samolot, teraz taksówka. Pewnie jesteś zmęczona? - Wskazał na prawo, gdzie znajdował się kawałek zielonej przestrzeni.

Trudno było ten zakątek nazwać miejskim skwerkiem, bo teren wyglądał raczej na zaniedbany wybieg dla koni, ale pod drzewami znajdowało się trochę cienia. Nie tylko oni wpadli na podobny pomysł - na ziemi siedzieli też inni amatorzy relaksu. Było gwarnie i wesoło. Przy ulicy stał ocieniony kolorowym parasolem stolik. Na nim ciemnoskóry mężczyzna wypiekał placki chapati, które rozsiewały wkoło zapach przypalonego ciasta. Można też było tu nabyć jakiś zielonkawy sok, sprze-

dawca nalewał go do plastikowych kubków. Lutka wołała jednak nie ryzykować. Usiadła na trawie i wyciągnęła z plecaka butelkę wody mineralnej.

- Dam Frydze pić, a potem porobimy trochę zdjęć, zgoda? Siadaj, co tak stoisz?

Cezary nie zdążył do niej dołączyć.

Naraz wydarzyły się bowiem dwie rzeczy.

Najpierw Lutka odwiązała sznurek, który unieruchamiał drzwiczki klatki, a w tym samym czasie jeden z siedzących nieopodal mężczyzn zaczął śpiewać i miarowo uderzać w jakiś drewniany łomoczący instrument z taką siłą, że aż zapiszczało im w uszach.

Może Frygę przestraszyły nieoczekiwane dźwięki?

A może znudziło ją siedzenie w zamknięciu?

Dość, że jednym zwinnym susem wydostała się z więzienia i z prędkością światła pomknęła w stronę ruchliwej ulicy.

Konsternacja trwała kilka sekund.

Lutka siedziała dalej w miejscu jak sparaliżowana, a Czarek stał, nie wiedząc, czy powinien się rzucić w pogoń za oszalałym zwierzem, czy ustalić z jego właścicielką plan działania. W głowie Lutki zdążył się już tymczasem włączyć potężny sygnał alarmowy.

- Fryga! - wrzasnęła i nie patrząc na samochody, również rzuciła się przed siebie.

Czarek przyglądał się w napięciu, jak lawiruje między autami. Ktoś zatrąbił, ktoś wyhamował.

Była cała!

Co za ulga.

Dotarła na kawałek zieleni dzielący Moi Avenue na dwa pasy i wpatrywała się w słup elektryczny, od którego odchodziło mnóstwo zwisających nad jezdnią kabli. Na jednym z jego ramion służących za latarnię siedziała skulona Fryga. No nie! O kotach słyszał, koty wążące gdzieś na wysokości widział osobiście. Ale żeby tchórzoszczur wlaź na słup? Na metalową śliską rurę? Może Fryga wykręciła ten numer pod wpływem szoku? Facet obok dał akustyczny popis, ale żeby na słup? Fretka?

Zaraz jednak powtórzył w myślach powiedzenie: „Jaki pan, taki kram”, i przestał się dziwić. Gdyby tak machnął na chodniku rurę go-go i postawił przy niej Lutkę w jakichś wisienkowych majtaskach z koronką...

- Czareek! - Zazgrzytało mu w uchu od krzyku rozpacz.

Prześlicznie, za długo nic się nie działo. Ożeż, cholera jasna! Złapał za klatkę, plecak i podbiegł do ulicy. Kiedy już znalazł się przy Lutce, miał ochotę sprać ją na kwaśne jabłko. Za to, że znowu coś wymodziła. Przełożyć przez kolano i...

- Co teraz? - Lutka wyglądała na przerażoną. - Jak ją stamtąd ściągniemy?

- Słuchaj, mała - zignorował pytanie. - Ja jestem wrażliwy chłopiec. Ty mnie ostrzegaj, jak się zamierzasz rzucać pod koła. Żebym się nastawił psychicznie. Ostrzegaj mnie!

- Czarek. Co z Frygą?! Ona się boi! Zaraz spadnie!

Zaczerpnął powietrza.

- Jakies przysmaki masz?

- Wszystko w torbie. Jedzie do hotelu.

- Jasne... Może zeżre to? - Wskazał na rosnący obok krzew.

- Pomachasz liściem.

Lutka nie odpowiedziała, za to obdarzyła go spojrzeniem, w którym wyczuwało się zirytowanie i pretensję.

Zaczęła znowu nawoływać pupilkę, ale bez skutku. Fryga ani myślała zejść. Marnie to wyglądało. Co prawda nigdy nie widział przerażonej fretki, ale coś, co się trzęsie i giba, czepiając się metalowego drąga...

- Ona zaraz spadnie! - słyszał ciągle powtarzany płaczliwy refren. - Spadnie, spadnie.

Hm, gdyby Fryga spadła, jak nic wylądowałyby na jezdni. A tam zamieniłyby się w krwawy, pełen srebrnej sierści kotlecik. Mało apetyczna wizja.

- Poczekaj, zastanawiam się. - Próbował na spokojnie przeanalizować sytuację.

- Na co poczekaj?! Ja tam włączę! Albo ty włącz!

- Gdzie? Zgłupiałas?!

- Wiem! - Nie doszło do kłótni tylko dlatego, że Lutkę olśniło. Zaczęła gorączkowo rozwiązywać węzeł sukienki,

którą kupiła od jednej z Turkanek w Loiyangalani. Sukienka była po prostu kolorowym i bardzo długim pasmem materiału.

- Co ty chcesz zrobić? Kobieto!

- Przerzucimy to nad lampą. Fryga po tym zejdzie.

- Jak to przerzucimy? To jest za lekkie!

- Z jednej strony przywiążę sandał. - Lutka już najwidoczniej wszystko przemyślała. Właśnie kończyła odplątywanie materiału. Jeszcze jeden ruch ręką...

- Cholera! Ty goła jesteś! - wykrzyczał zdenerwowany teraz już nie na żarty.

Zdaje się, że nagość była tu źle widziana. Oby się mylił, ale coś mu świtało, że za obnażanie się można w Kenii popaść w konflikt z prawem.

- Jaka goła? Strój kąpielowy to goła?!

Zaklął mało wybrednie. Kątem oka dostrzegł, że na chodnikach zaczęli się już gromadzić gapie. Głowy wszystkich prowadzących pojazdy również obrócone były tylko w jednym kierunku. W kierunku Lutki przyodzianej w skąpe bikini. Cud, że nikt jeszcze nie spowodował wypadku. Może niech ta wariatka włoży jego koszulkę? Facet z gołym torsem wygląda mniej gorsząco niż baba w majtkach i staniku prezentująca swoje krągłości na głównej ulicy miasta. Odłożył plecak, klatkę Frygi i ściągnął podkoszulek. Teraz i on należał do klubu obnaża czy.

- Ubierz się - rozkazał, ale Lutka nawet nie zauważyła wyciągniętej w jej kierunku ręki.

- Masz. Rzuć to! - Podała mu but wraz ze zwojem tkaniny.

- Ja chyba śnię.

- Rzucaj!

I stało się.

Rzucił butem i usłyszał gwizdek policjanta. Samochody zahamowały, a przedstawiciel prawa, krzyżąc „Stop!”, przemaszerował przez całą szerokość jezdni i zatrzymał się obok nich z miną niewróżącą niczego dobrego.

Nie koniec na tym.

Lutka popatrzyła na zgromadzoną wokół widownię.

W najwyższym zdumieniu zatrzymała na kimś wzrok.

Pobladła, zatrzepotała rzęsami i wydukała:

- O nie...

W tej samej chwili Fryga uczepiła się dyndającego w wilgotnym powietrzu materiału i zjechała po nim wprost w objęcia Czarka. Wbiła przy tym komplet swoich ostrych pazurów w kaloryfer umięśnionego popiersia i ciach-ciach, załatwiła go na Bruce'a Lee.

Krew siknęła cienkimi strużkami.

Mombasę Robert nawet polubił.

Może nie przepadał za centrum, ale stare miasto i wybrzeże to zupełnie co innego.

Starówka urzekła go wąskimi uliczkami i często po niej spacerował, studiując architekturę kamienic. Nie przestawał się dziwić, że tuż obok siebie stały przycupnięte w najlepszej komitywie domy w stylu angielskim, hinduskim i arabskim. Tolerancja religijna była w Mombasie czymś tak oczywistym jak dla Europejczyka istnienie marketów. Imponujące. Na starym mieście Robert regularnie odwiedzał Fort Jesus i miał tam nawet swoją ulubioną armatę. Raczej unikał zaprzyjaźniania się z miejscowymi, ale nie zniechęcało go to do zaglądania na targ. Mimo że upłynął rok, odkąd tu przybył, sterty poukładanych na ziemi owoców, warzyw oraz góry rzeźb i zwoje tkanin ciągle robiły na nim wrażenie. Cykał setki zdjęć. Miało się to artystyczne zacięcie i fotograficzną wrażliwość. Tak tłumaczył swoją skłonność do wycieczek w tłum spoconych wieśniaków. Wstyd przyznać, ale dopiero przed paroma miesiącami odkrył pod Mombasa wioskę plemienia Kamba, gdzie powstawała większość sprzedawanych tu pamiątek, w tym figur i naczyń wykonanych ze szlachetnych odmian drewna. Zabrał tam dzisiaj mamę. Była wniebowzięta.

W ogóle to był dobry pomysł, żeby ją tutaj ściągnąć. W końcu staruszka zobaczyła trochę świata. Całe życie mieszkała na

Śląsku - tylko jeden jedyny raz ojciec zawiózł ją nad Bałtyk. A wczoraj, ho, ho, pływała w Oceanie Indyjskim!

A Lutka?

Ciekawe, co teraz robi. Chociaż nie, powoli przestawało go to interesować. Kobieta, która opuszcza swojego mężczyznę, która dla narzeczonego nie chce przełamać głupiej fobii i wsiąść w zwykły samolot... Taka kobieta jest do luftu. A mama przestrzegala, że nic z tego nie będzie. Że Lutka myśli o sobie, że nie chce iść na kompromis, który we wspólnym życiu jest jakby istotny. Nawet bardzo istotny. Zależało jej tylko na mieszkaniu. I dopięła swego. Za to Alice - córka właściciela hotelu - ma wszystko. Pieniądze, dom, a do tego nogi smukłe jak muzułmański minaret. I oczy, które tak na niego patrzą, tak patrzą... Wcale nie szuka mężczyzny, który by ją utrzymywał. To ona mogłaby zapewnić utrzymanie całemu tabunowi europejskich jasnowłosych chłopców. Alice spodobała się mamie. Alice, nie Lutka.

A mama zna się na kobietach.

Ma intuicję.

Nie przepadał za zbiegowiskami, a już stanie na chodniku i gapienie się na czyjeś nieszczęście wydawało mu się żenujące. Zresztą co go obchodzą cudze nieszczęścia. Ostatnio był jednak świadkiem, jak rozprawiano się z prostytutką, która dla kamuflażu przed policją wyszła na ulicę w stroju zakrywającym ciało i głowę zwanym tu buibui. Historia skończyła się dla kobiety niemal publicznym pobiciem przez gromadę prawdziwych muzułmanek. Interweniowała policja.

O, tu też j est policjant.

Robert wyciągnął głowę, żeby tylko zerknąć.

I...

Znajoma sylwetka, włosy poskręcane jak sprężyny...

- Mamo! Zobacz!

- Nic nie widzę.

- No, chodź, popatrz! Bo może ja mam coś z oczami. Niemożliwe!

Przecisnęli się do przodu, gdzie całe widowisko toczyło się pod słoniowymi kłami jak na wielkiej cyrkowej arenie. Zamarł

ruch uliczny, zamarli ciemnoskórzy ludzie po obu stronach alei. Pośrodku tkwiła kobieca postać w skąpym plażowym stroju. Niedobrze. W najgorszym przypadku zostanie aresztowana za naruszanie porządku. Tuż obok stał rosły facet ubrany tylko w spodnie, który właśnie rzucił czymś w stronę słupa. Za przedmiotem, jak za kometą, migotał barwny ogon.

Kobieta.

Te same ruchy, gesty.

- Przecież to Lutka! - zawołała w świętym oburzeniu mama i dopiero wtedy uwierzył.

Mamusia!

To było dla Lutki największym ciosem.

No to już jest komplet. Wszyscy szczęśliwi. Wszyscy?

Ona nie była szczęśliwa. Była wściekła! Że też się wcześniej nie domyśliła. Czy musiała wyruszyć do Afryki, żeby przejrzeć na oczy? Przecież Robert tak naprawdę nie mógł bez mamusi żyć, jej przybycie do Mombasy było tylko kwestią czasu. Konsultował z nią każdą decyzję, biegał do niej codziennie. Czasem nawet po dwa razy! Bo mamie trzeba pomóc, bo specjalnie dla niego przygotowała schab ze śliwkami, bo przekwita i należy ją wspierać. Ble-ble-ble. Ta wtrącająca się we wszystko wiedźma zniszczyłaby jej małżeństwo. Jak nie! Czemu Lutka łudziła się, że Robert odetnie w końcu pępowinę i zacznie oddychać samodzielnie? Cholerny maminsynek. Pedant do tego. Obrzydliwy pedant, który od progu krzyczał, żeby zabrała z przedpokoju płaszcz, że nie żyjemy w oborze, że zaduch, że trzeba przewietrzyć, że... Aż ją skręciło, kiedy przypomniała sobie co niektóre urocze chwile. Pedanci są podejrzani. Tak mówi Czarek. Układają i sprzątają świat, bo w zwojach mózgowych szaleje im potworny bałagan. Ktoś kiedyś powiedział, że życie z aniołem jest o wiele trudniejsze niż z diabłem. Święta prawda.

Co ona w nim widziała???

- Będzie mandat - oświadczył kategorycznie policjant i

Lutka wróciła do rzeczywistości. Niech sobie Robert trzyma mamusię pod rękę i niech się gapi jak wół w malowane wrota. A dezaprobata świecąca na jego zaczerwionym od słońca obliczu w ogóle nie robiła na niej wrażenia. W ogóle! Pomachała im kurtuazyjnie na powitanie, nic więcej. Jak gdyby podobne spotkanie było najzwyczajszą rzeczą na świecie. Phi, po prostu zapakowała walizkę i urządziła sobie wycieczkę na Czarny Łąd, cóż wielkiego.

- Dogadamy się przecież. - Czarek usiłował ratować sytuację. Z dwuznacznego tonu Lutka wywnioskowała, że sugerował łapówkę. Czytała, że w Kenii to bardzo częsty - i co ważne - skuteczny sposób załatwiania spraw.

Policjant jakby się zawahał, a Czarek sięgnął do tylnej kieszeni spodni, ale nie wyczuł tam zwykłego wybrzuszenia. Rzecz jasna, nie zamierzał rozliczyć się z przedstawicielem władzy tu i teraz, raczej chodziło o znaczący gest, ale wykonanie go spowodowało, że na nowo musiał ocenić swoje możliwości. Co za wybitnie złośliwa złośliwość losu. Zawsze tak jest. Kiedy człowiek naprawdę znajduje się w podbramkowej sytuacji, los strzela mu gola.

- O, ja pierdykam! - rzucił w rozpacz po polsku. - Ubieraj się! - to do Lutki. - Zostawiłem portfel i komórkę w samolocie. Masz jakieś pieniądze? Musimy mu dać, bo nas zgarnie.

- Jak to zgarnie?

- Zamknie nas do ciupy!

Zaraz. Nastąpiła chyba jakaś pomyłka. Są turystami, nie Kenijczykami. Nikt nie może...

- Wyskakuj z kasy - Czarek warknął półgłosem i posłał policjantowi uspokajający uśmiech.

- Nie mam! Włożyłam dokumenty do bagaży. Portfel też.

- Co?! Baby wszystko noszą w torebkach! Co z tobą?

- Wzięłam plecak, torebka jest w walizce. Skąd mogłam...

- To mamy przechłapanie - ponuro podsumował, nie słuchając dalszych wyjaśnień.

- Chyba że... - Lutka jeszcze raz spojrzała w tłum, gdzie u ramienia Roberta wisiała jego oszołomiona wydarzeniami

rodzicielka.

- Czy mogę na chwilę podejść do znajomych? - zapytała grzecznie przedstawiciela prawa, kiedy już uporowała się z zawiązaniem chusty.

Policjant usiłował przekrzyczeć wydzierającego się wniebogłosy Czarka, bo kierowcy zdążyli się już znudzić spektaklem i zaczęli trąbić jedni przez drugich jak opętani, zagłuszając skutecznie wszelkie rzucane nad maskami samochodów słowa. Wszystko powoli wracało do zwykłego porządku. Chodnikowi gapie też już zaczęli się kręcić i przebierać nogami. Pozostali tylko najwytrwalsi, którzy przyglądali się coraz bardziej wściekłemu policjantowi. Lutka wykorzystała więc dogasające zamieszanie i szybko pokonała szerokość ulicy.

- Dzień dobry - przywitała się uprzejmie z mamą Roberta, która skinęła tylko głową, co i tak musiało ją sporo kosztować. Loczki przy błyszczącej twarzy gniewnie się przy tym zatrzęsły, oczy uciekły w bok. Okropność. Antypatyczna okropność.

- Co ty tu robisz? - Robert od razu przeszedł do ataku. Bynajmniej nie oczekiwała całusnych powitań i entuzjastycznego wymachiwania chorągiewką (już nie oczekiwała), ale niechęć brząca w głosie hm... narzeczonego wystarczyła za wszystko.

- Witaj, najdroższy. - Roześmiała mu się bezczelnie w twarz, a blondyn w odpowiedzi po prostu zamarł. Takiej Lutki nie znał. Lutka była miłą i dobrze wychowaną dziewczyną, która spijała z jego ust każde słowo. - Co ja tutaj robię? Zajrzałam na ten odległy kontynent, żeby ci coś oddać. - Ściągnęła z palca pierścioneł. W środku czuła smutek, ale kto mówi, że wrywanie zęba ma należeć do przyjemności? Trzeba się zepsutego śmierdziała pozbyć. Dokonać resekcji, choćby bez znieczulenia!

- Nie myślałem, że przylecisz. Zaprosiłem mamę.

W jednej chwili zrozumiała, że niczego już od tych ludzi nie chce.

Woli zgnić w areszcie, niż poprosić o zwykłą pożyczkę.

Areszt!

To przecież wcale nie tak odrażająca wizja.

Z życia znowu będzie kapał sok, a ona utnie sobie z Cezarym pogawędkę w chłodzie celi. Pogawędkę w założeniu sympatyczną, chociaż bardzo prawdopodobne, że rozmowa zakończy się, jak zwykle w ich przypadku, piramidalną różnicą zdań.

I dobrze.

Przynajmniej coś się będzie działo. Spokój to stagnacja, umieranie. Już nie chciała spokoju. W spokoju przebiła dwadzieścia pięć lat życia. Gwałtu, rety!!! Do cholery ze spokojem! Spokój jest dobry, kiedy się leży w trumnie.

- Jakiś problem? - Cezary pojawił się nagle tuż obok. Zmierzył spojrzeniem szykującego się do riposty Roberta i wypiął swój porysowany tors. - Bo jakby co, to ja jestem mężem tej pani.

- Ooo, naprawdę? - Blondyn zrobił wyjątkowo głupią minę. - Zdziwko...

- A w ryja chcesz? Z jaką dziwką? Z żoną!

Cela.

Kraty zamiast drzwi, dwa nieprawdopodobnie twarde łóżka, na które ktoś rzucił szorstkie wełniane kocy. Wsadzono ich tu za zakłócanie porządku. Gdyby zabrała portfel i komórkę, wszystko skończyłoby się inaczej. To tak jak z myciem szyb. Kiedy okna pasą się w brudzie - słońce sobie te maziaje wygrzewa. Ale niech tylko człowiek stanie w pełnej gotowości do pucowania. Deszcz murowany. Czytała kiedyś o prawach Murphy'ego, może coś w tym jest? Czarek też mógł pomyśleć i nie zostawiać dokumentów w samolocie. Policjant by nie wrzeszczał, Festus nie czekałby nadaremnie w hotelu. Nieźle się wpakowali. W dodatku właśnie zerwała z narzeczonym i spędzenie dwóch miesięcy w Mombasie przestało być aktualne. Kiepsko, naprawdę kiepsciutko. Fryga dostała ostatni posiłek przed obiadem i jeszcze trochę mogła wytrzymać, ale Lutkę zaczynało już porządnie ssać w dołku. Pewnie pod wpływem stresu.

- Kiedyś będziemy całą tę historię wspominać i płakać ze śmiechu. - Czarek nie zamierzał się poddawać. Jego towarzyszka niedoli wyglądała natomiast tak, jakby jej właśnie oznajmiono, że najbliższy rok spędzi na odświeżaniu męskich szaleatów za pomocą ryżowej szczotki. - W sytuacjach kryzysowych ludziom wyłącza się logiczne myślenie. Nam się nie może wyłączyć, bo jak sobie sami nie poradzimy, to mogiła. Ruszmy umysłem.

- Moim?

- Rany...

- Bo powiedziałaś: ruszmy umysłem. Tak jakby w naszym dwuosobowym gronie pracował tylko jeden umysł.

- Rasowa blondynka. - Czarkowi opadły ręce. - Myśl! Albo lepiej nie. To się może okazać zgubne w skutkach. Ja cię zastąpię.

- Daruj sobie teraz złośliwości. Jak sądzisz, czy Festus skojarzy, że coś się stało, i zacznie nas szukać? Jest jakaś szansa?

- Znikoma. Lepiej zastanówmy się, czy możemy coś zdziałać sami.

- Nie mamy pieniędzy, nie mamy komórki, a ten... - Lutka posłała siedzącemu przed telewizorem policjantowi niechętnie spojrzenie - ten obrzydliwiec...

- Po prostu jest mocno rozczarowany, że biali turyści nie sypnęli sianem. Chyba nam nawet nie uwierzył, że jesteśmy goli, bo siedzi obrażony. Zauważyłaś?

- Ale mamy przecież prawo do wykonania telefonu! Zawiadomilibyśmy profesora.

- Teraz, dziecinko, masz prawo, żeby sobie siknąć. - Czarek wskazał na stojący w rogu sanitariat. - I to nie za głośno, żeby nie przeszkadzać naszemu szeryfowi w oglądaniu wiadomości. Telefon! Aleś ty naiwna. Blond naiwna dzidzia, oto z kim mi przyszło siedzieć.

- Uprzejmie czep się krat.

- Podejrzewam jednak - ciągnął niewzruszony - że wcale nie jesteśmy źle traktowani. Ten piękny chce się odegrać, dlatego nas tu wsadził. Wie przecież, że musimy mieć

pieniądze. Jeśli nie przy sobie, to gdzieś w banku. Na razie delektuje się zemstą, ale nie jest głupi. Najdalej rano zaczną negocjacje, gwarantuję ci. I pewnie najpierw wypuści mnie, żebym coś zorganizował.

- To jest rozbój w biały dzień!

- To jest subtelna gra o przeżycie. Podaż i popyt. Gdyby nikt nie dawał w łapę, nie byłoby komu brać. A tak na marginesie, według ich prawa mandat dostaliśmy słusznie. Nie zapominaj .

- Mandat tak. Ale jeśli ten urzędas dostałby swoją dołę, nie byłoby żadnego aresztu. A ja myślałam, że w Polsce jest korupcja. - Lutka pokręciła głową.

- Podejrzewam, że korupcja jest wszędzie, mniej lub bardziej widoczna. I zawsze była, bo człowiek ciągle czegoś chce. Zawsze mu mało.

- Ja chcę powietrza!

- Nie marudź. Lepiej wykorzystajmy sensownie czas. Pewnie dopiero jutro coś się wyjaśni. Przed nami długa noc.

- Co to znaczy: wykorzystajmy sensownie czas? - zapytała Lutka podejrzliwie. - I jaki ma to związek z długą nocą?

- A ty znowu o jednym, zboczona rusalko... Ja, intelektualista i pragmatyk - Czarek ukłonił się teatralnie – proponuję tylko obgadanie pewnych spraw, w które jesteśmy oboje wplątani. Profesor mówił przy obiedzie o niejkiej Sandrze. Rzekniesz mi słówko?

- Na moje oko to wygląda coraz gorzej - skomentował, kiedy Lutka opowiedziała historię, która wydarzyła się przed wylotem. Zapatrzył się w ścianę i potarł w zamyśleniu czoło.

- Ja bym powiedziała, że coraz lepiej.

- Coraz lepiej, bo coraz więcej wiemy?

Potaknęła.

- Niby racja, ale sytuacja zaczyna się od tych wieści coraz bardziej gmatwać - westchnął. - Musa chciał się dostać do obozu, to na pewno. Tak wynika z zeznań dyrektora Tuum. Jedyną szansą było dla tego cwaniaczka pozbycie się kucharza, bo inaczej byśmy go nie zatrudnili. Więc udusił Nyete.

- Ale oprócz naszyjnika i telefonu nie ma dowodów. Na upartego nawet naszyjnik o niczym nie świadczy. Mógł go gdzieś znaleźć, wyłga się bez problemu. Zresztą może faktycznie oskarżamy niewinnego człowieka?

- Niewinnego?! - zachnął się Czarek. - Coś ci się stało w umysł? A kto cię chciał porwać, co?!

- Niewinnego morderstwa - uściśliła.

- Tak. Facet chce wprowadzić kobietę, a poza tym jest wzorem cnót.

- Jak ukradnę z delikatesów herbatę, to nie oznacza, że z mięsnego podprowadziłam golonkę!

- To inny sklep, kochanie, ale przestępstwo to samo. Skłonność. Utrata wartości czy jak to nazwiesz. Zresztą oni tu inaczej pewne rzeczy pojmują. Ale ty przestań bronić Somalijszyka, bo zacznasz mnie wkurzać. Chyba że pozujesz na świętą, Albo faktycznie jakaś śrubka ci się oblużowała, ta od logicznego myślenia. Mogę ci dokręcić.

Lutka zamilkła urażona.

Cezary sapnął i kontynuował:

- Podejrzewam, że Emilio, mąż Sandry, jest jednak współnikiem Musy. Inaczej by nie zwabiał Nyete do swojej chaty i nie uciekał po wszystkim.

- To też tylko twój domysł.

- A co mi pozostaje? Myślę na głos, tylko ty mi ciągle przerywasz.

- Chciałam być tak zwanym głosem rozsądku. Już się nie odzywam.

- I o to chodzi. Baby i ryby...

- Te!

- Baby i ryby mają najfajniejsze skrzela, chciałem powiedzieć. - Zaśmiał się szelmowsko, a Lutka uzmysłowiła sobie, że stać go na poczucie humoru nawet w tak mało komfortowej sytuacji. A co by było, gdyby w areszcie wylądowała z Robertem? Napad hysterii w wydaniu męskim zapewniony. Po hysterii przyszlaby kolej na załamanie manifestujące się czarnowidztwem. Wrrr... Jak to dobrze, że zamknięto ją tu z Czarkiem. Jak dobrze.

- Mów dalej. Już zawarłam paszczę. Słucham.

- Zawarłam paszczę? - Czarek niedowierzająco uniósł brwi.

- A tylko ty masz monopol na słowo-szoki?

- He, he. Jasne, że nie. Szokuj mnie, szokuj. Po prostu udziela ci się mój polot - mruknął z zadowoleniem. - Na czym to ja skończyłem? Aha. Emilio pod jakimś pozorem zaprowadził Nyete do Musy i Musa go kyyyyyy... - Czarek zaczął komicznie ścisnąć własną szyję.

- Słodkie - skomentowała uprzejmie te popisy Lutka.

- Pytanie, czemu nie załatwili Nyete na miejscu, tylko zaprowadzili go aż nad Sugutę?

- Bo w wiosce było za dużo ludzi?

- A co to za problem załatwić kogoś w chacie? - Wzruszył ramionami. - Po cichu, bez świadków. Wyprawić żonę na tańce, a samemu...

- Ale co z ciałem? Położyć je po wszystkim na klepisku i czekać, aż żona wróci i posprząta? Poza tym nie wydaje mi się, żeby z takiej dziury jak Loiyangalani dało się wynieść niepostrzeżenie coś, co przekracza rozmiary jajka. Na przykład trupa. Który nie zmieści się w kieszeni. Czy raczej pod turkańską męską spodniczką.

- Rzeczywiście. - Czarek znowu się zacukał. - Lepiej najpierw zaciągnąć żywe ciało w ustronne miejsce, patrz dolina Suguty, i dopiero wtedy kyyyyyyyy... Mniej komplikacji. I nie ściąga się podejrzeń na wiochę, przy której jest droga i z której potem łatwiej porwać pyską blondynę.

- Spiskowa teoria dziejów, widzę. Powiedz, czemu jesteś taki pewien, że kucharz zginął nad rzeką? Może go zamordowali kilometr za wioską!

- I potem nieśli? Już to widzę. Ja do nikogo nic nie mam, ale przemęczać to oni się tutaj nie lubią. Upraszczają, co mogą i jak mogą. Łazić skubańcy potrafią kilometrami. Zgoda. Ale bez balastu, jedynie z kijaszkiem czy z tym ich stołeczkiem. Wytrzymali są wtedy jak ruskie czołgi. To kobiety dźwigają drewno na opał, a ciężkie jest jak diabli. Dlatego wydaje mi się, że Nyete zginął tam, gdzie go znaleziono. Nad Sugutą. Żadnemu chłopu by się nie chciało

nosić ciężaru, zapewniam cię. Wiem coś o leniwych facetach. I nie zapominajmy, że Emilio i Nyete żuli miraa.

- Czemu nie zapominajmy?

- Miraa to...

- Wiem, Sandra tłumaczyła. Narkotyki.

- A mówiła dokładnie, jak działa?

- Nie - Lutka zaprzeczyła.

- Miraa powoduje ożywienie. Nie chce się po tym dziadostwie spać, dostaje się napływu energii, ale traci się precyzję, trzeźwość umysłu. Można maszerować, i to długo, ale masz problem nawet z utrzymaniem dzidy.

- Ja nie mam żadnego problemu.

- Ale oni by mieli. Emilio poczęstował Nyete zielkiem, żeby łatwiej pokonał trasę. Z wioski do obozu jest sporo kilometrów. Nocą. Nie wiemy, czy Emilio też żuł czy tylko udawał. Może udawał. Naćpany kucharz jest łatwy w obsłudze. Bezwolny, wytrzymały i pójdzie, dokąd chcesz. Tylko trzeba uważać.

- Na co?

- Żeby nie przesadzić z dawką. Na każdego miraa działa inaczej, każdy ma przecież inny układ nerwowy. Jak się tego za dużo zeżre, efekt jest przeciwny. Żadna energia, siła, tylko szal. Totalne rozwalenie, omamienie i odjazd.

- Dalej nie rozumiem jednej rzeczy - powiedziała pośpiesznie, żeby nie dać sobie wejść w słowo. - Przecież Suguta jest blisko obozu. Po co mordować kogoś blisko miejsca, gdzie się chce pracować i mieszkać? Myślę o Musie.

- Zauważ, że w dolinie rzeki kręci się wielu włóczęgów. Nawet z muzeum ostrzegali profesora, żeby uważał. Więc teoretycznie kucharza mógł zabić ktoś przypadkowy. W wiosce liczba potencjalnych podejrzanych byłaby ograniczona.

- Może. - Lutka się skrzywiła. - Wróćmy do Emilia. Powiedz. Uważasz, że współpracował z Musą, na tej podstawie, że jeden i drugi mają telefon?

- A czemu by nie?

- Telekomunikacyjna rewelacja po prostu. Zaczynasz mną

wstrząsać.

- Najwyższa pora, moja droga. Ale ci rzeknę, że upraszcasz. Biorę pod uwagę całokształt i dobrze o tym wiesz. Obu koleśi łączy coś z Nyete. Musa miał jego naszyjnik i posadę, Emilio zaprosił kucharza do swojej chaty. A co do telefonu... Nie jesteśmy na Mazurach, gdzie byle rolnik od buraków cukrowych wywija komórką. Jesteśmy w północnej Kenii, dziewczynko.

Nomadzi nie fundują sobie telefonów, z technologicznych gadżetów wolą kałasznikowy. Czy muszę ci tłumaczyć tak oczywiste rzeczy? Telefon to jest coś.

- Pojęłam, nie żołądkuj się. Szkoda, że nie opisałam Musy Sandrze i nie spytałam, czy nie widziała go w wiosce. A może namówilibyśmy Jengę, żeby dał nam jego zdjęcie? Przecież dostał z misji fotografię.

- Komendant to taki uczynny facet, że od razu ci da fotkę. I wetknie ją w ramkę, żebyś miała suvenir.

- Ale jesteśmy idioci! - Lutka zerwała się z miejsca.

- Co?

- Powołajmy się na Jengę! Przecież to szef policji w stolicy kraju! Wyciągnie nas stąd.

- Poczekaj. Siadaj.

- Dlaczego?!

- Siadaj i myśl, egzaltowana dziewczucho.

- Wiesz co? - Lutka podparła się rękami. - Mam cię dosyć!

Czy...

- Właśnie, czy... Nie będziemy robić nic, dopóki nie przeanalizujemy, co z tego dla nas wyniknie. Będziemy oryginalni. Dobrze? Najpierw pomyślimy, potem zadziałamy.

Lutka znieruchomiała na chwilę, po czym klapnęła z powrotem na łóżko. Cały jej entuzjazm opadł jak kurz z więziennych krat, po których przejechała palcem.

- Nie znoszę cię - rzuciła naburmuszona.

- Uwielbiasz... Jest tak. Założmy, że nasz policjant faktycznie dzwoni do Jengi, w co szczerze wątpię. Już prędzej bym obstawiał, że będzie udawał, że dzwoni, bo złośliwy z niego typ. Ale założmy, że dzwoni. Już jest późno i wcale nie

musiałby go zastać w pracy. To pierwsza możliwość. Druga jest taka, że Jengę zastaje i zawiadamia, że zamknął dwoje jego znajomych za obnażanie. Obnażałaś się?

- Obnażaliśmy się - Lutka poprawiła ponuro.

- Właśnie. Więc co? Za kim stoi prawo? Jasna sprawa. A jak myślisz? Czy Jenga rzuci do słuchawki: „Proszę natychmiast zwolnić z aresztu moich wspaniałych przyjaciół! Są bliscy memu sercu!”?

- Hm...

- Mało prawdopodobne, co?

- Ale moglibyśmy poprosić Jengę, żeby zawiadomił profesora.

- I co zrobi profesor, kiedy dowie się, gdzie wypoczywamy po parnym dniu? Przecież po nas nie przyleci. Tylko się zdenerwuje.

- Zadzwoń do hotelu i zawiadomi o wszystkim Festusa, który przyjdzie i nas stąd wyciągnie.

- Jak? Musiałby mieć pieniądze. Poza tym na pieniądze to już czas był. Teraz figurujemy w papierach, moja panno. Festus musiałby mieć dużo pieniędzy. Na pewno więcej niż na zwykłą łapówkę. A nie ma. Ty już prawie wszystko przepuściłaś, a mojej kasy jest za mało.

- To co w takim razie? Będziemy tak siedzieć?

- Na razie myślimy.

- Wolę działać.

- Działanie musi mieć sens. Powołamy się na szefunia policji i nic tym nie uzyskamy. A nawet stracimy. Jenga będzie jeszcze bardziej nieprzyjemny dla profesora. Proponuję wplątać go tylko w ostateczności. Zobaczymy, co będzie rano.

- Powiedzmy, że mnie przekonałeś.

- Bardzo się cieszę, że nie okazałaś się oślicą.

- Czemu ty mnie zawsze obrażasz?!

- Obrażasz? Właśnie powiedziałem ci komplement.

- Ale w jaki sposób!

- Kochanie - Czarek spojrział jej głęboko w oczy - może omówmy w takim razie inną kwestię, skoro nie potrafimy się dogadać w tej. Mnie by interesowało, czy skruszałaś na tyle,

żeby padło tu imię Julii? Oddałaś pierścionek swojemu gogusiowi, więc...

- Co: więc?

- Nie wiem co więc. Otwierają się przed tobą rozmaite możliwości.

Lutka pociągnęła nosem, nieco już mniej wzburzona. Temat żywo ją interesował.

Warto by się zastanowić nad przyszłością. Wracać do Polski? Lęku przed lataniem już nie czuła, ale nie oznaczało to, że pragnie gnać na lotnisko, przywiązać się do lewego skrzydła boeinga i w drodze do Warszawy cieszyć się pędem powietrza. Gdyby tak opóźnić podniebne wojaże... Pobyć jeszcze nad Logipi w towarzystwie pewnego bruneta, porozmawiać z Sandrą i wyjaśnić zagadkę śmierci Nyete?

- Owszem, otwierają się. Rozmaite.

- Więc może nie ograniczaj tych możliwości, co? Wróc do obozu. Przecież tego chcesz. Z Julią to było tak...

- Poczekaj, zaraz mi opowiesz. - Lutka sięgnęła po klatkę, z której od jakiegoś czasu dolatywały odgłosy zacieklej szamotaniny. - Już, maleńka - rzuciła pieszczotliwie i zwróciła się ponownie do Czarka: - Wypuszczę na chwilę Frygę, bo bardzo się męczy.

- O nie! Znowu? Chyba zacznę mówić do ciebie Pandora.

Rano zostali zwolnieni.

I to bez jednego słowa.

Po prostu punkt ósma rano policjant podszedł do drzwi, otworzył je szeroko i siadł z powrotem za swoim biurkiem. Radość bynajmniej z niego nie tryskała, Lutka powiedziałaaby nawet, że minę miał dość ponurą. Ale wolność pachniała po nocy spędzonej na twardym łóżku obłądnie. Postanowili nie czekać, aż czarnoskóry zmieni zdanie. Szybko zebrali swoje rzeczy i już ich nie było. W hotelowej recepcji odebrali wiadomość od Festusa, który napisał, że czeka na Czarka na lotnisku, a rzeczy Lutki oddał do depozytu. Mombasę

pożegnali, siedząc w taksówce. Kiedy przejeżdżali przez Moi Avenue, spojrzeli na siebie znacząco. Słoniowe kły pobłyskiwały w porannym słońcu, samochody trąbiły, a klatka Frygi trzeszczała znajomo. Wszystko toczyło się ustalonym trybem. Trzymanie się za ręce na tylnym siedzeniu auta również wydawało się czymś oczywistym.

Festus uśmiechnął się na ich widok serdecznie i odłożył wielką szczotkę, którą szorował szybę samolotu. Noc spędził najwyraźniej w kabinie - na siedzeniu Lutka zauważyła kilka ubrań zwiniętych w poduszkę.

- Jesteście! - wydał z siebie umiarkowanie radosny okrzyk, ale nie zapytał bynajmniej o powód ich nieobecności. To różniło Afrykanów od Europejczyków. Nie mieli potrzeby kontrolowania wszystkiego wokół. Potrafili się pogodzić z rzeczywistością. Z jednym wyjątkiem. Ci spokojni na ogół ludzie zamieniali się w dzikie bestie, jeśli rzeczywistość dobierała się do ich kóz, krów czy wielbłądów. - I ty jesteś, Lutka! Cieszę się.

- Lutka odwiedziła już rodzinę - oznajmił Czarek i też się uśmiechnął. Z ledwie dostrzegalną satysfakcją. - Wracamy? Jeszcze tylko zadzwonię do profesora. Pewnie się martwi, że tak długo nas nie ma.

- Dzwoniłem wczoraj wieczorem - zawiadomił opanowanym głosem Festus, ale zaraz zmarszczył czoło. - W obozie coś się wydarzyło. Nie wiem co, bo profesor nie chciał rozmawiać. Był bardzo zdenerwowany. Mówił, żebyśmy jak najszybciej przylecieli. Dobrze, że się znaleźliście.

- To dzwonię, zamienię z nim słowo.

Po telefonie do obozu Lutką targnęły złe przeczucia. Cezary również niczego się nie dowiedział. W normalnej sytuacji profesor nie miałby oporów, żeby wyjaśnić przyczynę swojego niewesołego nastroju. Chyba rzeczywiście stało się coś poważnego. Gramolili się więc do samolotu lekko zaniepokojeni. Podczas lotu Czarek opowiadał Festusowi o wczorajszym występie Frygi, a Lutka zapatrzyła się w bezkresną trawiastą przestrzeń, po której z godnością spacerowały żyrafy. Powinna koncentrować się na oglądanych krajobrazach, cieszyć się pla-

mami słońca na horyzoncie, tymczasem po raz kolejny przyszedł jej na myśl szaman i słowa przepowiedni. Pewnie dlatego że wracała do obozu, gdzie wszystko mogło się jeszcze zdarzyć. Jak to było? Kości, duchy, ogień. Śmierć w wodzie, śmierć w piasku. Człowiek o kamiennym sercu. Złe zamiary. Zasadzka. Wielka strata. Brrr... Chyba o niczym nie zapomniała. Same przyjemności po prostu. Samiuśkie!

A jeśli znowu kogoś zamordowano albo w obozie wybuchł pożar? I co z tym człowiekiem o kamiennym sercu? Czy chodziło o Musę? A zasadzka - czy zasadzka oznaczała tamto nieudane porwanie, czy czekają ich kolejne niespodzianki?

Wreszcie wylądowali. Festus wprowadził maszynę na pas brunatnopomarańczowej ziemi. Byli na miejscu. I od razu po otwarciu drzwi samolotu natknęli się na profesora, który wpaływał się w nich z rozpaczliwą nadzieją.

- Macie kość? - zapytał bez żadnych wstępów. Napięcie w jego głosie od razu im się udzieliło.

- Jaką kość? - Cezary zamarł na stopniach.

Lutka już wiedziała.

Wielka strata z widzenia szamana mogła dotyczyć tylko jednego.

Czy zatem cholerna przepowiednia to w takim razie PRAWDA?

- Kość gnykowa. Nic! Nigdzie! Przepadła. - Profesor rozłożył ręce. - Naprawdę jej nie wzięliście? Może któreś z was ją gdzieś schowało?

- Leżała na talerzu. Pod serwetką - odpowiedziała zgodnie z prawdą Lutka. - Widziałam ją ostatni raz przedwczoraj, jak przyleciał Jenga i dyrektor muzeum, nie pamiętam nazwiska.

- Anton... Dobrze, chodźcie, napijcie się czegoś. - Profesor schował twarz pod rondem wytartego kapelusza. - Musimy się naradzić. Miło, że przywiozłeś z powrotem żonę - zagadał do Czarka i uniósł kąciki ust w bladym uśmiechu. Podkrążone oczy zdradzały, że dzisiejszej nocy za wiele nie spał. - Wszyscy tak myśleli - mówił, prowadząc ich do obozu. - Że ktoś inny ją schował. Dlatego nikt nie podnosił alarmu. A jeszcze przecież Turkanki pokazały nam wawóz. Tyle było

zamieszania... Dopiero wieczorem chciałem ją jeszcze raz zmierzyć. I... i wtedy okazało się, że jej nie ma. Nie ma jej! Jak mogłem być takim idiotą?!

- Nie wyparowała, musi się znaleźć. - Cezary starał się zachować zdrowy rozsądek, choć wiadomość i na nim wywarła piorunujące wrażenie. To była kość odkryta częściowo dzięki niemu - gdyby nie pożyczył od Lutki plecaka, śliczny haczykowaty okaz w nieskończoność walałby się po klatce Frygi w charakterze zapaskudzonego badziewia. Kto wie, może Lutka wyrzuciłaby w końcu poźółkły kawałek nie wiadomo czego razem z trocinami? - Szukaliście jej?

- Wszędzie! Całą noc!

- Trzeba działać metodycznie.

- Oby coś z tych twoich metod wynikło. - Munson już chyba nie wierzył w odnalezienie zguby. Ostatnia nadzieja właśnie okazała się złudna, co całkowicie go przybiło.

Pozostali członkowie ekipy również wyglądali niczym snujące się po kurhanach cienie. Przywitali ich z ożywieniem, ale kiedy usłyszeli te same wieści co profesor, pospuszczali głowy i wrócili do swoich zajęć.

We wszystkich kątach obozu zapanowała teraz przygnębiająca cisza - tylko z jadalni dolatywały pokrzykiwania nowego kucharza, którym ostatecznie został jeden z pomocników.

- Po obiedzie zbiórka - zarządził Cezary i skinął na Lutkę.

- My się w tym czasie rozpakujemy.

O nie, nie.

Kość gnykowa znajdzie się, choćby osobiście miał przekopać teren obozu widelcem, i to dwa metry w głąb ziemi!

- Przebierz się może z tych turkańskich chusteczek w coś praktycznego i stawaj do walki, mała.

- Do jakiej walki?

- Trzeba zawalczyć o kość. Do obiadu musimy ułożyć plan działania. Trochę nas tu jest. Jak każdy zacznie zgłaszać propozycje, zrobi się zamieszanie. Dziękuję. Nie mamy czasu, żeby ze wszystkimi gawędzić. Poza tym oni już pewnie dyskutowali i nic im z tego nie wyszło. Podyskutujemy we dwójkę, a po obiedzie powiemy, co wymyśliśmy.

- Wiesz, co to jest osobnik dominujący? - zapytała przekornie Lutka, którą przywódcze zapędy Czarka niekiedy złościły.

Cezary rzucił torby pod drzwi i wyłuskał z kieszeni pomięte pudełko lucky strike'ów. Szelmowsko przyglądając się Lutce, wyjął sprawnie papierosa zębami. Zapalił go, po czym łączywie się zaciągnął. Po twarzy rozlała mu się błogość.

- Hm, niech pomyślę. Czy to ten koleś, który za darmo dostaje najfajniejszą samicę w stadzie?

Plan Cezarego miał jedną zasadniczą zaletę, która przypadła do gustu całej obozowej gawiedzi. Ten plan zakładał, że kość się znajdzie.

To oczywiście, jak oczywisty wydaje się fakt, że słońce w Afryce wstaje bardzo, bardzo wcześnie, a muchy są namolne i nieprawdopodobnie upierdliwe. Kość po prostu z niewiadomych przyczyn zmienia miejsce. Ale gdzieś JEST! Trzeba było przywrzeć do tej myśli i wypędzić z głowy wszelkie inne pełne zwątpienia podszepty. W tym celu rzucono się do pracy. Cezary podzielił obóz na równe kwadraty i wyznaczył każdemu po kilkanaście takich pól. Dbał przy tym, żeby żadnemu poszukiwaczowi nie dostał się domek, w którym mieszkał - najciemniej przecież pod latarnią. Należało przejrzeć obozowisko centymetr po centymetrze. Przeszukać każde krzesło, rozgrzebać każde łóżko, wsadzić nos do cudzych szaf i skrytek z brudną bielizną. W szale penetracji, jaki wszystkich ogarnął, odnalazło się wiele zaginionych przedmiotów (długopis, uszczelka do szybkowara, komplet wiertel dentystycznych niezbędnych do oczyszczania skamielin), ale kość gnykowa ani myślała wpaść w ręce któregoś z uważnych eksploratorów. Pod wieczór zakończono więc poszukiwania, choć nikt jeszcze nie tracił ducha. Strata połączyła ich jakąś dziwną więzią, która dawała nadzieję, że razem poradzą sobie choćby z burzą piaskową. Jutro czekała ich dalsza część pracy, gdyż obszar był zbyt duży, żeby uporać się z nim za jednym zamachem. Po kolacji jakoś

nikt nie szedł do siebie.

- Czy ktoś zawiadomił muzeum? - zadał niewygodne pytanie Czarek.

Muzeum Narodowe w Nairobi było współorganizatorem ekspedycji i z tej przyczyny natrętny znak zapytania zawisł w powietrzu i nie chciał się rozpląnąć. Zakomunikowanie Antonowi, że najważniejszy okaz odkryty w trakcie organizowanej przez niego wyprawy został właśnie zwyczajnie zgubiony... To przerastało siły profesora. Kiedy myślał o tej chwili, żołądek skręcał mu się w twardy supeł.

- Nie, jeszcze nie - odparł cicho.

- Najpierw zakończmy poszukiwania. - zaproponował Czarek, a Munson poczuł ulgę. Po co przedwcześnie ogłaszać swój upadek? Poczekają jeszcze. Może kość rzeczywiście się znajdzie? Otarł spocone czoło i zerwał się gotowy do dalszego działania, choćby zaraz.

- Musi pan odpocząć. - Festus nie zamierzał pozwolić, żeby jego przełożony podupadł na zdrowiu. Stał przy profesorze groźnie wyprostowany, nie mówiąc już ani słowa. Siła płynąca przez te miedziane zwoje mięśni drgała na skórze w napięciu. Julia wpatrywała się w profesora z pełnym czułości współczuciem i chociaż bardzo chciała go teraz pocieszyć, zrezygnowała. W kręgu przed jadalnią siedzieli ludzie, którzy gotowi byli pomóc.

Munson opadł na krzesło.

- A może to Anton zabrał kość? - Lutka powiedziała na głos to, nad czym się zastanawiała. - Widzieliśmy ją ostatnio, kiedy był tu razem z Jengą.

- Co?

- Może zabrał kość, żeby się nią nacieszyć?

Scenariusz przemówił do profesora. Takie pragnienie władnięcia skamieniałością znał i często go doświadczał. Jak fetyszysta obracał w dłoniach kawałki znalezionych okazów nieskończenie wiele razy. Od nowa i od nowa. Mierzył je, wpatrywał się w każdy rowek pod mikroskopem, w każdą chropowatość. Nie potrafił się z niektórymi ślicznościami rozstać.

- I nic by nie powiedział? - Profesor nie znał za dobrze Antona. Szanował go jako znawcę tematu i człowieka zaangażowanego w swoją pracę, ale nie potrafił wypowiedzieć się na temat jego prawdopodobnych zachowań.

- Może mu się zdawało, że powiedział? Nie żałował sobie piwa, o ile dobrze widziałam. Chociaż nie wiem, czy dobrze widziałam - zakończyła niewyraźnie, bo natknęła się wzrokiem na Julię, co przypomniało jej scenę erotycznych tarzań, kiedy Czarek trzymał to rude czupiradło przy swoich biodrach w odległości niepozwalającej na wyciągnięcie... rzęsy.

Nadzieja zabłyszczała na wpatrzonych w Lutkę obliczach. Naraz wszyscy zaczęli się przekrzykiwać, jedni przez drugich cytować, jak to Cezary opowiadał o słoniowej kupie, jak Anton wpatrywał się w Lutkę i odstawiał pod stołem kolejne butelki tuskeru.

- Momento! - Czarek postanowił zapanować nad zamieszaniem. - Proponuję szukać dalej, ale jednocześnie sprawdzać też inne możliwości.

- Jak sprawdzić Antona? - nieśmiało zapytał profesor, który czuł się trochę nieswojo, że knuje coś za plecami swojego współpracownika.

- Trzeba z nim pogawędzić, ale na pewno nie przez telefon.

- Chcesz lecieć do Nairobi?

- A czemu nie? W stolicy widziałem tylko lotnisko, i to nocą. Z przyjemnością zwiedzę jedno z najsławniejszych muzeów świata. Chyba że profesor...

- Nie, nie - Munson pośpiesznie zaprzeczył. - Ty polecisz. Jutro rano. Z żoną. Też mi się wydawało, że Anton coś za często zerka na naszą blondynkę. - Mrugnął do Lutki. - Tylko nie pytajcie o nic wprost.

- He, he. - Cezary zrobił minę najsprytniejszego ze szpiegów. - Bez obaw. Tak poprowadzę rozmowę, że jeśli zabrał kość, wygada się sam. Ale ja mu nie powiem, że skarb nam wyparował.

- I o to chodzi.

- Tylko trzeba by ustalić przyczynę wycieczki. Przecież ot, tak sobie, nie wskoczyliśmy w samolot i nie odwiedziliśmy

Nairobi. Coś musimy pokoloryzować.

- O, nie ma problemu. - Profesor nabrał już energii i machnął lekceważąco ręką. - Nawet nie potrzebujesz koloryzować. Wąwóz - rzekł znacząco jedno słowo.

- Jeszcze mu nie powiedzieliście?! - Komunikacja pomiędzy obozem naukowym a koordynującą zadania muzealną wieżą najwyraźniej nie przebiegała wzorowo.

- Nie było kiedy.

Cezary przypomniał sobie wczorajszy poranek. Jego porzucane przed drzwiami ubrania, rozjuszoną w zazdrości kocicę Lutkę i odwiedziny ciemnoskórych kobiet, które w zamian za „dary” cywilizacji odwdzińczyły się naukowcom nie byle jakim prezentem. Wąwozem wypełnionym prastarymi kośćmi.

- O wszystkim przez ten wąwóz zapomniałem - usprawiedliwił się profesor. - Zająłem się pracą, do obozu ściągnęliśmy dopiero wieczorem.

- I jak wyniki? - Cezary nie mógł sobie darować zaspokojenia zawodowej ciekawości. - Coś znaleźliście?

Profesorowi zaśmiały się oczy. Mógł się nieco odprężyć. Sytuacja nie przedstawiała się już tak dramatycznie. Jest Cezary, są inni. I może Anton faktycznie zabrał kość?

Tak, to bardzo prawdopodobne.

- Mnóstwo! - wykrzyczał i zapewne rozpocząłby w tym miejscu długą i szczegółową opowieść naszpikowaną terminami anatomicznymi, jednak Lutka znowu głośno oznajmiła:

- A mnie ciekawi ta zażyłość Antona z Jengą. Ktoś wie, skąd oni się znają? Pan Anton prowadzi muzeum, a znał szczegóły policyjnego śledztwa. Trochę dziwne.

- Też mnie to zastanowiło - przyznał Czarek.

- Sprawiali wrażenie dobrych znajomych, to prawda - zadumał się profesor. - Ale ja nic o tym nie wiem. Pracują w tym samym mieście, obaj są ważnymi figurami. Tu bym się dopatrywał przyczyn tego kumoterstwa.

- Mnie to ten Jenga... wyprowadza z nerw - przyznał się Czarek, używając typowego dla siebie, oryginalnego języka. - Wcale bym się nie dziwił, gdyby to on zabrał naszą kość.

- Nawet w ten sposób nie żartuj.
- Nie żartuję. Nie podoba mi się ta persona, po prostu mi się nie podoba. Nikt tu chyba za nim nie przepada i nie chce go jeść łyżkami.

Profesor się zdenerwował.

- To komu mamy wierzyć? To jest policjant. Nikt nie każe ci się z nim przyjaźnić. On nas ochrania i szuka mordercy.

- Pewnie... Szuka... - Czarek zaburczał pod nosem.

- W takim tempie szuka, że doczeka się w tym szukaniu emerytury.

- Po co komisarz miałby zabierać kość? - Profesor jednak wrócił do wcześniejszej kwestii, bo nie dawała mu spokoju. - Ktoś mi wyjaśni?

- Choćby przez zwykłą złośliwość. On nami pogardza!

Za każdym razem, kiedy z kimś rozmawia, robią mu się przy szyi takie gule. Pęcznieją. Walczy biedak, żeby go nie zadusiło. A poza tym nie wiem, czy w ogóle wierzyć w ten ich kenijski wymiar prawa. - Czarek poszedł po bandzie. - W areszcie zobaczyliśmy z Lutką, jak to wygląda w praktyce.

- Ja bym wolał nie popadać w paranoję. - Munson trzymał się swojej wersji. - Słyszałem o korupcji, jak chyba wszyscy, ale to nie oznacza, że w każdym tutejszym urzędniku mam widzieć nieuczciwego człowieka. Jenga to trudny przypadek, nie przeczę. Ale musimy komuś zaufać. Komendant jest w hierarchii władzy postawiony wysoko i to mnie jakoś pociesza.

- No, nie wiem. - Czarek pozostał nieprzekonany.

- Skoro już jesteśmy przy Jendze... Co z Sandrą?

- Lutka prosiła, żeby na razie nie zawiadamiać policji.

- Czy to jest rozsądne? - Cezary wymierzył pytaniem tym razem w Lutkę, która nie pozwoliła zbić się z tropu.

- A dlaczego nie jest?

- Emilio ma coś wspólnego z Musa, to pewne. Jest ostatnią osobą, która widziała kucharza żywego. I teraz sam znika.

- Co ci po znikniętym świadku?

- Mnie nic. I nie wiem, czy po świadku, już prędzej chyba po podejrzanym, tak go wolę nazwać. Ale ta postać na pewno

zmieni bieg śledztwa i chociaż Jenga ma zawsze skwaśniały, niewyględny ryj, to ta informacja może mu się przydać. Powinien się dowiedzieć moim zdaniem.

- Też tak uważam - dołączył profesor. - I jeszcze jedno. Sandra mówiła, że ludzie z wioski szukali Emilia, ale Jenga dysponuje helikopterem. Mógłby...

- Ale ta dziewczyna mi zaufała! Obiecałam dochować tajemnicy.

- I tak jakby wie już o niej kilkanaście osób - nadmienił Czarek i potoczył wzrokiem po przysłuchujących się im obozowiczach.

- Tu są sami swoi.

- Obietnic się nie nagina, kochanie. Już nie dotrzymałaś słowa.

- W wiosce nikt nie może się dowiedzieć, że Emilio miał coś wspólnego z morderstwem. - Opór Lutki zaczynał słabnąć. W gruncie rzeczy zgadzała się z Czarkiem. Informacja dotycząca zaginionego męża Sandry z pewnością była istotna.

- Poprosimy superglinę, żeby nie puścił w wiosce pary z gęby. Może się zgodzi.

- Ja go poproszę - wtrącił się niespodziewanie Festus, co Lutkę ostatecznie przekonało. Jeśli ten brązowy olbrzym cokolwiek obieca, historia na pewno zakończy się zdaniem: „Żyli długo i szczęśliwie”.

- W porządku. Niech będzie.

- I postaram się też porozmawiać z dziewczyną - dodał pilot. - Może zrozumie, że powinna współpracować z policją.

- Doskonale. - Profesor także się ucieszył. - To mamy pełne ręce roboty!

Poniedziałek nad jeziorem Turkana zawitał przygnany wyjątkowo silnym wiatrem, który i na co dzień niezłe sobie dmuchał, ale tego ranka dmuchanie mu się znudziło.

Postanowił wściekle dąć.

Dęcie przyczyniło się do odkrycia czegoś, co przejęło strachem całe Loiyangalani.

Jeden z nomadów, Emekwi, kontemplował akurat poczynania pustynnego żuczka, ale oderwał się od pasjonującego zajęcia i stwierdził, że jedna z jego ulubionych kóz gdzieś przepadła. Zniknięcie kozy samo w sobie jest wydarzeniem zostawiającym w duszy pasterza traumatyczne ślady, a już rozpląnięcie się stworzenia, które rozumiało suahili...

Tragedia!

Ta koza była mądrzejsza od jego dwóch żon. Dzieliła z nim poglądy na duchy ziemi, patrzyła z oddaniem w oczy i zgadzała się pójść wszędzie, gdzie jej kazał, bez żadnego protestującego beczenia. Aha. I nie miała zrędlivej matki, która rzucała niby w powietrze uwagi o słabych lędźwiach. Słabe lędźwie, myślałby kto. Spłodził trzech synów! I każdy z nich był wspaiałym wojownikiem, a dla najstarszego myśleli już nawet o żonie i powoli przymierzali się do gromadzenia zapłaty. Pewna rodzina z przeciwległego brzegu żądała za swoją córkę stu krów, stu wielbłądów i trzystu kóz. Gdyby tak negocjować raty...

Wietrzyisko strzelało rozgrzanyimi pociskami z ziaren piachu tak silnie, że każdy powiew zostawiał na ciele tysiące drobnych dziurek. Osłaniając twarz chustą, mężczyzna usiłował się rozejrzeć. Nic z tego. Żółte kłęby pyłu uniemożliwiały dokładny rekonesans. Jeszcze raz zanurkował pomiędzy ciała zwierząt w poszukiwaniu zguby, bo może tymczasem koza dołączyła do reszty, ale nie.

Nie było jej.

Nie mogła przecież odejść daleko! Od ostatniego razu, kiedy sprawdzał, czy wszystko jest na swoim miejscu, nie upłynęło zbyt wiele czasu. Żuczek zdążył pokonać ułożoną przez niego przeszkodę z kamieni, wydobył się z trzech usypanych kupek piachu i przegrał walkę na trawy. Potem natknął się na drugiego żuczka i zajął się prokreacją.

Emekwi skierował stado w kierunku wzgórz. Tam jego popieczne lubiły chodzić na obiad. Zacienione połacie traw i pustynnej krzaczastej roślinności pod ścianami skał smakowały

im najbardziej, ale nie mógł za długo popasać, bo teren szybko jałowiał. Zostawił stado pod występem skalnym, a sam obiegł teren dookoła, nie przestając nawoływać.

Jest!

Skubała coś wystającego z ziemi po drugiej stronie wzgórza.

Na widok swojego pana uniosła pysk i przejmująco zabezczała.

A to go wystraszyła, staruszka. Zawsze taka ułożona, wierna. Co jej się stało? Może instynktownie czuła, że skały osłonią ją przed podmuchami? Mężczyzna przyspieszył kroku - stado przecież czekało. W połowie drogi przywołał ulubienicę, ale ta nie reagowała. Popatrzyła raz jeszcze i wróciła do skubania.

Co to?

Nie przestawał się wpatrywać w zmierzwiony kawałek czegoś, co wystawało w niedalekiej odległości od nienaturalnie okrągłej górkę.

Podszedł bliżej.

Kawałek materiału?

Pociągnął.

Lechtany porywami wiatru pył rozstąpił się pod szarpnięciem i wydobył na powierzchnię... ludzką głowę, która niczym ciężka kula wykonała kilka niespiesznych obrotów i zatrzymała się pod stopami śmiertelnie przerażonego pasterza.

Marabuty mają białą, maziastą kupę, która spada na szybę samochodu z takim samym chlupotem, jak gdyby ktoś wylał na nią spore wiaderko źle wyrobionego wapna. Ścieka to leniwie, cuchnie kwaskowato. I jest tego ze dwa kilo... Na ptaki można popatrzeć, kierując się od strony lotniska do centrum Nairobi przez Uhuru Highway. Z lewej strony ulicy wznosi się stadion narodowy Nyayo Stadium, gdzie odbywają się uroczystości z udziałem prezydenta, a po prawej budynek supermarketu Nakumatt i elegancki salon Toyoty. Marabucia strefa rażenia obejmuje rondo i pas zieleni wzdłuż jezdni. Jeśli ktoś nie w porę znajdzie się autem pod kuprem

przelatującego ociężałe ptaszyska - powinien mieć na tę okoliczność skrobaczkę do szyb, bo wycieraczki zazwyczaj nie wykazują się zbytnim animuszem przy odgarnianiu takiej fury ekskrementów.

Czarek, który nie wiedział, jaka niespodzianka może go czekać w feralnym miejscu, zatrzymał wóz pod drzewem i kazał Lutce uwiecznić marabuta zajmującego gałąź tuż ponad ich głowami. Festus nie zdążył zareagować, bo właśnie zaglądał do planu miasta. Jak gdyby na sygnał pstryczka aparatu ptak wystrzelił ze swojej armaty.

- O jak mnie ten uskrzydłony gnojek wkur... zdenerwował!

- powtarzał jeszcze wieczorem Czarek, chociaż wyszedł właśnie z basenu wypełnionego błękitną wodą. Czupryna została już pozbawiona białych śladów szamponem Palmolive i błyszczała podobnie jak przednia szyba wypożyczonego samochodu, której nie zdarzyło się tak lśnić nigdy przedtem (gruntowne pucowanie na myjni automatycznej).

- Przestałbyś się wreszcie podniecać. Po prostu osrał cię ptak. Pomyśl, że to był wróbel, może ci ulży. - Lutka stwierdziła, że ma dosyć. Jeśli jeszcze raz usłyszy coś na temat stawiania tablic ostrzegawczych z wymalowanym marabutem opróżniającym się w locie, wejdzie na pobliską palmę i zrobi powtórkę z rozrywki. Faceci. Niby tacy twardzi, odważni macho, a wystarczy kupa, żeby zaczęli tracić pewność siebie.

Festus taktownie, czy raczej solidarnie, milczał, chociaż Lutka widziała, że tłumil śmiech. Dobrze, że on nie dostał histerii, mimo że siedział tuż przy Czarku i jemu również oberwało się rozdyżdanym guanem. Niedużo, ale zawsze. Pomyśl, żeby skorzystać z hotelowego prysznica i parku wodnego, należał do niego. Znał tam kogoś z obsługi, wystarczyła krótka rozmowa i zaprezentowanie utyłanego Czarka, żeby zostali przepuszczeni przez recepcję bez zbędnych formalności.

- Ja się podniecam? - Zerknął na swoje slipki. - Po czym wnosisz?

- Ja to proponuję się WYNOŚIĆ. - Wskazała na zegar.

- O jasna!
- Właśnie. Dużo czasu zajęła nam ta kąpiel. Pół dnia.
- A marabut to mały był?!

Powinni byli już dawno dojechać na miejsce i rozmówić się z Antonem. Gdyby jednak nie ten „drobny” wypadek, nie trafiliby do parku wodnego, nie spędzili miło dnia na pływaniu i innych atrakcjach. W efekcie zajechali pod Muzeum Narodowe, kiedy zaczynało się ściemniać. Najwyżej przenocują. Profesora uprzedzili telefonicznie, że wrócą dopiero jutro, i dźgnęło ich przy tym poczucie winy. Głos Munsona znowu brzmiał smutno. Dzisiejsze poszukiwania kości również nie przyniosły efektu.

Czarek był niepokieszony, że zajężdżają pod bramę praktycznie nocą, kiedy nic już nie było widać. Darował sobie dokładne zbadanie ceramicznych obrazów przedstawiających Afrykanów przy ich codziennych czynnościach (sceny ozdabiają mostek przed wjazdem do parku węży), ale przy ścianie, gdzie wyrzeźbiono ewolucję człowieka, wyhamował z piskiem opon. Zaopatrzony w zapalniczkę, chwiejnym płomykiem oświetlał każdy fragment płaskorzeźby, dopóki nie poczuł się zadowolony. Dopiero wtedy zapalił papierosa i kopcać, powiózł ich wzdłuż ogrodzenia do tylnego wejścia. Anton mieszkał na końcu posesji.

Na widok Lutki cały się rozpromienił i ochoczo poprowadził gromadkę gości do elegancko wykończonego domu. Nieźle się tu urządził. Kiedy umawiali się przez telefon, podczas rozmowy padło określenie: budynek gospodarczy. Lutka użyłaby raczej innego słowa. Willa. Wypasiona willa wsparta kolumnami, ozdobiona kroksztykami i klombami. Jednak to wysmakowane cacko przeraźliwie kontrastowało z otoczeniem, bo podwórze kojarzyło się bardziej z placem budowy niż z terenem największego muzeum w Afryce: wszędzie wały się sterty desek, pod ogrodzeniem stały na baczność rusztowania, a wzdłuż chodnika usypano góry piachu.

- Dojechaliście bez kłopotów? - zapytał Anton, a w jego głosie zabrzmiała troska. - Ostatnio w stolicy jest niespokojnie.

- Jeżeli nie liczyć pewnego marabuta - Czarek zakaszłał - to w porządku.

- Marabuta? Aaaaa... - Dyrektor uśmiechnął się, jak gdyby wspomniął starego znajomego. - Marabuty w porównaniu z zamieszkami to nic takiego. Jechałem dzisiaj przez centrum, było podejrzanie pusto.

Dopiero pod wpływem słów Antona dotarło do nich, że Nairobi przywitało ich odprężone i niezbyt tłoczne. Czarek od początku zastanawiał się, czy mieszkańcy miasta nie obchodzą jakiegoś święta - ulice nie pachły od aut, chodniki również niemal świeciły pustkami, a przecież był poniedziałek, dzień roboczy.

- Zamieszki? - wychwyciła Lutka.

- Rząd walczy z gangiem, który opanował całe Nairobi. I nie tylko Nairobi.

- Mungiki? - ledwo słyszalnie podpowiedział Czarek, ale Anton przypomniał sobie nagle o obowiązkach gospodarza. Zakreślił się w miejscu i wskazał na ciężarówki załadowane betonowymi blokami, z których wystawały grubaśne pręty.

- Jak widać, mamy remont. Do przyszłego roku powinniśmy jednak skończyć. Pomoc Unii Europejskiej - wyjaśnił. - Zapraszam do siebie. Muzeum pokażę wam rano, chociaż za bardzo nie ma co pokazywać. Wszystko popakowane i zabezpieczone. To co, zostajecie na noc?

Kolacja była wyśmienita. Przyrządził ją osobiście sam dyrektor, co by tłumaczyło, w jaki sposób dorobił się opasłej oponki w okolicy brzucha. Gotowanie okazało się jego drugą, po paleoantropologii, pasją. Na stół wjechała doskonale upieczona jagnięcina polana kremowym sosem z awokado (Lutka zapisała przepis) i zupa z duszonych na maśle krewetek. Na deser spalaszowali sałatkę ze świeżego ananasa w gęstym syropie z mango. Dopiero przy ostatnim punkcie menu Anton oderwał się od rozważań na temat pieczeni z zebry (można ją spożyć w niektórych restauracjach na obrzeżu miasta, choć to danie zakazane - zebry są objęte ochroną) i zagadał na tematy zawodowe:

- Co was do mnie sprowadza? Mówcie. Oczywiście bardzo

się cieszę z wizyty - tu posłał Lutce spod wąsika uwodzicielski uśmiech - ale co się stało?

- Mamy odkrycie - wypalił Czarek.

- Znowu?!

- Znowu. Tym razem to nie jest pojedyncza kość.

- O, nie umniejszajmy - wtrącił Anton, a protekcyjność w jego tonie sprawiła, że Czarkowi zacisnęły się szczęki. - Kość gnykowa to nie jakaś tam pojedyncza kostka!

- Niczego takiego nie sugeruję. Chciałem tylko powiedzieć, że mamy cały wawóz kości. Oczywiście drugiej kości gnykowej nie znaleźliśmy...

- Cały wawóz?!

- Dokładnie. Trafiliśmy na wawóz, w którym roi się od skamieniałości.

- Gdzie?

Czarek delektował się uzyskaną właśnie przewagą. Umoczył usta w winie.

- Doskonałe, rzeczywiście. - Przyjrzał się kieliszkowi, przez który przeświecał złoty płyn. - Gdzie? Niedaleko obozu, jakieś dwa kilometry w stronę Samburu Hills.

- A wykonaliście już oznaczenia czasowe?

- Nie wiem, wyjechałem z żoną zaraz po znalezieniu tego miejsca.

- W takim razie moje gratulacje! Zdrowie profesora Munsona i jego zespołu. - Ponowny uśmiech w stronę Lutki. - Kiedy będę mógł to zobaczyć?

- Myślę, że profesor chciałby się przygotować. - Czarek starał się, żeby jego słowa zabrzmiały lekko. - Nie chcę się umawiać w jego imieniu.

- Przylecę. - Anton zaszurał krzesłem, żeby znaleźć się bliżej Lutki, na co Czarek chrząknął ostrzegawczo i swobodnym ruchem położył jej rękę na ramieniu. Znaczenia terenu dopełniło bardzo sugestywne spojrzenie. Dyrektor niepokieszony zaszurał krzesłem ponownie, tym razem w odwrocie. - Hmm... Tak... Przylecę. Może w tym tygodniu. Chętnie przyjrzę się temu wawozowi.

- Cała przyjemność po naszej stronie - lodowato zapewnił

Cezary, nie przestając ciskać gromów wzrokiem.

- Uprowadźcie profesora, że zabiorę do analizy kość gnykową. - Anton chciał zatrzeć popełnioną niezręczność i zaczął być bardziej oficjalny. - Niech ją opisze i przygotowuje już artykuł do „Science”.

Czarek z Lutką spojrzeli po sobie ponuro. Tak wspaniale zapowiadającą się ewentualność właśnie ciężki szlag trafił. Anton nie zabrał kości. Pozostaje im szukać dalej.

- Od dawna zna pan komendanta Jengę? - Czarek bez uprzedzenia zadał pytanie z innej beczki. Z beczki osmolonej i nieco cuchnącej.

Dyrektor jakby zawahał się nad odpowiedzią.

- Czemu pana to interesuje?

- Bez powodu. Interesują mnie ludzie, z którymi współpracuję. I którzy ze sobą współpracują.

- Skąd pomysł, że Jenga ze mną współpracuje? - zaprotestował dyrektor, a Czarek już swoje wiedział.

Proszę, proszę!

Komendant policji i dyrektor generalny kenijskiego Muzeum Narodowego.

Czy tych dwóch coś knuje?

A może profesor ma rację, może nie należy popadać w paranoję?

To czemu, do ciężkiej cholery, ten palant wyglądał teraz, jakby go ktoś przyłapał na gorącym uczynku?

Jagnięcina...

Gównięcina chyba!

Cezary leżał i gapił się w stiukowy sufit.

Dochodziła trzecia w nocy.

Lutka leżała obok, blisko. Słyszał jej miękki oddech, czuł rozchodzące się po pościeli ciepło. Zupełnie jakby leżał koło małego, ale sprawnie działającego piecyka. Chyba tylko to sprawiło, że nie poszedł do Antona i nie zadusił skurkowańca podczas snu w jego własnym domu. Chciał się tą cichą obec-

nością pyskatej na co dzień baby nacieszyć. Cieszenie się w żadnym razie nie przeszkadzało w wyobrażaniu sobie upojnej sceny obtłukiwania mordy tego kucharczyny z Bożej łaski. Jagnięcina. Zupa z krewetek Sranie w banie! Odstawił tę kolacyjkę z premedytacją, chociaż doskonale wiedział, że Lutka posiada MAŁŻONKA.

Muzealna łajza!

Bez honoru na dodatek.

- Yhhhhh - Lutka cicho westchnęła, a Czarek na nowo odczuł problemy w funkcjonowaniu intymnej hydrauliki, z którymi zmagał się już od północy. Problemy narastały i narastały, i bardzo szybko stały się boleśnie nabrzmiałe.

Można było je rozwiązać w jeden sposób.

Albo jeszcze w inny, jeśli zdecydowałby się ująć sprawę w swoje ręce.

Gdyby jednak zdefasonowanie komuś ryja przyniosło mu ulgę, od biedy można by uznać, że tak naprawdę istniały trzy sposoby, żeby poczuł się lepiej.

Odetchnął.

Policzył do dziesięciu, przywołując w pamięci tłusty bęben dyrektora, jego sflaczały tyłek, szczeciniaste blond wąsy, na których podczas kolacji przez moment zawisł różowy okruch krewetki. Podziałało, choć nie do końca. Nie. Nie będzie wygrzewać się w tym Lutkowym cieple, bo do rana zwariuje. Zobaczy, czy wszystko dobrze u Festusa, który spał na górze, albo może lepiej poszuka jakiegoś ranigastu czy innego specyfiku, bo jagnięcina zaczynała chyba dawać się mu we znaki. Ze stresu. Na pewno ze stresu. Lutki nie dotknie, ale gdyby zastał myszkującego w kuchni Antona... Może by tak wyperswadować manualnie staruchowi pewne oczywiste kwestie? Cicho zamknął za sobą drzwi.

Oho!

Coś skrzypnęło.

Cezary zamarł przyczajony do ściany. Dźwięk dochodził z drugiego końca korytarza, który obiegał parter. Okrążając dom, zaskoczy tłuszciocha (jeśli to on) od drugiej strony. Zacznie jakąś banalną dyskusję, zaprezentuje przeciwne zdanie, będzie

obstawać przy nim, nazwijmy to, kategorycznie...

Starając się poruszać bezszelestnie, poszedł korytarzem w kierunku przeciwnym do dźwięków.

Jest dupek!

Jak na zawołanie.

Tylko co on wyprawia?

Czemu otwiera po kolei wszystkie pokoje?

Dom zalewała prawie całkowita ciemność. Postać Antona była w tej nocnej substancji bardziej ruchem niż obrazem. Kiedy uchylały się skrzydła drzwi, pomieszczenia wpuszczały trochę nikłego światła i na krótką chwilę zarys sylwetki stawał się bardziej wyraźny.

Cezary obserwował poczynania dyrektora z rosnącą fascynacją. Zanim utnie sobie z nim pogawędkę, najpierw zrozumie, o co tu chodzi. Może to rodzaj nocnego obchodu?

Obchodu?!

Jeśli dobrze policzył drzwi od holu wejściowego, Anton pakował się właśnie do ich sypialni!

- O ty! - Cezary tylko na to czekał.

Ruszył, nie kryjąc się już ze swoją obecnością.

Wyprzedził go rozdzierający nocną ciszę krzyk Lutki.

Cezary dopadł drzwi, runął na Antona. Usiłował schwycić go za ubranie, ale materiał wyslizgnął mu się z ręki. Tamten odskoczył, taranując stolik.

Potem nastąpiło jeszcze coś, co dało przewagę przeciwnikowi. Zapaliło się światło, do pokoju wbiegł... Anton!

- Co się dzieje?! - krzyknął przerażony, patrząc na kotłowanie ciała i skuloną na łóżku Lutkę, która oplotła głowę ramionami i cała się trzęsła.

Ta chwila wystarczyła.

Czarek zamarł zdezorientowany.

Jeżeli Anton stoi w drzwiach, to kim jest...

Napastnik wykorzystał moment i rzucił się w okno, nie zważając na taką drobnostkę jak szyba. Kawalki szkła posypały się na Lutkę, zagrały na posadzce. Czarek dostał szału. Nie miał pojęcia, jak znalazł się na zewnątrz. Po chwili brodził w usypanym na podwórzu piachu, obijał się o jakieś graty. Nie

widział niczego poza poruszającymi się plecami. Potknął się o coś. Upadł. Tamtemu znowu się udało. Zyskał na czasie, zdążył doskoczyć do niskiego budynku o odsuwanych drzwiach. Czarek rzucił się za nim, słysząc w tyle głos nadbiegającego Antona:

- Stój! Od tamtej strony! - Pokazał kierunek. - Ja wejdę tutaj!

Nie mieli szczęścia. To znaczy Anton nie miał szczęścia. Kiedy Czarek szarpnął tylne drzwi hangaru, usłyszał odgłosy brutalnej przepychanki.

- Maaam go! - krzyczał rozpaczliwie dyrektor.

Czarek usiłował ruszyć mu na pomoc, ale w hangarze zgromadzono chyba rekwizyty muzeum, bo jak inaczej wyjaśnić, że stanął nagle oko w oko z lwem? Ze sztywnym lwem, gwoli ścisłości. A to zwaliste i twarde jak kamień cielsko musiało należeć do słonia. Porozstawiane wszędzie kartony również tworzyły skuteczną zaporę. Czarek nacierał na przeszkody z determinacją, choć sensowniejszy wydawał się odwrót.

- Jestem! - Chociaż w ten sposób mógł zasygnalizować swoje wsparcie. - Trzymaj go!

Znowu krzyk dyrektora, łoskot przewracanych przedmiotów.

- Dostałem! - dobiegło z przodu. - Uciek!

Czarek wycofał się. Wrócił przed główne drzwi. Anton krwawił.

Czerwone plamy w okolicy pasa rozlewały się po piżamie coraz szerszymi smugami.

- O Jezu! - jęczał i nie przestawał ścisnąć boku. Leżał skulony na zimnej posadzce. Dobrze, może to zatamuje krwotok.

- Nie wstawaj! - rozkazał Czarek. - Staraj się nie ruszać, dzwonię po lekarza.

- Jenga! Dzwon po Jengę! Zamach! Próbowali mnie zabić! Po Jengę!!!

Próbowali... Do Czarka dotarło.

Anton odstąpił im na tę noc najwygodniejsze i największe łóżko w całym domu. Swoje łóżko.

Nie mógł zasnąć.

Wysłał swojego najlepszego człowieka, Usmana, do Nairobi, żeby zajął się Antonem, i jeszcze nie dostał od niego żadnej wiadomości. To jedno. Dwa - spaprał sprawę z Emiliem.

A jeśli ktoś znajdzie głowę tego idioty?

Nie planował, że zabije go właśnie w ten sposób. Można powiedzieć, że zareagował odruchowo, chociaż myślał o zwykłym uduszeniu, i to w wybranym miejscu. Ale rósł z maczetą w rękach, władał nią jak białym nożem i widelcem. I stało się. Poniosły go nerwy, bo tłumaczył po raz dziesiąty temu tchórzowi, że musi się ukryć, że wróci do swoich po jakimś czasie, kiedy wszystko ucichnie, a oni będą już daleko stąd. A ten nie.

Bo żona. I uciekł. Złapali go parę kilometrów przed wioską, nad ranem. Gdyby mu się udało, musieliby zmieniać kryjówkę, a ta była idealna. Nie wtajemniczali Emilia, ale znał ich twarze, a co gorsza - widział także twarz Maina. Gdyby opisał ją policji, cały plan byłby na nic. Więc uciszył pastucha jednym wprawnym cięciem. I dopiero wtedy dotarło do niego, co zrobił.

„To byłoby jak podpis”.

Zawinęli zwłoki w plandekę, trzeba było je ukryć.

Przed szefem.

Gdyby się dowiedział, że Emilio zginął przez ścięcie głowy...

Chłopaki nie pisną słowem, to starzy kamraci. Razem wychowali się w dokach Mogadyszu. Razem toczyli boje z klanami dzielnic, potem wspólnie zorganizowali łódź i uciekli na ocean. Tam już nikt nie mógł ich dosięgnąć. Z czasem zdobyli więcej statków i stworzyli czarną flotę. Żyli jak królowie. To oni decydowali, który statek zawinie do portu i z jakim ładunkiem. Byli postrachem wód. Do czasu. Znaleźli się inni. Liczniejsi. Rozbili ich w ciągu kilku godzin. Statki z jękiem szły na dno, oni ledwie się uratowali. Oczywiście wielu zginęło. I tak zamienili ocean na pustynię. Tu też była niezmiernie przestraszona, był wiatr i byli ludzie, którzy musieli płacić, jeśli chcieli przejechać przez Chalbi żywi. Tutaj właśnie spotkał jego.

Szefa.

Maina.

Drogą w kierunku Moyale pędził konwój ciężarówek. Nie zamierzali przepuścić takiej okazji. Zablokowali szosę. Ale o pertraktacjach nie było mowy. Plandeki pofrunęły w górę, a z przyczep wyskoczyli rozwścieczeni Kikuju. Karabiny aż rwały się do strzału, w powietrzu rozlecił się szczęk przeładowywanych magazynków. Setka wycelowanych luf. To był pierwszy raz, kiedy spotkał Mungiki. Pięć ciężarówek zapakowanych ludźmi, którym z oczu... nie patrzyło nic. Chciał takiej władzy. I tak się stało.

Był Mungiki.

Był jednym z nich.

Stawał się coraz silniejszy, nikt mu już nie zagrażał. Nie cierpiał głodu, miał pod dostatkiem wody. Mógł spać, nie czuł, jak podczas szarpanych nocy w Somalii, kiedy siedział z karabinem pod drzwiami i czekał, czy nie przyjdą. Ci z innej ulicy. Czy nie przyjdą, żeby odebrać mu resztek kolacji. Albo czy nie przyjdą, żeby zabić go dla skórzanych butów.

Po dotarciu do kryjówki okazało się, że brakuje głowy. Zgubiła się. Było już jasno, za jasno, żeby wracać. Musieli zejść pod ziemię i siedzieć tam do wieczora. Taki otrzymali rozkaz i tak żyli od kilku dni.

Jeszcze jedno przeoczył.

Żona pastucha.

Jeżeli Emilio tak bardzo chciał do niej wrócić, źle to wróżyło. Pewnie ze sobą dużo rozmawiali. A gdyby poznać żonkę bliżej? I sprawdzić, czy Emilio nie chlapnął jęzorem?

Okazuje się, że drewniany domek pachnie najpiękniej.

Żadne tam wystawne wille czy marmurowe pałace. Proste deski, heblowane linie, czasem drzazgi w rękach. Co takiego miała w sobie ta drewniana szopa, trudno powiedzieć. Lutka poczuła się bezpieczna dopiero tutaj. Jeszcze parę godzin temu dygotała ze strachu w łóżku Antona. Gdyby nie jagnięcina, która nie pozwalała Czarkowi zasnąć...

Lepiej nie myśleć, co by się stało.

Anton trafił do szpitala, gdzie zaszyto mu ranę - całe szczęście niezbyt poważną, ale głęboką, zadaną nożem. Chyba tym narzędziem zamierzano go uśmiercić, chociaż tuż przed przyjazdem karetki Anton zmienił wersję i upierał się przy twierdzeniu, że cel tego napadu musiał być jednak rabunkowy. Spłoszyli przedwcześnie sprawcę, dlatego nie zdążył niczego ukraść. Zamach? Jaki zamach? Palnął w zdenerwowaniu głupotę. Po co ktoś miałby go zabijać? Nonsens!

Dlaczego więc tak bardzo domagał się przybycia Jengi? A kiedy zaspany komendant przybył do szpitala, dlaczego nie przesłuchał bezpośrednich świadków zdarzenia, tylko zamknął się w sali z pacjentem, nie zważając na fakt, że lekarz czeka z igłą, żeby pozszywać ociekającą krwią ofiarę? Zostali pominięci. Wybornie, wymiana zdań z Jengą nie była przecież szczytem marzeń, ale nie rezygnuje się ze spisania zeznań świadków. I to świadków zdarzenia, które, jak się zdawało, wstrząsnęło komendantem prywatnie. Wpadł do szpitala z obłędem wrytym na twarzy. Nie przewidział, że na korytarzu spotka swoich ulubieńców z obozu wariatów, dlatego przywołanie zwykłej sfermentowanej miny zajęło mu sporą chwilę. Potem przestał ich dostrzegać - ledwie odpowiedział na powitanie. Z sali wyprysnął w jeszcze większym obezwładnieniu umysłowym. Nie mówiąc do nikogo ani słowa, pchnął drzwi i prawie wybiegł na ulicę.

- Nic już nie kapuję - oświadczyła po obiedzie Lutka. Przylecieli o poranku i od razu dołączyli do ostatniego już etapu poszukiwań.

Oficjalnie zakończono je po południu. Bez spodziewanego efektu. Kość się nie znalazła. Czarek nie tracił nadziei, że znowu coś wymyślą, ale profesor chodził przygaszony i tylko z grzeczności wysłuchał tego, co zdarzyło się w Nairobi. Kiedy próbowali sugerować, że zachowanie dyrektora muzeum wydało im się podejrzanе, Munson łypnął rozeźlony okiem i zakończył dyskusję. Nie miał czasu na bzdury. Zgodnie z ustaleniami powinni zaraz wyruszać do Loiyangalani. Festus porozmawia z Sandrą, a oni przepytają

miejscowe kobiety. Może wtedy, kiedy przyniosły informację o wążowie, któraś zabrała niechcący ich skamieniałość?

- Na przykład czego nie kapujesz? - Czarek golił się przed oknem, próbując tak ustawić lusterko, żeby znalazła się w nim właściwa część twarzy.

- Kto by chciał zabijać Antona?

- Ja! - zadeklarował ochoczo brunet.

- A za co, jeśli można spytać?

- Za całokształt. Za wąsiki albo za to, że szanuje dobra narodowe, a nie szanuje dóbr prywatnych. Napalony tłuscioch.

- Ooooo. A jakie są dobra prywatne? - drażyla przekornie Lutka, mimo że wiedziała, w czym rzecz, i po cichu napawała się smakiem adoracji tak rozkosznie doprawionej zazdrością.

- Różniste i kuliste. W kształcie grzyba i cygara. - Czarek wyszedł z założenia, że na niewygodne pytania daje się głupią odpowiedź. - Golę się, więc się streszczaj, dziewczynko. Czego nie kapujesz?

- Facet obrywa nożem, brodzi we krwi, a potem mówi, że to nic. Że wypadek, że rabunek. Czy to normalne? Ty byś opłacił kamery termowizyjne, przypilnowałbyś pobrania DNA, a na uparte go zrobiłbyś odlewy buta, choćby pastą do zębów, jeśli na trawniku byłyby ślady.

- Zapomniałaś o psach policyjnych. - Posłał jej całusa. - Na pewno bym się ich domagał.

- Oczywiście mówimy o sytuacji, w której potrafiłbyś ruszać kończynami. I to wystarczyłyby ci górne. Albo jedna górna. Ręka. Ręka i telefon. Gdybyś je miał, nakłoniłbyś do pomocy ministra spraw wewnętrznych, papieża, pracownika stacji, przedszkolankę... Każdego, kto by ci był potrzebny. Podejrzewam, że musiałbyś faktycznie dogorywać, żeby się poddać.

- Nie wiem, skąd ci się w tym upiornym panteonie wzięła przedszkolanka, ale... No, zgadzam się. Anton chce coś ukryć.

- Tylko co?!

- Może zależy mu, żeby to nie wyglądało na usiłowanie morderstwa, bo taki stan rzeczy zmusza do postawienia kilku

pytań? Na przykład...

- Kim był napadalec? - Lutka zachichotała.

- Tu bym się zatrzymał. - Czarek uniósł golarkę niczym szablę. - Anton odwrócił kota do góry ogonem, i to po tym, jak go ten zamaskowany dzentelmen dziabnął nożem. Tak jak mówisz - do końca życia może go rwać w boku, a facet twierdzi, że to miało być włamanie. Ha! Że to złodziej, a nie morderca. Dlatego myślę, że on rozpoznał sprawcę.

- O, ja cię kręcę!

- Kręcisz. - Czarek wrócił do przerwanej czynności i ponownie wyciągnął przed siebie lusterko. - Nawet nie wiesz jak bardzo.

- Jak? - Lutka zapytała wyzywająco.

- Te... Bo się zatnę. Nie migdał się, tylko dochodź do wniosków. Dlaczego mógł rozpoznać sprawcę? No, dlaczego?

- Byli blisko siebie?

- Otóż to! Taką opcję obstawiam, chociaż oczywiście we wszechświecie opcji jest wiele. Jak ktoś zaprzecza czemuś wbrew rozsądkowi, to co? To jest dokładnie na odwrót. Antona rzeczywiście ktoś chciał zabić. I on prawdopodobnie wie kto i za co. Jenga też pewnie wie.

- Ale my nie wiemy.

- A co stoi na przeszkodzie, żebyśmy się dowiedzieli?

- Ciekawe jak? Będziesz śledził Antona? Trochę setek kilometrów was jednak dzieli.

- Wyślę ci depeszę, jak na coś wpadnę. - Czarek wytarł się rękawikiem i zapiął guziki koszuli.

- Czy z nami jest wszystko w porządku? - zaniepokoiła się naraz Lutka.

- Możesz być spokojna. Na pewno nie jest.

- Robimy przestępców z komendanta policji i szefa muzeum - wytknęła. - Przyznasz, że to trochę nietypowy sposób myślenia.

- Ludzie boją się rozumować nieszablonowo. Jeśli ktoś jest prawnikiem, lekarzem, prezydentem, na starcie dostaje łątkę: praworządny i niepokalany. Do dupy z takim myśleniem. Ilu dewiantów i wypaczeńców żyje sobie

spokojnie, bo są kimś! A zło nie jest zarezerwowane dla żuli i tych, co trzy pokolenia wstecz mają w rodzinie Kubę Rozpruwacza.

- Jaki ogień w twoich oczach...

- Ja jestem wrażliwy na ludzką krzywdę - oznajmił z godnością. - I nie żyję we władzy autorytetów. To mi pozwala trochę więcej dostrzegać. Jenga i Anton coś wspólnie ukrywają. Czy są przestępcami, zobaczymy. Nie wykluczam takiej możliwości, ale też się przy niej nie upieram. Gotowa do lotu?

Tak zwane lotnisko w Loiyangalani jest tak naprawdę parodią portu lotniczego. Pas ubitej ziemi w charakterze lądowiska, hala przylotów i odlotów, czyli szopa z drewnianych pali osłoniętych palmowymi liśćmi, a w niej koślawo sklecona ławeczka dla... oczekujących? Żeby nie było wątpliwości, przy całym tym uroczym kramie umieszczono szyld w postaci niebieskiej ryby z odręcznie wykonanym napisem: WELCOME TO LOIYANGALANI AIRPORT. Pod słupem, poniżej szyldu, ktoś raczej nieznający zasad feng shui położył czaszkę krowy - niczym lotniskowa maskotka bieleje w słońcu i wita turystów. A może ma odpędzać złe moce?

Już z powietrza dostrzegli helikopter Jengi, a spotkani po drodze do chaty wodza mieszkańcy wioski powitali ich dziwnie poważni i zamyśleni. Dzieci siedziały pod swoimi domostwami, zamiast biegać i psocić. Nawet łodzie leżały na brzegu porzucone, co o tej godzinie jeszcze się nie zdarzyło.

Komendant siedział na podłodze w chacie wodza.

Coś obrzydliwie śmierdziało, ale zapachy w wiosce nigdy nie rozkwitały niczym różane pąki. Kozy, ryby i krowy. Smrody wybitnie pasterskie. Z nutą piżma, żeby nie powiedzieć: cuchnącego łajna. Ale ten odór...

Jenga zdawał się być pozbawiony powonienia.

Z całej jego postaci - z opuszczonych na ziemię rąk, ze zwieszanej głowy, nawet z jego wydatnych, a teraz zagryzionych warg - biło znużenie, i to tak przejmujące, że kiedy go zobaczyli, nie wiedzieli, co powiedzieć. Wreszcie ich dostrzegł.

Drgnął jak obudzony z letargu i odsunął się w głąb chaty, żeby nie zastawiać wejścia. Nieco zebrał się w sobie, ale nie był to już dziarski i dumny Jenga.

- Witam - rzucił sucho i skinął w stronę profesora. Lutkę i Czarka omijał wzrokiem. - Porozmawiajmy.

- A o czym? - zadał pytanie Munson, ale nie spodziewał się, że w odpowiedzi komisarz ujmie palcami leżącą obok szmatę, jak gdyby unosił pokrywę znad smacznego dania, a pod kawałkiem wyświechtanego materiału ukaże się ludzka głowa. Bez tułowia.

Na ten widok Czarek wyszeptał słowo, które Jengą dosłownie wstrząsnęło:

- Mungiki...

Trzaskało rozpalone ognisko.

Z jadalni dolatywała piosenka Celine Dion.

Siedzieli ściśnięci w kole pod akacją i słuchali profesora, który dzielił się wrażeniami z rozmowy z komendantem. Po tym jak Czarkowi wyrwał się osobliwy komentarz, Jenga zaciął się i zaczął wykrzykiwać, że nie będzie dyskutował z młokosami. Mimo że argumenty były nużąco monotematyczne, Czarek zszedł z pola walki, zaczerpnął świeżego powietrza i pociągnął za sobą resztę. Munson i Jenga zostali sami, a on, Lutka, Festus i Julia ruszyli, żeby odnaleźć w wiosce Sandrę. W chacie zastali tylko jej matkę, która na dźwięk imienia córki zaczęła zawodzić wniebogłosey. Z sąsiedniej chaty nadbiegła inna bezzębna staruszka i wyjaśniła, że Sandra poszła wczoraj na pustynię, żeby opłakiwać męża, i do tej pory nie wróciła. Matka Sandry nie ma już więc ani córki, ani tym samym nadziei na wnuki. Jedyne, co jej pozostało, to głowa zięcia i skrzecząca papuga. Widząc na twarzach białych ludzi poruszenie, kobieta opowiedziała całą resztę. Głowę Emilia znalazł wczoraj jeden z pasterzy, a dokładniej jego koza. Tylko głowę i kawałek kraciastej chusty. Kopano we wskazanym miejscu, ale nie

znaleziono tam niczego więcej oprócz paru bryłek zmieszanej z piachem krwi. W wiosce ludzie zaczęli podawać sobie z ust do ust:

- MUNGIKI!

Lutka od razu dowiedziała się, że pod tą nazwą skrywa się groźna sekta, ale szczegółowe wyjaśnienia Czarek przełożył na później. Prosto stamtąd ruszyli do kolejnych chat w poszukiwaniu kobiet, które wskazały wąwóz. Teraz wioskę obiegnęła kolejna wieść: biali szukają zagubionej kości. W efekcie wracali do obozu obdarowani pokaźną kupką nowych okazów, wśród których znalazły się kręgi krokodyla, zęby hipopotama, kompletny prawie półmetrowy szkielet ryby, a ktoś nadgorliwy dołożył nawet charakterystyczny okrągły nóż do patroszenia, jakiego używa się tylko tutaj, nad jeziorem Turkana. Stworzyło to dość kłopotliwą sytuację. Zgodnie z etykietą nie wypadało odejść i nie podziękować za prezenty... prezentem. Czarek wołał nie przyzwyczajając mieszkańców do rozdawania pieniędzy, wbił więc łakome spojrzenie w korale Lutki. Kulek było wiele, to przede wszystkim; istniała nadzieja, że drewnianej biżuterii starczy dla każdego. Poza tym korale przypominały pomidory. Krwiste, dorodne i twarde. Kupione na krakowskim rynku wzbudziły zachwyty Turkanek i spowodowały, że mimo panującej w wiosce napiętej atmosfery zostali odprowadzeni do samolotu i pożegnani piosenką.

Tylko Jenga przyglądał im się z oddali.

Wielki nastroszony czarny człowiek.

- Jak skomentował śmierć Emilia? - Czarek był ciekaw reakcji komendanta.

- Na początku nijak. Nie rozmawiał przecież z Sandrą i nie wiedział, że Nyete był przed morderstwem u Emilia w chacie - tłumaczył cierpliwie profesor, zmęczony po całym dniu. Od zaginięcia kości bardzo się zmienił. Twarz nie układała mu się już w pełnym dystansu uśmiechu. Pod wpływem troski uwidoczniły się na niej nawet najdrobniejsze zmarszczki, tworząc w świetle ogniska poplątane wzory. - Wszystko mu przekazałem.

- I?

- Wyglądało na to, że się ucieszył.

- Co?!

- Stwierdził, że to Emilio był mordercą naszego Nyete. Całą sprawę ma więc... z głowy.

- Super! Tak po prostu sobie stwierdził? Bez dochodzenia?

- Czarek nie dowierzał. - A Musa? Zapomniał o Musie? Przecież to on wskoczył na miejsce kucharza, u niego Lutka znalazła naszyjnik i komórkę i to ten gnojek chciał ją porwać! Musa wszystkim kieruje. Musa!

- Szuka go - zapewnił profesor, ale sam nie był chyba o tym zbyt przekonany. - Tak powiedział. Za usiłowanie porwania.

- Szuka! Ale jak szuka?!

- Nie będę go przecież odpytywał! - obruszył się profesor.

- Jasne... Czyli ucieszył się... A wyglądał na przybitego.

- Dziwna rzecz. Był przybity, owszem. Nawet bardzo. Powiedział, że nie ma już siły.

- Ciekawe, co go tak pozbawia energii? - mruknął Czarek.

- Cezary - profesor rzucił ostrzegawczo. Też mu się pewne sprawy zaczynały nie podobać, ale arogancja pracownika nie była czymś, co by chętnie znosił. Szacunek należał się każdemu, bez względu na to, czy był człowiekiem wielbionym przez tłumy, czy, jak Jenga, gburem.

- Mogę mówić dalej?

- Proszę.

- Dziękuję. Powiedział, że nie ma już siły. To było po tym, jak usłyszał z twoich ust...

- Mungiki.

Na chwilę wszyscy umilkli i zapatrzili się w ciemność. Poza kręgiem światła więcej jednak było słycać, niż widać. Noc w Afryce to pyskata przekupka. Budzi do życia rozmaite dźwięki, których próżno nasłuchiwać za dnia. Chrobotania, syki, nagle stukoty, szepty, pomruki.

- Czy ja się w końcu dowiem, co to jest Mungiki? - Julia bez pardonu przerwała milczenie. - Co to za idiotyczne słowo?

- Cezary - profesor ponownie zwrócił się do Czarka, a sam

zmienił miejsce, żeby być bliżej swojej asystentki, i wreszcie wyglądał na zadowolonego. - Wytłumacz Julii. Ja się orientuję w temacie, ale ty to zrobisz lepiej.

- Bardzo chętnie, ale nie wiem, czy was nie zanudzę.

- Odłożył maczetę, którą miał drewno na ognisko, i usadził się wygodnie.

- Nie krępuj się.

- Mungiki to, najogólniej mówiąc, organizacja mężczyzn z plemienia Kikuju. Założyli ją w latach osiemdziesiątych, żeby walczyć przeciwko społecznej niesprawiedliwości. Wzniosłe, co?

- A co dokładnie to słowo znaczy? Bo brzmi jak nazwa jakiejś upiornej gry komputerowej. - Julia wyduła wargi, którym z ukosa przyglądał się Munson.

- Mungiki oznacza: „Jest nas wielu, jesteście razem”. „Mnóstwo”.

- O, tylko tyle?

- Dzisiaj ta banda ma około miliona klubowiczów. Ale liczbami się doskonale manipuluje, więc milion to tak optymistycznie, żeby nie załamywać społeczeństwa. Spokojnie można dołożyć drugie tyle. Różnie się o nich mówi: sekta, mafia, gang, tajna organizacja. Zaczynali od ideałów, a skończyli, jak to bywa, na przemocy. W latach dziewięćdziesiątych zaczęli działać w miastach, a w dwa tysiące drugim roku wdepnęli w gówna. Hm... W politykę. Oczywiście wyszli na tym fatalnie, bo poparli niewłaściwych ludzi. Po krwawych walkach przegrali, zakazano im działalności.

- Nie posłuchali - domyśliła się Julia.

- Nawet zaczęli się rozwijać. Haracze od przedsiębiorców, biznesmenów, od przewoźników matatu i handlarzy diamentami. Ale nie tylko. Od zwykłych i biednych obywateli też ściągają kasę. W slumsie Mathare opodatkowali bimbrowników.

Wiadomość wywołała uśmiechy, ale Czarek pozostał poważny. Przejęty swoją rolą wykladał dalej:

- To bardzo niebezpieczni i nieprzewidywalni ludzie. Za

pieniądze wynajmują się politykom jako prywatne wojsko. Są potężną siłą. Wyobraźcie sobie, że ta banda ma nawet... rzecznika prasowego! Z ich plemienia wywodzi się prezydent, ale niedawno oskarżono go o nieudolność w sprawie Mungiki, którzy robią w kraju, co chcą, więc Mwai Kibaki wypowiedział im wojnę. Żeby przed wyborami ratować stołek.

- Te zamieszki, o których mówił Anton - przypomniała sobie Lutka.

- Tak. Niby taktyka przedwyborcza, ale rzeczywiście giną ludzie.

- I to dziesiątkami - odezwał się Tom, jeden z żołnierzy. - Mój brat mieszka w Nairobi - wyjaśnił. A ponieważ Czarek zachęcił go spojrzeniem, kontynuował:

- Mungiki zabijają w charakterystyczny sposób. Tym, którzy nie chcą słuchać albo płacić, obcinają głowy, ręce, nogi. Zdarzyło się też, że swoje ofiary obdzierali ze skóry.

- Ooooo - zdziwiła się nieprzyjemnie Julia.

- Policja walczy niby z Mungiki, ale kto wie... - Tom się zamyślił. - Często giną niewinni, a potem gazety podają...

- Gazety! - wyrwało się Czarkowi, który nagle zapatrzył się w Lutkę, jakby dopiero teraz zrozumiał, że Ziemia krąży wokół Słońca.

- ...gazety podają, że w zajściach z policją rządową zginęli członkowie tajemniczej organizacji.

- To znakomity pretekst, żeby się pozbyć niewygodnych osób - westchnął profesor. - Wystarczy stwierdzić, że pan Makumba to Mungiki.

Tom przytaknął.

- Różnie się dzieje.

- Ale czemu mówi się, że to tajemnicza organizacja? - pytała Julia. - Z tego, co słyszę, myślę, że mówicie o rzeźnikach. Czemu tajemnicza?

Czarek wydawał się być myślami daleko stąd, więc ponaglany przez resztę towarzystwa Tom opowiadał:

- Mungiki nie są zwykłą grupą przestępczą. To coś jakby sekta religijna, mafia i organizacja polityczna razem. Bardzo

trudno do nich przystąpić. Trzeba być pełnoletnim i przejść ciężkie, półroczne szkolenie w buszu. Ale najpierw ktoś taką osobę musi polecić. Mungiki wyznają swoją religię, oprócz zwykłego przywódcy mają też przywódcę duchowego.

- O, cholera...

- Dlatego białym trudno jest zrozumieć, co to Mungiki.

- Eee, nie przesadzajmy. - Julia odgarnęła rudą szopę włosów. - Ja już rozumiem.

- Mungiki piją krew - dodał na zakończenie Tom.

- Aha, to odwołuję. Jednak nie rozumiem.

- Ale co w tym dziwnego? - zapytał profesor i spojrzał na Festusa. - Przecież Masajowie, Samburu i inne plemiona pasterskie też piją krew swoich zwierząt. Mieszają ją z mlekiem i wychodzi z tego koktajl. Podobno nawet smaczny.

- Zgadza się - potwierdził pilot. - Krew jest bardzo pożywna. Dodaje siły.

- Słyszałem - Tom nie rezygnował - że Mungiki wierzą w diabła i piją krew, ale nie krew zwierzęcą. Ludzką.

- Dobra, dobra. - Czarek wrócił już z dalekiej podróży do własnego umysłu. - Może ucinają też penisy i zjadają pieczone na grillu? Tak nikt nie mówi?

Tom jakby się zawstydził.

- Nie, nie...

- W takim razie nie róbmy z nich, kurczę, jakichś diabelskich pomazańców. Killer, jest takie słowo. Brzmi lepiej niż wyznawca diabła.

- Zdecydowanie lepiej - zgodził się Tom, który był bystrym żołnierzem i rozumiał, że przerażające opowieści budują wizerunek i siłę przeciwnika.

- Mnie interesuje w tym momencie jedna rzecz. Nie da się nie zauważyć, że głowa - Cezary odchrząknął i rozejrzał się po twarzach zebranych - tak jakby została odciachana od reszty. Co sądzicie? Czy Emilia załatwili ci kolesie? Mungiki?

- Nie wydaje mi się - przemówił Munson.

- Mungiki zabijają przez odcięcie głowy. Emilio...

- Ale co on mógł mieć wspólnego z Mungiki? Jesteśmy nad Logipi! Na północy!

- Ja tylko stwierdzam fakty. Jak widzę kota i wychlane mleko...

- Cezary!

- A co? Powinienem założyć, że mleko wypić mysz?

- Twoje porównania mnie kiedyś, nomen omen, zabijają. - Profesor wyglądał na załamane. - Słucham, już się nie wtrącam. Mów. Tylko miej trochę litości. Nie porównuj morderstwa do wypitego mleka!

- Chciałem, żeby było plastycznie.

- To ja poproszę jak dla prostaka. Niewrażliwego na... sztukę.

- Postaram się. Więc walę bez ozdóbek: Emilia załatwili Mungiki. Ktoś oprócz profesora uważa tak jak ja?

Festus się poruszył.

- A co sądzi Jenga? Profesor nie dokończył. Po tym, jak Czarek powiedział: Mungiki...

- „Nie mam siły”. To było zdanie, które mu się wyrwało. Jedno jedyne - zapewnił Munson. - Potem szybko zmienił temat.

- Anton też nie ciągnął tematu - przypomniał sobie Czarek i opowiedział o ich przygodzie w Muzeum Narodowym. - Wspomniał o zamieszkach, a kiedy zapytałem, czy rząd walczy z Mungiki, zaczął przeżywać remont. Nie wiem, czy to przypadek, że obaj nie chcą mówić o sekcje.

- A może to Anton obciął głowę temu pasterzowi?! - uniósł się profesor. - Co z tego, że nie chciał mówić o Mungiki? Ja na przykład nie lubię mówić o prostacie. Jak tylko ktoś wypowiada to słowo, zaczynam mieć ochotę rozmawiać o bigosie, o książkach, o czymkolwiek!

„Prostata” zabrzmiała w uszach Julii nad wyraz nieprzyjemnie. Wybałuszyła oczy, a potem zaplotła ramiona wokół kolan.

- Czytałam kiedyś Agathę Christie - rzuciła ponuro.

- W śledztwie ważny jest motyw.

- Właśnie. Kto według Jengi odciął głowę Emiliowi? - zapytała Lutka. - I czemu?

- Zacznę od tego: Jenga założył, że to mąż Sandry zabił naszego kucharza. Razem z jakimś swoim współnikiem.

- Z Musą - podpowiedział Czarek.
- Być może, ale nie ma dowodów.
- Aha. A na to, że Emilio zabił, są?
- Emilio widział Nyete jako ostatni - przypomniał profesor.
- To ważna okoliczność.
- Cholernie naciągane - ocenił Czarek. - Emilio jest mordercą, Musa nie. Ale chyba rozumiem komisarza. Ma o jedną rozwiązana sprawę więcej, więc spoko... No dobrze, a co z tym motywem? Dlaczego Emilio też zginął?
- Jenga twierdzi, że musiał się o coś ze współnikiem pokłócić.
- A współnik nie należał czasem do Mungiki?
- Tak jak mówiłem. O Mungiki nie było ani słowa.
- Hmm. - Czarek udął, że intensywnie nad czymś myśli.
- Komendant policji widzi odciętą głowę i nie kojarzy tego nieistotnego faktu z Mungiki. Ciekawe.
- Mungiki działają jednak przede wszystkim w centrum kraju - pozwolił sobie zauważyć Tom.
- I co z tego? Jest facet z obciętą głową! A my wiemy, że kontaktował się telefonicznie z Musą.
- Nie wiemy - poprawił profesor - domyślamy się. Tylko się domyślamy. I to jedynie na tej podstawie, że obaj MIELI telefony komórkowe. Obłąd!
- Czarek poderwał się z miejsca.
- Okej, ja w swoim obłądzie twierdzę, że Musa należy do Mungiki. A wy jak chcecie.

Minister bezpieczeństwa, pan Alois Kadangi, od jakiegoś czasu odnosił nieprzyjemne wrażenie, że w jego domu coś jest nie tak. Najpierw przyjrzał się pokojom, bo może żona zmieniła jakiś szczegół wystroju i go nie uprzedziła, a takie duperele jak nowe firanki nie wpadały mu w oko od razu. Dlaczego czuł się nieswojo... Obszedł cały dom, ale niczego nie zauważył. W następnej kolejności zastanowił się nad samym sobą. Może to w nim zaszła jakaś zmiana? Ale chyba

nie. Pracował w tym samym rytmie, oddawał się służbie krajowi, modlił się regularnie, wieczory spędzał albo w domu, albo w klubie z kolegami.

O swojej żonie pomyślał na samym końcu.

I tu go olśniło.

Rosa!

Dzisiaj nie dostał bury za to, że wszedł do salonu w butach. Po raz pierwszy od tylu lat żona pominęła ten fakt zupełnym milczeniem. A przecież zauważyła! Zerknęła na podłogę, a jednak nie gdała jak zwykle. Jeśli się dobrze zastanowić, ostatnio w ogóle zachowywała się inaczej. Pan Kadangi usiadł w fotelu. Na jego czole pojawiła się głęboka pionowa bruzda. Prześledził w pamięci cały tydzień. Nie żeby zazwyczaj tonęli w dyskusjach, ale wczoraj, pamięta doskonale, żona wymigała się od wieczornych pogaduszek, którymi kończyli dzień. Pogaduszek... No, takie tam opowieści. Co się wydarzyło u niego w pracy, jak spędziła czas Rosa. A wczoraj nie. Powiedziała, że źle się czuje, i poszła do siebie. Ale to nie wszystkie odstępstwa od zwykłych rytuałów. Do tej pory żona kręciła nosem, kiedy wracał zbyt późno. Czemu więc teraz godziła się na to bez zwykłych pretensji? Co jeszcze... Zaczęła śpiewać, kiedy w radiu leciała muzyka! Przyłapał ją też na kilku zamyślonych uśmiechach, a gdy zapytał, z czego się tak cieszy, odpowiedziała, że przypomniawszy sobie właśnie scenę z pewnej komedii.

Coś stanowczo było nie tak.

Wczoraj wydała fortunę na fryzjera, kosmetyczkę i nową sukienkę. Dobrze zarabiał, pieniądze nie stanowiły problemu, ale po co się tak afiszować? Rosa nie chadzała do gabinetów piękności. Dbała o siebie, ale bez zbytnej przesady. Wczoraj natomiast zobaczył gwiazdę. Człowiek to stworzenie o zadziwiającej optyce. Po dwudziestu minutach tępego patrzenia w ścianę przestaje dostrzegać na niej plamę wielkości talerza. Po dwudziestu latach patrzenia na żonę...

Pan Kadangi nie miał doświadczenia w odkrywaniu zdrad, ale coś na ten temat słyszał. Poza tym za dobrze znał kobietę, z którą dzielił życie.

Zaczął się denerwować.

A że nie należał do ludzi działających pod wpływem emocji, uspokoił się i postanowił najpierw ustalić fakty. W tym celu już po półgodzinie spotkał się w barze ze swoim zaufanym współpracownikiem. Nie zamierzał niczego tłumaczyć. Po prostu wydał polecenie:

- Przez najbliższy czas będziesz cieniem mojej żony. Będziesz chodził za nią wszędzie i dasz mi listę osób, z którymi się regularnie spotyka. Interesują mnie zwłaszcza mężczyźni. Mężczyźni, z którymi się spotyka.

Tak zwana sfera osobista to teren dla wybrańców. Lutka siedziała sobie z Cezarym na tarasie przed domkiem, wsłuchiwała się w odgłosy nocy i stwierdziła nagle, że Czarek wkracza w jej osobisty rewir cielesny bez żadnego pozwolenia. Mało tego - opiera się o nią, a do tego ma pretensję, że jest koścista i jako opieradło się nie sprawdza!

- Se znajdź inną do dźgania w plecy.

- Se nie mam ochoty. O ciebie się chcę opierać. Ale żebra ci wystają i to ty mnie dźgasz.

Kiedy dzisiaj zobaczyła obtoczoną w piasku głowę Emilia, znowu przypomniał jej się szaman i przepowiednia, co sprawiło, że odkąd wrócili z Loiyangalani, miała rzetelnie schrzaniony humor. I jeszcze te sensacyjne wieści o sekcje. Krew, obcinanie głowy. Makabryzmy jakieś okropne! Bliskość Czarka działała więc kojąco. Dźganie?

Nie ma nic przeciwko dźganiu. Niech ją dźga choćby widłami! Najchętniej przywiązałyby się do niego postronkiem albo weszła mu do kieszeni, żeby być jeszcze bliżej. Ten facet potrafił ją obronić przed całym światem. I dlatego go uwielbiała. Chociaż tak naprawdę uwielbiała go za całokształt. Był po prostu wspaniały. Wspaniały!

- Poważnie uważasz, że Musa jest z Mungiki? - spytała.

- To tak jak z wszystkimi naszymi spekulacjami o współpracy Musy z Emiliem.

- Aha. Jaki cel miałyby członek sekty w tym, żeby zabijać jakiegoś tam kucharza? Przy pomocy męża Sandry, dodajmy.

- Tego nie wiem, niestety. Wiem, że po śmierci Nyete Musa dostał się do obozu, a potem usiłował cię porwać. Potem z jakichś powodów zabił też współnika, jeśli słusznie zakładam. Może zacierał ślady? Chociaż głupio zrobił, Mungiki poznaje się właśnie po odcinaniu głowy.

- „Śmierć w wodzie, śmierć w piasku” - pamiętasz?

- Trudno zapomnieć.

- Właśnie. Nie potrafię przestać o tym myśleć. Bo to się niestety sprawdza. Nyete znaleziono martwego w rzece. Potem zasadzka, czyli porwanie. Stracony skarb, czyli kość gnykowa. Emilio, śmierć w piasku. Jeszcze został ogień. To też pewnie mamy jak w banku, bo człowiek o kamiennym sercu to chyba Musa, prawda? A on się gdzieś czai.

Czarek wyglądał na zmieszanego.

- Nie będę zaprzeczał, że staruszek coś tam chyba sensownie wywróżył. Jak widać na załączonym obrazku...

- Co z tym ogniem? Chodzi o pożar?

- Już rozmawiałem z profesorem. W nocy żołnierze będą do odwołania pełnili wartę, nie martw się. Poza tym mamy gaśnice - zażartował, ale niezbyt wesołym głosem - i jezioro pełne wody.

Lutkę żart raczej przeraził, niż uspokoił.

- Jak to gaśnice? Czyli na poważnie...

- Na wesoło - nie pozwolił jej dokończyć. - Ty podziwiał widoki i ćwicz angielski, mała. Ja się zajmę resztą.

Zabawne. Wszelkie „małe”, „dzieciny”, „kobietki” dawno już przelknęła. Czarek po prostu zwracał się w ten sposób do każdej przedstawicielki płci odmiennej, jeśli wiedział, że przedstawicielka nie dzieli go za takie epitety po uroczym ryju.

- A co z Sandrą? - Lutka wysypała na podłogę prezenty od Turkanów i zaczęła w nich przebierać.

- Jenga już wie, że zaginęła. Albo poszła oplakiwać męża i coś sobie zrobiła... - Czarek zawiesił głos.

- Albo?

- Albo... Nie mam pojęcia, kurczę. Może na pustyni coś ją

zeżarło? Lwów tam chyba nie ma?

- Nie słyszałam. Weży jest za to cała masa.

- Nad Turkana, ale wyżej, w Parku Narodowym Sibiloj, są zebry, ale z tego co wiem, wolą trawę. Baba jest zdolna do samobójstwa z powodu straty męża? - zagadał niespodziewanie. - Gdybyś tak na przykład straciła mnie...

- Ale czy ja cię mam, żeby cię tracić?

- Pytałem hipotetycznie.

- Hipotetycznie to ty mi powiedz, czego chciałby tu ktoś z Mungiki? Może powinniśmy popytać w wiosce, czy nikt nie próbował wymuszać od nich pieniędzy?

- Dobrze. Tak jakby pasterze mieli miliony i sterowali rynkiem światowym. Bydło! To jest waluta. Ale oni by się prędzej dali zabić, niż oddali krowę albo kozę. Mungiki mogliby im... wiesz... skoczyć. Wojna na śmierć i życie by wybuchła, nie musiałabyś popytywać. To by się dało zauważyć. Ja w inną stronę kombinuję.

- W jaką?

- Musa może i jest z Mungiki, chociaż to Somalijczyk...

- A to nie przeszkadza, żeby do nich wstąpić?

- Narodowość? Niby przeszkadza. A może wręcz przeciwnie? Może akurat w tym przypadku pomaga? Nie wiemy, o co chodzi, ale jeśli Musa jest z Mungiki, nie przylazł tu, żeby wymuszać. To nie to. - Czarek zmrużył oczy. - Ten skur... kowaniec coś knuje. Żebym miał chociaż jedną wskazówkę... Ale może ją dostanę. Tom! - przywołał przechodzącego przez obóz żołnierza. - Chodź, siadaj z nami, stary, i opowiedz o swoim bracie.

Zainteresowanie rodziną Toma zdziwiło Lutkę, ale wiedziała, że ma ono jakiś cel. Nie pomyliła się.

- Twój brat mieszka w Nairobi?

- Tak, tam studiuje.

- O! - Czarek bardzo się z tej informacji ucieszył. - A jak u niego z forszą? Pewnie nie miałby nic przeciwko, żeby dorobić parę szylingów? Kilka czy... kilkadziesiąt.

- Eeeee, myślę, że by nie miał. - Tom rezolutnie przystąpił do ubijania targu. - Zwłaszcza przeciwko kilkudziesięciu szy-

lingom.

- Potrzebuję kogoś z Nairobi, żeby pogrzebał w gazetach.

- Nie ma sprawy, brat często przesiaduje w Bibliotece McMillan. A co ma wygrzebać?

- Wszystko, co dotyczy Johna Jengi i George'a Antona.

Tom zerknął na Czarka porozumiewawczo. Misja przypadła mu do gustu.

- Od jakiego miesiąca zaczynamy?

- Powiedzmy, że od stycznia tego roku.

- Świetnie.

- Niech brat zrobi ksero artykułów, ja się z nim skontaktuję, jak będę wiedział, kiedy odwiedzimy z Festusem stolicę. Ale to będzie niedługo, zależy mi na czasie - dodał, widząc, że pełniący wartę żołnierz salutuje im z uśmiechem. - Dwa, może trzy dni.

- Powiem bratu. Już do niego dzwonię - zdecydował Tom i poszedł w stronę brzegu jeziora, gdzie telefony działały najlepiej.

- Co? - zapytał Czarek, bo Lutka wymownie milczała i nie spuszczała z niego wzroku.

- Nic, nic. Ty spryciarz jesteś.

- No a jak... Nieporadnym Czesławem mam być?

- Nie, wolę spryciarza.

- Informacja to broń. Trzeba ją gromadzić. - Odchylił się, żeby wsadzić rękę do kieszeni. - Wiesz, co to jest? - Rozprostował na kolanie karteczkę.

- Tajemny kod do sejfu Muzeum Narodowego?

- Ciepło, ale nie parzy. Też cyfry. Numer Emilio, proszę bardzo. Teściowa mi podyktowała.

- Jak? - Lutka zdziwiła się. - Przecież ta babulinka nie zna angielskiego!

Bynajmniej nie pilnowała Czarka podczas odwiedzin w wiosce, ale jak on to robił? W jaki sposób czarował jedną kobietę tak, że druga nie miała o tym pojęcia? Bo na pewno użył swojego uroku, żeby wydebić od bezzębnej Turkanki to, co chciał. Ale kiedy? Cały czas byli przecież razem. Chociaż... Raz się oddalił, dosłownie na kilka minut.

- Po co angielski? - zarechotał zadowolony. - *Body language*. Słyszałaś o czymś takim? Język ciała. Bardzo przydatna rzecz.

- Rozumiem. I ciało staruszki...

- Dokładnie. - Czarek nie przestawał się uśmiechać i pomachał zwitkiem papieru.

Lutka postanowiła zostawić tę kwestię, mimo że nie pojmowała, po co przedstawiać pewne rzeczy innymi, niż są, i robić z nich wydarzenie rangi międzynarodowej. Numer telefonu, phi. Sypnął dolarami i znalazło się piętnastu tłumaczy, pośredników i biznesmenów, którzy załatwili sprawę.

- Co zrobisz z tym numerem?

- Zachowam. Na wszelki wypadek. A tak na marginesie, cyfry arabskie zna cały świat. Nawet ci nad jeziorem Turkana.

O dziwo, blondynki podobno też zaliczają się do grupy wtajemniczonych. To prawda?

Lutka nabrała powietrza.

- Zrobimy tak... Powyrywam ci włosy z klatki, a potem je policzę. Sprawdźmy?

- Ale, kochanie, to będzie zaledwie do dziesięciu! Nie wykażesz się zbyt. Chyba że się zajmiesz innymi rejonami. Łydki mogą być?

- Już wolę policzyć twoje głupie pomysły.

- Zaczynasz mówić od rzeczy. Moje pomysły są wyśmienite. Choćby ten telefon. Gdybym był komisarzem, ustaliłbym u operatora numery, z którymi Emilio rozmawiał. Jeśli technika sięga tu tak daleko. Może doszedłbym, czy Musa do niego dzwonił. Przede wszystkim próbowałbym jednak namierzyć sam telefon. Komórka wysyła sygnał, można go odebrać i ustalić położenie.

- Safaricom, to jakaś sieć? - Lutka widziała reklamy z takim napisem w Nairobi i Mombasie. - Skoro to takie łatwe z tym telefonem, czemu Jenga tego nie sprawdzi?

- Może już sprawdził i dlatego przypisuje Musie jedynie porwanie? Może telefon Emilia jest wyłączony? W każdym razie numer leży u mnie w kieszeni. Newsy z gazet też nie za-

szkodzą. Niech brat Toma szuka, złapiemy szerszy kontekst.

Ale proponuję nie przyznawać się do naszych planów profesorowi. Mógłby tego nie przełknąć.

- Jasne, że... - Lutka nie dokończyła. Coś włochatego dotknęło przed chwilą jej nogi.

- Fryga! - wykrzyknęła, widząc u swoich stóp pupilkę. Ale w jaki sposób fretka wyszła z klatki? Przecież zaglądała do niej niedawno i odruchowo sprawdziła zamknięcie. - Co tu robisz?

- O, tchórzoszczur na wolności. Siemka, lady! - Czarek przywitał zwierzę z niewymuszoną kurtuazją. Mało brakowało, a ukłoniłby się, co Lutka odnotowała z rozbawieniem. - Co słyhać?

Fryga wiedziała, że się o niej mówi. Przystanąła i wykreśliła zabawnie głowę w stronę rozmówcy.

- Widzisz? Ona mnie lubi. Jak wszystkie kobiety zresztą. Mam w sobie coś takiego, czemu nie potraficie się oprzeć.

- To coś ma nazwę. - Lutce cisnęły się na usta rozmaite synonimy zarozumiałstwa.

- To coś ma ścisły związek z moim imieniem, kochanie. Czar jak Czarek! Wdzięk i magia jak Cezary Trębacz. To ja!

Lutka pozwoliła sobie na pobłażliwy uśmiezek.

- Czar już dawno się zdezaktualizował. Przyćmił go egocentryzm, mój drogi przyszywany mężu. Egocentryzm! To masz w sobie. Pyszałek z ciebie pierwszoligowy.

Słowa zaczęły przelatywać nad głową Frygi jak pociski o różnej mocy, ale ona przestała zwracać na nie uwagę. Niech sobie pogadają. Zainteresowała się czymś innym. Czymś, co już знаła. Czymś, co pachniało ziemią, solą i innymi zwierzętami. Obwąchała rozrzucone na podłodze drobiazgi i zdecydowała się. Złapała w pyszczek kostkę krokodyla i dalej! W nogi!

- O, cholera! - Pierwszy zorientował się Czarek. - Widziałś, co zrobiła?

- I co z tego? To chyba nie był hiper-super-turbo-stary okaz homo czegoś?

- Zabrała kość! - powtarzał. - Zabrała! Skoro zabrała...

- Sugerujesz, że...

- Tak! Może gwizdnęła też gnykową?!

Popatrzyli na siebie w oszołomieniu. Przypuszczenie nie było pozbawione sensu.

- Profesor jeszcze nie śpi. - Czarek spojrział w okna domku przy akacji. Dwa rozświetlone kwadraty jaśniały pośród ciemności. - To co? Idziemy po niego?

Pokój państwa Trębaczów został ponownie przeszukany w ciągu kwadransa. Trzy osoby sprawdziły domek bardzo dokładnie. Oprócz klatki i transportera ze szczególną uwagą przejrzeni miejsca odwiedzane przez Frygę najczęściej, czyli szafę, gdzie lubiła ucinać sobie w ciągu dnia drzemkę, i przestrzeń pod łóżkiem. Znaleźli jednak tylko skradzioną z tarasu kość krokodyla i kolczyk, który leżał w klatce.

- Najgorszy sezon w moim życiu - stwierdził profesor i usiadł załamany na podłodze. - Trupy, afery i największy okaz... po prostu przepadł. Co robić?! Zawiadomić Antona? To koniec mojej kariery! „Munson zgubił kość gnykową”, już słyszę ten śmiech.

- Nie, nie. - Czarek przeszedł na rzeczowy ton, który najlepiej sprawdzał się w takich rozmowach. Nie będzie przecież profesora otwarcie pocieszał, ale staruszka trzeba postawić do pionu. - Wstrzymajmy się. Mam pewien pomysł.

- Znowu? - Lutka uniosła brwi, ale Czarek ją zignorował i mówił dalej:

- Jak nie wypali, polecę do Nairobi i powiem Antonowi, co się stało.

- Nie, ja mu powiem - sprzeciwił się profesor. - To moja wina, nie dopilnowałem... Jaki pomysł?

- Od momentu, kiedy zginęła kość, Fryga była poza obozem tylko w jednym miejscu. Tak nam dała wtedy popalić, że od tamtej pory zostaje w klatce.

- Mombasa! - zawołała Lutka, której stanęły przed oczami słoniowe kły i cela na posterunku policji.

- Tak, Mombasa. Zabraliśmy Frygę w transporterze. Uciekła z niego na głównej ulicy, a potem Lutka wypuściła ją w areszcie. Tam moglibyśmy zapytać.

- A jeśli kość wypadła gdzieś po drodze?

- Niemożliwe. - Lutka podeszła do transportera i zaprezentowała go. - Proszę zobaczyć. Za gęsty splot.

- Naprawdę uważacie, że jest jeszcze szansa?

- Przeszukaliśmy obóz. - Czarek trzymał się faktów. - Kości tu nie ma, to stwierdzam z całą stanowczością. Chyba że Fryga zakopuje swoje skarby pod ziemią?

- Nie - zapewniła Lutka. - Jeśli już coś chowa, to w ubraniach albo w swoim zawiniątku w klatce.

- Klatka i pokój przeszukane. Transporter też. Jeśli to sprawka fretki, zostaje nam tylko Mombasa.

W trakcie lotu na wybrzeże odbyła się męska rozmowa, której Lutka wysłuchiwała z mieszanymi uczuciami. Czarek stwierdził mianowicie, że potrzebuje pomocy Festusa. Przepowiednia szamana wisiała nad obozem jak miecz Damoklesa i nic nie wskazywało, żeby ktoś chciał się tym mieczem poważnie zająć. Gdyby namierzyć kryjówkę Musy... Wódz z Loiyangalani mówił, że w okolicy wioski Kalacha widziano jakąś bandę. Warto by sprawdzić, co w piasku piszczy. Właśnie. Pustynia Chalbi. Niby nie największa, niby marna połać pyłu w porównaniu z Saharą czy Kalahari, jednak dla niewprawnych podróżników może stać się miejscem ostatniego spoczynku. Kiedy jednak posiada się samolot, fatamorgana zaczyna być turystyczną atrakcją, a bombardujący ziarnami piachu wiatr – zefirkiem.

Można zabrać zapas paliwa i zerknąć z góry tu i ówdzie.

Festus nie pytał o profesora. Doskonale wiedział, że „oblatywanie” Chalbi odbędzie się w konspiracji. Czarka obserwował od dnia, kiedy się poznali. Spodobała mu się troska, z jaką traktował... żonę? Dziwna z nich była para, ale biali inaczej odnosili się do kobiet. Mogły decydować na równi z mężczyznami, a nawet publicznie się z nimi kłócić, o wspólnym spożywaniu posiłków już nie wspominając. Inne zwyczaje. Dużo pieniędzy, a żona jedna. Ciekawe. W Czarku Festus widział wojownika. Profesorowi wiele zawdzięczał, ale to Czarek miał

instynkt, o czym zdążył przekonać już cały obóz. Jego myśli szybowały wysoko, nie znały strachu. Dlatego postanowił iść za nim. Chalbi jest dobra do lądowania, już nad nią latał. Siąda, zatankują, nie ma problemu.

Kiedy dotarli do Mombasy, Festus zajął się więc samolotem - przed wyprawą na pustynię dobrze jest sprawdzić maszynę - a Czarek z Lutką udali się do centrum. Pas zieleni pod kłami przeszukali bardzo dokładnie. Okolice skwerku, gdzie poprzednim razem zatrzymali się, żeby odpocząć - również. Zagadali nawet do sprzedawcy, który tak jak ostatnio wypiekał pod parasolem placki. Na wieść o zgubionej kostce najpierw zrobił wielkie oczy, a potem porzucił swój stragan i z takim przejęciem pomagał w poszukiwaniach, że w ramach rewanzu kupili u niego kilka rumianych chapati. Serdecznie podziękowali i zajadając złote krążki ciasta, ruszyli na komisariat.

Mieli fart - przy koślawym stoliku siedział młody i na oko sympatyczny przedstawiciel prawa, z którego płynęła chęć pomocy zbłąkanym turystom. W niczym nie przypominał swojego niemilego zmiennika.

- Jambo! - zawołał na ich widok, a jego białe zęby rozświetliły pomieszczenie uśmiechem.

- Jambo - odpowiedzieli nieco zaskoczeni, a chwilę potem usłyszeli jedno z najcudowniejszych brzmiących pytań, co nieco uspiło ich czujność:

- Co mogę dla was zrobić?

Lutka wyprodukowała z siebie jedno z seksowniejszych wydeń ustami, a Czarek obserwował dyskretnie scenę z boku i dobrze się bawił.

Do czasu.

- Czy moglibyśmy na chwileczkę wejść do celi? - rąbnęła prosto z mostu i czar prysł. - Siedzieliśmy tam niedawno i coś nam zginęło.

O nie!

Siedzieliśmy tam niedawno?!

Liczył na pierwiastek kobiecy, nie na brutalne wywalanie kawy na ławę. Gdzie finezja? Lutka mogłaby się wysilić,

wciągnąć tego czarnoskórego dżentelmena w rozmowę delikatnie zakropioną flirtem. Poszczebiotać o Mombasie, o zwiedzaniu, o obozie, w którym pracują jako naukowcy. Żadnego sprytu, żadnego podejścia! Siedzieliśmy tam niedawno... O święci tureccy!

Sympatyczna twarz policjanta zastygła w zdziwieniu.

- Słucham?

- Nazywam się Cezary Trębacz, a to jest moja... koleżanka

- włączył się w popłochu do wymiany zdań i nieznacznie odsunął Lutkę na bok. - Pracujemy razem pod kierunkiem profesora Borysa Munsona z Uniwersytetu Harvarda. Prowadzimy wykopaliska nad jeziorem Logipi. Może pan słyszał?

- Poproszę dokumenty - przemówił w odpowiedzi policjant i odchylił się na krzesło.

Przybrał minę pełną urzędowej grzeczności, po czym zabrał się do studiowania dowodów tożsamości.

- Ostatnio dokonaliśmy wielkiego odkrycia... - Czarek znacząco obniżył głos, co jednak nie wywarło spodziewanego wrażenia.

- Gdzie jest upoważnienie do prowadzenia wykopalisk? - padło chłodne pytanie.

- Taki dokument ma nasz przełożony. Jesteśmy tu w innej sprawie. Przez pomyłkę tydzień temu nas aresztowano i...

- Przez pomyłkę? - Policjant ściągnął brwi.

- Przez... naszą pomyłkę - próbował ratować sytuację Czarek. - Zgubiliśmy w celi ważną skamieniałość. Czy można...

Młodzieniec zamyślił się, po czym otworzył duży zatłuszczony zeszyt i przerzucił w nim kilka kartek. Znalazł to, czego szukał. Nachylił się i bacznie przestudiował zapiski.

- Mam. - Pokiwał głową. - Obnażanie się? - Przeczytał na głos.

- Głupia sprawa - szybko wtrącił Czarek, bo Lutka, zdaje się, chciała opowiedzieć o zdarzeniu pod kłami, co niekoniecznie mogło się okazać dobrym pomysłem. Fretka była dla Afrykańczyków mniej więcej tak egzotycznym stworzeniem jak dla Europejczyka okapi. A jeśli takiego

zwierza umieści się na lampie ulicznej, a potem usiłuje się go stamtąd ściągnąć za pomocą sandała i turkańskiej chusty... Cała historia zaczyna nabierać zabarwienia co najmniej fantastycznego.

- Obnazaliście się? - Policjant nie mógł uwierzyć. - Naukowcy?

Wstręt w głosie przedstawiciela prawa kazał Czarkowi intensywnie myśleć. Jak by z tego wybrnąć? Odetchnął. Coś zaczęło mu świtać.

- Bardzo nam przykro - zapewnił.

- Bardzo - dołączyła Lutka.

- Nie rozumiem. Wasza religia nie zabrania odsłaniania ciał?

- Dobrze pytanie. - Czarek zbystrzał. - Nie jesteśmy muzułmanami, choć to wiara sprawdzona przez wieki.

- Tak - zgodził się młody człowiek. - To sprawdzona wiara.

- A my z koleżanką jesteśmy... naturalikami.

Koleżanka starała się nie okazać, jak bardzo ją ta informacja zadziwiła, więc zaczęła kaszleć, co było jednak dużo lepsze niż niekontrolowany wybuch śmiechu. Musiała wesprzeć Czarka.

- Do modlitwy musimy się rozbierać - palnęła i zaczęła rozpinąć bluzkę.

- Co pani robi?

- Właśnie chciałam się pomodlić, żebyśmy mogli tam na chwilę wejść. - Pokazała na zakratowane pomieszczenie.

Policjant przyglądał się im w coraz większym osłupieniu. Zaczynał się już poważnie denerwować. Podejrzewał głupi żart, ale zresztą kto wie. Słyszał przecież o różnych dziwnych zwyczajach białych. Niektórzy nie jeżdżą jaj, są też podobno i tacy, którzy budują hotele dla psów i organizują im wesela. Wreszcie zdecydował, jaką powinien podjąć decyzję.

- Chcecie wejść do celi? - zapytał, chociaż znał odpowiedź.

- Tylko na chwilę - zapewnił z uśmiechem Cezary, ale uśmiech zamarł mu na ustach, bo usłyszał kategoryczne:

- Wykluczone. Cywilom wstęp wzbroniony. Jeśli nie macie więcej spraw, proszę wyjść.

Cóż więc było robić.

Musieli trafić do aresztu ponownie.

Komisariat, czyli sklecona z dykty obskurna pakamera, stał u styku dwóch ulic, którymi jak co dzień przelewała się rzeka ludzi.

Czarek pożegnał się uprzejmie, wyprowadził Lutkę na zewnątrz, po czym zadał pytanie:

- Czy publicznie się kiedyś...

- Co?

- Nooo... Czy gziłaś się kiedyś publicznie?

- Nie jestem owadem - oznajmiła lodowato. - Nie gzę się, nie bzykam i nie daję się przelecieć.

- Chodzi o słowo, tak? Wyraziłem się... nieromantycznie?

- Obrzydliwie!

- Dobra, dobra. - Czarek przystanął nagle, a Lutka nie zdążyła wyhamować i wpadła na niego z impetem.

- Nie nacieraj tak brutalnie, maleńka - wymruczał, wpatrując się w jej usta. - Niech stracę. Ro-man-tycz-nie... Czy w obecności obojętnego, acz obserwującego cię z zapartym tchem tłumu przeżywałaś kiedyś z mężczyzną erotyczne uniesienie?

- Co?!

Nie silił się już na wyjaśnienia.

Przyparł ją do ściany komisariatu i pocałował.

Całował, całował i całował...

Ktoś coś wrzeszczał, ktoś ich popchnął - pewnie jakiś przechodzień - ale z powagi sytuacji zdali sobie sprawę dopiero, kiedy usłyszeli znajomy głos policjanta. Przekrzykiwał tłum. Tłum, w którym przeważali rozwścieczeni faceci w sukienkach i nakryciach głowy przypominających wiaderka, jakich używa się do robienia babek z piasku. Ich twarze wyrażały silne wzburzenie, a nawet wrogość. Wygrządzali pięściami, niektórzy pluli im pod nogi. Czarek odruchowo zasłonił Lutkę i popchnął w kierunku drzwi komisariatu. Zrozumiała i przemknęła się tam. Policjant dwoił się i troił. Tłumaczył, gestykulował, łapał się za głowę. Wreszcie wkurzeni faceci zaczęli milknąć jeden po drugim, ale nadal

wpatrywali się w Czarka z niesłabnącą odrazą. Teraz policjant zwrócił się do niego.

- Jesteście aresztowani - usłyszał upragnione słowa. - Ty i twoja koleżanka. Pomimo waszego wyznania.

I dobrze, niech ulicznemu przedstawieniu stanie się zadość. Pozwolił się skuć kajdankami, bo tego pewnie oczekiwali ci kolesie. Nie przypuszczał jednak, że kiedy zostaną już bez świadków, policjant odmówi przyjęcia łapówki za ich uwolnienie.

Czarek przyssał się do Lutki przede wszystkim dlatego, że był ciekaw, jak ta pyskata całuje, a po cichu liczył, że za publiczne obściskiwania ponownie zostaną wtrąceni do lochu. Zabrał sporo gotówki z myślą o zakupie paliwa, pamiętał również ostatnią eskapadę. Już nie zamierzał zdać się w Mombasie na los, tym razem wolał zdać się na własny portfel. I właśnie się przeliczył. Miał oto okazję jedną na tysiąc, by poznać uczciwego stróża prawa, który na widok dolarów skrzywił się z pogardą. A nawet z niesmakiem! Nie pragnął pieniędzy. Było to kolejne przykre odkrycie po tym, jak dokładnie obszukali celę i nie znaleźli kości.

- Chyba tu trochę posiedzimy - zagadała Lutka.

Czarek całował smakowicie. Od dawna już miała ochotę na soczystego buziaka, ale nie myślała, że będzie aż tak miło. Faceci, pozujący na królów seksu, w praktyce często okazują się nieporadnymi paziami, którzy nie potrafią nawet utrzymać berła, a co dopiero nim władać. A tu niespodzianka. Przynajmniej w kwestii pocałunków, co jednak jest istotne, bo na podstawie pocałunku można powiedzieć, jak mężczyzna...

- Nie będzie tak źle. Mamy praktykę. - Posłał jej krzepiący uśmiech. - No i nie zostaliśmy pożarci przez tych tam na zewnątrz.

Lutka nieznacznie się przysunęła i zmieniła temat:

- Czy latanie nad pustynią j est bezpieczne?

- Jest nas trochę ludzi w obozie. Ty też tam jesteś. Mam siedzieć i czekać, aż coś się wydarzy? W nieskończoność wysyłać żołnierzy na wartę? Wolę coś robić. Polecimy na pustynię i nie próbuj mnie przekonywać.

- Ale jaki sens ma latanie nad hektarami piachu? A jeśli faktycznie traficie na Musę? To co?

- To doprowadzę tam Jengę. Osobiście. Choćbym miał go porwać z kwatery głównej i spuścić nad Chalbi na spadochronie.

- A jak Musa i jego banda zaczną do was strzelać?

- Nie będziemy lecieć metr nad ziemią. - Czarek nie widział problemu, chociaż zastanawiał się już i nad ręczną wyrzutnią raketową. Ciekawe, czy dostałby taki gadżet w Loiyangalani. Nie podejrzewał, ale pomarzyć można.

- Kiedy się wybieracie?

- W weekend. Festus powie profesorowi, że leci do swoich żon.

- Do żon?

- Zgadza się. Potrójny kłopot. Żon sztuk trzy. Nie wiedziałaś, jaki men z naszego pilota? Trzy!

- Żona według ciebie to kłopot?

Czy on usłyszał w głowie syrenę alarmową? Rozwyła się, kiedy zobaczył u Lutki to spojrzenie, które niepokojąco się ślimaczyło, miękło. A teraz ta wyraźna aluzja... Czuł ucisk w klatce piersiowej, kiedy o małżeństwie zaczynało się mówić zbyt poważnie. Nie jego klimat. Mógł przedstawiać Lutkę jako żonę, żeby uniknąć w obozie nieprzyjemności. Mógł się z Lutką całować, przytulać i nie tylko. Ale jak mógł być takim osłem?! Przecież Lutka nie należy do kategorii kobiet, którą dotąd preferował. Lutka nie jest opasana apetyczną szarfą z napisem: „Bez zobowiązań”. Na Lutce jak byk Boża Opatrzność wykaligrafowała: „Życie albo ślub”. O nie, takim paniom dziękujemy.

- Kochana, ty się nie ekscytuj tym kisserem, tam...

- To znaczy?

- W areście chciałem wylądować. Po prostu. Fajna jesteś i w ogóle, ale wiesz... Ja jestem nieobrączkowany tak naprawdę. Nie licz...

- Myślisz, że liczę?!

- A nie?

W Lutce gotowało się od emocji. Miejsce ciepłych uczuć do

Czarka zastąpiła teraz wściekłość pomieszana z upokorzeniem. Jeden głupi pocałunek! Znowu dała się nabrać. Nie, nie. Po historii z Robertem żadnych ślubów nie planowała, chociaż od jakiegoś czasu... Ale teraz nawet te myśli prysły. W porządku. Będzie oficjalna. Grzeczna, ale oficjalna. Żadnych uczuć. Co za tupet swoją drogą! Pocałunek. A zrobił z tego takie halo, jakby wydarzyło się nie wiadomo co. Nienormalny. Zdrowi faceci zachowują się inaczej. Jeśli kobieta pada im w ramiona, taką padlinę rozszarpują, aż tryska ślina. Chociaż ona nie padała, to on się pchał. Więc co z nim?

- Po prostu chcę powiedzieć, że cenię wolność - tłumaczył Czarek. - Zniewoleń nie trawię. Miłość tak, obrączka nie. Nie wyobrażaj sobie w myślach weselnego tortu, okej? Może człowieka zemdląć.

- Masz rację. Mnie już zemdlilo.

Lutka zdecydowanym ruchem wstała, poprawiła włosy i poszła do krat.

- Halo! - zawołała. - Jestem napastowana! Proszę mnie stąd przenieść! A w ogóle to dlaczego jestem w celi z mężczyzną? Czy to dopuszczalne?! Złożę skargę!

Udało się jej zaskoczyć nie tylko Czarka.

Policjant nieco zbaraniał. Przed chwilą tych dwoje siedziało głowa przy głowie i szeptało do siebie w najlepszej komitywie, a teraz?

- To nasza jedyna cela.

- Ale w czym problem? - Blondynka posłała mu uroczy, choć trochę wymuszony uśmiech. - Ja nie muszę przecież siedzieć tutaj. To chyba nie jedyny areszt w mieście? Proszę mi założyć kajdanki, chętnie się przespaceruję. Będę grzeczna, obiecuję. Nie ucieknę po drodze.

Festus załapał się na kilka ostatnich zdań. Czekał na Czarka i Lutkę o wiele za długo. Martwił się, że znowu stało się coś nieprzewidzianego, więc postanowił odnaleźć komisariat. I strzelił w dziesiątkę. Już w progu rozpoznał w policjancie swojego kuzyna Alana. Lutka i Czarek siedzieli za kratkami, ale sądząc po rozwoju sytuacji, coś się między nimi wydarzyło. Pewnie się pokłócili, jak to mieli w zwyczaju. Nic

nie szkodzi. Na szczęście potrafiliby się też godzić. Kwestia czasu.

- Festus Kijata! - Kuzyn rozłożył ręce i rzucił się pilotowi w objęcia.

Odtańczyli taniec radości i nie zważając na spierającą się parę, zaczęli wymieniać rodzinne nowinki.

- Co cię sprowadza do Mombasy? - zapytał wreszcie Alan, kiedy już zaspokoił pierwszą ciekawość. - Cicho tam! - zawołał, bo kobieta zaczęła wrzeszczeć na mężczyznę i polewać go wodą, którą chwilę wcześniej jej podał. - Dziwni ludzie.

- Zgadza się - przytaknął Festus. Próbował coś zrozumieć, ale krzyczeli do siebie w tym swoim szeleszczącym języku polskim.

- Są naturalikami - wymówił z trudem Alan. - Rozbierają się do modlitwy. Wyobrazasz sobie?

- Co ty powiesz...

- Aresztowałem ich za zakłócanie porządku. Całowali się pod komisariatem.

- Nie! - Festus nie mógł sobie darować, że znowu tyle go ominęło.

- Całe szczęście, że pod komisariatem. Gdzie indziej źle by się to skończyło. Ale mów, co robisz na wybrzeżu?

- Przyleciałem z nimi. - Wskazał na aresztantów.

W celi zapadła cisza. Lutka siedziała na łóżku odwrócona do ściany, Czarek wpatrywał się ponuro w Festusa. Pomachał mu niemrawo na powitanie i otarł twarz. Z włosów ściekały mu strużki wody.

- Z nimi?!

Koniec końców Czarek był zadowolony.

To, czego nie udało się załatwić dzięki walucie, stało się możliwe dzięki więzom krwi. Zostali wypuszczeni, a nawet uściskani na pożegnanie przez policjanta, który okazał się krewnym Festusa. Nie koniec na tym. Kuzyn Alan spisał telefon Emilia i obiecał sprawdzić numery osób, z którymi ten kontaktował się przed morderstwem kucharza i po nim. Gdyby jeszcze Lutka...

Dała popis, nie ma co. Rzucił niewinną uwagę, że powinna

ochłnąć, a ta wariatka chlupnęła mu w twarz mineralną. Że to on powinien ostudzić swoje zapaly. Zapaly! Wkurzył się nieziemsko, ale wiedział, że trochę przesadził. Powinien kwestię wolności ująć inaczej. Nie zastanowił się. Wszystko dlatego, że kiedy słyszał o małżeństwie, zaczynał się czuć jak ścigany zwierz. Wyłączało mu się logiczne myślenie, nic nie umiał na to poradzić.

Czy powinien ją przeprosić?

Ale w sumie za co, kurczę?! Za to, że nie uśmiechało mu się zniewolenie i uczciwie o tym informował? Nie ściemnia, stawia sprawę jasno. Od dawna wiadomo, że baby czepiają się słów. Przecież powiedział: „Miłość tak”.

Ogłuchła?!

Furiatka siedziała w samolocie i prezentowała minę obrażonej królowej angielskiej: zimnej i wyniosłej. Postanowił przeczekać, aż grunt stanie się mniej grząski. Teraz każde słowo obróciłaby przeciwko sobie albo, co bardziej prawdopodobne, przeciwko niemu. Czas jest bardzo ważnym składnikiem negocjacji. Lepiej przedwcześnie nie pchać się przed szereg. Za to w szeregu można się ukryć i sobie poobserwować.

- Jak z kością? - zapytał znad steru Festus.

- Nie znalazła się. Szukaliśmy dokładnie i jeszcze się upewniłem, czy nikt tam nie sprzątał od naszego poprzedniego zapuszkowania.

- Niedobrze - pilot zmartwił się. - Szkoda mi profesora. Chyba znowu czeka nas lot do stolicy.

- Do Antona?

- Tak, trzeba mu w końcu powiedzieć. Nie można dłużej zwlekać.

- Zabiorę się z wami - powiedział Czarek, który jeszcze niedawno zastanawiał się, jak namówić Festusa do kolejnych wojaży. Chalbi, teraz Nairobi. Nie chciał nadwerężyć jego cierpliwości, wyprawa do muzeum była mu więc jak najbardziej na rękę. To żaden problem zniknąć na chwilę i załatwić swoje sprawy. Brat Toma przeszukiwał gazety, może natknął się już na coś ciekawego?

- Ciekawe, czy Sandra się znalazła. - Festus również myślał

o locie nad pustynią.

- Miejmy nadzieję. Jej matka strasznie to przeżywa. Papuga też...

Królowej jakby spadła z głowy korona. Niespodziewanie odwróciła się i spojrzała Czarkowi w oczy z przerażeniem człowieka, który przypomniał sobie w pracy o włączonym żelazku. A gdzie obraza majestatu? Tak szybko by z niej nie zrezygnowała. Czy coś się stało?

Może właśnie odpadło od samolotu skrzydło i tylko Lutka to zauważyła? Rozejrzał się nerwowo po kabinie.

- Słuchaj... Zaczynam się bać.

- Wiem! - wydukała wreszcie.

- Co wiesz?

- Papuga! Wiem, gdzie może być kość!

- Gdzie?!

- W transporterze, który dałam Sandrze. Wymieniłyśmy się klatkami. Ona chciała moją, plastikową. A ja nie zdążyłam w niej sprzątnąć. W zamian dała mi tę z badyli.

- Skoro kości nigdzie nie ma... - podsunął z nadzieją Festus. - To ostatnia możliwość.

- Nie cieszymy się przedwcześnie. - Czarek wolał nie eksytować się nowiną, ale nikt go nie słuchał. - I nie wiem, jak z profesorem. Może sami sprawdzimy? Bo jak znowu będzie niewypał, staruszek nam zejdzie.

- Wiecie co? - Festus zapalił się do pomysłu. - Lećmy do Loiyanalani teraz, to ten sam kierunek.

Czarek nie musiał brać na siebie ciężaru rozmowy z matką Sandry, chociaż na jego widok stała się jakby mniej zmartwiona. Siedziała przed chatą, a jej twarz wyrażała bezgraniczny smutek. Pytanie o córkę było zbędne. Pocieszaniem kobiety zajął się Festus. Chociaż szukanie Sandry na pustyni po tylu dniach wydawało się beznadziejne, staruszka bardzo się ożywiła, kiedy usłyszała od pilota takie zapewnienie. Dopiero wtedy wypadało zapytać o klatkę. Kobieta zniknęła w chacie, a kiedy z niej wyszła, trzymała w rękach czerwony transporter. Śliczna, kolorowa papuga nie miała nic przeciwko temu, żeby chwilowo posiedzieć na ramieniu Lutki, podczas gdy matka Sandry

obróciła klatkę do góry nogami i zaczęła nią potrząsać.
Z marnym skutkiem.

W sobotę profesor się pochorował.

Pewnie ze stresu odezwała mu się rwa kulszowa. Biedak nie potrafił się ruszyć. Przy każdym skręcie, skłonie, a nawet wymachu nogą odczuwał paraliżujący ból w krzyżu. Wiedząc o swojej przypadłości, zabrał ze sobą maści i leki przeciwzapalne. Poprosił, żeby z lotem do Nairobi poczekać do poniedziałku, kiedy poczuje się lepiej. Otoczył się książkami, skamieniałościami i zaległ w łóżku, a Julia, rzecz jasna, nie przepuściła okazji i towarzyszyła choremu w chwilach wolnych od pracy. Pocieszała go, jak mogła, i zdawała relację z postępu prac w wąwozie.

Lutka jeszcze się całkiem nie odobrzała, ale przecież w samolocie doszło z rozpędu do czegoś, co można by nazwać zawieszeniem broni. Głupio jej pewnie było odnowa zadzierać nosa. Tym bardziej że wczoraj wieczorem wykrztusił przeprosiny. Przynajmniej się starał, ale wcale mu nie pomogła. Patrzyła bez słowa i znowu zaczęła pozować na nieprzystępną Zuzannę. Po środkach werbalnych przeszedł więc na metody organoleptyczne i usiłował ją przytulić, ale otrzymał kopniaka w kostkę. Traperem.

To on wyciąga rękę, a obrywa w nogę?!

Flądra!

Gdyby nie słabość, którą do niej czuł, już dawno zwinąłby żagle i poszukał innego portu. Takiego, gdzie apetyczne Hawajki przyjmują żeglarza obręczami kwiatów i uśmiechają się falującymi piersiami. Lutka nie uśmiechała się za często. Piersi też miała małe, zawsze wolał większe. Ale na szczęście patrzyła już na niego normalnie, znikł z jej spojrzenia ten ohydny wyraz oddania. Zdobywanie jest najfajniejsze. Gdyby sarna położyła się podczas polowania przed myśliwym i wysiekała: „Jestem twoja”... Makabra! Po co w takim razie strzelba, po co gonitwa za zdobyczą? Nie w tym frajda, żeby sarenkę dopaść, ale żeby ją

tropić. Żeby zwiewała, żeby się bała i żeby WALCZYŁA! !! Ale przecież takich rzeczy nie będzie Lutki uczył, to musi się dzieć spontanicznie.

Lecą nad Chalbi.

Festus dysponował dokładnymi mapami, ale czy może istnieć dokładna mapa pustyni? Pewnie może. Trasa już wytyczona, ale Czarek na wszelki wypadek ściągnął z Internetu kilka zdjęć satelitarnych. Aha. I zabrał swojego rosyjskiego kumpla, kałasznikowa. Festus na widok karabinu uniósł brwi, ale nic nie powiedział. Za to Lutka wyrzuciła z siebie kilka nużąco przewidywalnych frazesów o bezpieczeństwie, odpowiedzialności, nadambitnych facetach i tym podobnych. Z tego babskiego marudzenia wywnioskował jedno - wolałaby go za parę godzin przywitać, niż pożegnać na zawsze. Dobra nasza.

Ciekawe, czy dzisiejsza eskapada przyniesie jakieś rezultaty. Wczoraj dzwonił Alan, kuzyn Festusa, z wieścią, że ani Musa, ani Emilio nie figurują w bazie danych Safaricom. Po prostu. Nie figurują. Na pytanie, czy można namierzyć telefon drogą satelitarną, kuzyn roześmiał się i powiedział, że go przeceniają. I tak poruszył wszystkich znajomych, żeby ustalić aktualną informację.

Lecieli na skos.

Wzniesli się ponad brunatne kratery, ominęli jezioro Turkana i zostawili w dole zieloną Mount Kulal, jedną z najwyższych gór w okolicy. Cel ich podróży znajdował się na północy, na zakrzywionym, rozmytym horyzoncie.

Pustynię Czarek wyobrażał sobie inaczej.

Na pewno nie spodziewał się przestrzeni zawalonej czarnymi kamieniami, choć te efekty działalności wulkanów stały się już tak opatrzonym elementem krajobrazu jak kolczaste krzewy. Ale kamienie były i tutaj. Na szczęście Chalbi miała też inne oblicze. Czarne bryły zostały wreszcie za nimi. Czarkowi naiwnie roily się pofałdowane góry złotego piachu, tymczasem piach zalegał tu jak ciasto na patelni - płasko. Był pastelowo-beżowy albo żółty i nieco przybrudzony. Jeszcze gdzie indziej dla odmiany przypominał kolorem rosnącą na nawozach marchewkę. Piach, piach i piach. W dole ciągnęły się pasma

wzgórz, minęli też wyschnięte koryto jakiejś okresowej rzeki. Znowu piach. Początkowo widywali nomadów, który pędzili stada, albo zgarbione pod ciężarem dźwiganego chrustu kobiety, jednak w miarę pokonywania odległości człowiek stawał się na tym rozgrzanym pustkowiu coraz rzadziej spotykanym gościem. Tak dotarli do kolejnego łańcucha gór, ale mniejszego, z powietrza przypominającego zwiniętą gąsienicę, którą dziecko z ciekawości dźgnęło patykiem.

- Za ile będziemy w Kalacha?

- Jesteśmy w połowie drogi. Musimy wylądować, coś mi się nie podoba w pracy silnika - powiedział Festus i zniżył lot.

- Tam będzie dobrze, piach jest ubity. - Skinął na prawo. - Trzymaj się, może nami rzucać.

Nie po raz pierwszy Czarek stwierdził, że Festus jest doskonałym pilotem. Byli przecież zdani jedynie na sprawnie działającą maszynę i talent tego, który potrafił ją okiełznać. Po paru wstrząsach samolot szczęśliwie osiadł na ziemi wśród tumanów pyłu. Poczekali, aż powietrze wróci do zwykłej przejrzystości, i otworzyli drzwi.

- Rozejrzyj się, ja sprawdzę silnik. - Festus wyskoczył z kabiny. - Niedobrze! - syknął, mrużąc oczy. Czarek podążył za jego wzrokiem, który spoczął na ścianie wzgórza. - Nie patrz tam! Udawaj, że zepsuł nam się samolot.

Zepsuł nam się samolot? Czarek zawsze uważał się za dobrego aktora. Ale jak, do jasnej ciasnej, udawać coś takiego? Podeszedł do kół i zaczął je z zatroskaną miną kopać, tak jak sprawdza się kaptur w samochodzie. Jednocześnie powtarzał w myślach: „Nie patrzeć tam! Nie patrzeć!”

- Ale co się dzieje? - zapytał półgłosem, podpierając się rękami i udając zamyślenie. - Mam wziąć kałacha?

- Na razie spokój, żadnych kałachów. - Festus wyciągnął z kabiny skrzynię z narzędziami. - Mów normalnie, nie słyszą nas.

- Kto nie słyszy? Musa?

- Nie wiem. Ktoś nas obserwuje przez lornetkę.

Czarek odruchowo przywołał na twarz wyraz zmartwienia, choć nie było już potrzeby grać, bo denerwował się naprawdę.

- Nic nie widzę!

Góra znajdowała się parę kilometrów od nich. Jak to możliwe, żeby coś z tej odległości zobaczyć?!

- Nie patrz, mówiłem - nakazał Festus stalowym głosem. - Widzę jednego człowieka.

- Co ty masz w tych oczach? Soczewki?

- Gdybyś się wychował w buszu, widziałbyś z paru kilometrów sępa.

- U, sępy widzę zawsze. I bez buszu. Pomagać ci? Może coś z tej skrzyni też wyciągnę? Może dokręcę jakąś śrubkę?

Festus posłał mu spojrzenie podobne do tego, jakim obrzuca się chłopca, który otwiera zestaw małego mechanika.

- Weź mapę i zaznacz wzgórze. Nie rozglądaj się.

- I co potem? Tego lornetkowca zostawiamy?

- A chcesz go zabrać ze sobą?

Rekonosans. Tak to się miało nazywać. W planach nie było ściągania do obozu zakładników. Ciekawe, kto to? Na pewno nie wieśniak. Wieśniacy nie czają się schowani między skałami z lornetką w rękach. Po prawej, gdzieś w oddali, przebiegała jedna z najniebezpieczniejszych tras w Kenii - droga do Moyale. Jeśli ktoś udawał się tamtędy bez eskorty żołnierzy, czynił to na własną odpowiedzialność. W Mersabicie znajdował się ostatni posterunek policji, dalej rozciągały się tereny wyjęte spod prawa, a raczej - objęte prawem tych, którzy przemocą ustalali własne zasady. Może wzgórze jest kryjówką jednej z takich band?

- Chcieć, tobym chciał. Ale lornetkowiec ma pewnie z tuzin kumpli, a wszyscy nam się do maszyny nie zmieszczą.

- Skoro ma lornetkę, bardzo możliwe, że nie jest sam. - Festus myślał podobnie. - Zaznaczyłeś?

- Zaznaczyłem.

- Z silnikiem w porządku. Spadamy stąd, zanim odstrzelą nam ogon. Do Kalacha, a potem do Barsaloi. Poznasz moje żony.

Samolot usłyszeli wszyscy.

Ale to Usman poszedł sprawdzić.

Sześć kilometrów od bazy wylądował niewielki samolot transportowy. Wskoczyli z niego dwaj faceci i zaczęli majstrować przy silniku i kołach. Pewnie coś się popsuło. Czarny wydobyl skrzynię z narzędziami i zajrzał pod klapę, niższy, biały, cały czas przeszkadzał. Nie trwało to długo, zaledwie kilka chwil. Dolali paliwa, zamienili parę zdań i polecieeli.

Nic ważnego.

Musa był jednak innego zdania. Wysłuchał relacji Usmana, a potem usiadł na kozich skórach pokrywających podłogę pieczary i zamyślił się.

- Nie powinniśmy dłużej czekać - oświadczył zaraz stanowczo. - Pojedziesz do Nairobi, sprowadzisz szefa. Za chwilę zwołaj mi tu ludzi, trzeba zacząć przygotowania. Już nadszedł czas.

Dzisiaj upływał czwarty dzień, odkąd chodził za żoną ministra.

Zajęcie niezbyt pasjonujące, ale dawało się wytrzymać, tym bardziej że minister nie zapomni mu tej przysługi. Oczywiście żadnych pieniędzy nie dostanie, ale pewne korzyści są więcej warte od kupki szylingów.

Pani Kadangi była czterdziestoparoletnią kobietą o przeciętnej urodzie. Żadnych rewelacji. Dobrze się trzymała, miała miłą twarz, ale nie można jej było nazwać atrakcyjną. Większość czasu spędzała w domu, pracując w ogrodzie. Do centrum jechała zwykle po południu. Stukała obcasami po eleganckich sklepach, odwiedzała znajomych, załatwiała sprawy urzędowe. W czwartek była w kinie, ale sama. Wczoraj spotkała się w kawiarni z pewnym mężczyzną, ale jeśli miałby to być kandydat na kochanka... Facet był stary i brzydki.

Sprawdził go, oczywiście. Nie pracował przecież sam. Posłał za nim pomocnika, który wylegitymował gościa za źle zaparkowane auto. Stary nosił to samo nazwisko co minister,

więc wyglądało na to, że pani Kadangi widziała się z teściem. Na razie w porządku.

Ale dzisiaj żonka się odstawiła. Zrobiła włosy, no, no, i założyła sukienkę.

- Jedź pierwszy. - Przekręcił do kumpla, który parkował po drugiej stronie ulicy. - Widziałeś?

- Ładnie wygląda.

- Może wybiera się na randkę? Minister się ucieszy, że żona miło spędza czas.

Pani Kadangi była wyraźnie rozkojarzona. Pędziła, nie zważając na przepisy, co jej się nie zdarzało. Albo się spieszy, albo jest czymś mocno przejęta. Kiedy utknęła w korku, zaczęła szaleńczo trąbić, ale mogła sobie titać do woli. Sznur samochodów niezmiennie posuwał się koło za kołem w tym samym tempie. Uspokoila się, dopiero kiedy wykonała telefon. Co chwila jednak zerknęła w lusterko, żeby poprawić makijaż i fryzurę. Nic innego, tylko stres przed ważnym spotkaniem.

Przecucie go nie myliło, ale nigdy by nie przypuszczał, że pani Kadangi umówiła się... z Johnem Jengą, komendantem policji!

Tym razem nie było to spotkanie służbowe czy rodzinne. Zdraycy wyściskali się na powitanie pod, nomen omen, katedrą Świętej Rodziny. Co prawda widział te wygibasy z daleka, nie mógł im przecież włożyć na plecy, ale Jengę znał dobrze. Ta sama sylwetka, charakterystyczne jak u hieny zgarbienie. Przy każdym kroku głowa opadała mu w dół, zupełnie jakby ktoś przeciągnął pomiędzy nogą a głową nitkę. Krok, głowa w dół. Powrót i od nowa. Krok...

- Samobójca! - dzwonił przejęty współpracownik. - Na środku ulicy! Przecież wszyscy ich widzą. Zwariował!

- Idiota - musiał się zgodzić z kolegą. - Już jest trupem. Kadangi go zabije.

W poniedziałkowy rano profesor czuł się dobrze, dopóki nie wstał i nie zaczął chodzić. Aż go zamroczyło, kiedy

usiłował schylić się po leżącą na podłodze książkę. Nie było mowy o opuszczeniu łóżka. Zamierzał spojrzeć Antonowi w oczy i przyznać się z godnością do porażki, a zamiast tego kuśtykał po pokoju jak stary dziad, nie potrafiąc się nawet wyprostować. Cezary będzie się starał, ale choćby najbarwniej opowiadał o jego chorobie - Anton może nie uwierzyć i stwierdzić, że Munson jest tchórzem. Gdyby tylko łóżko mieściło się w drzwiach samolotu...

Czarek wysłuchał wskazówek profesora, a następnie pożegnał się z Lutką. Dąsy (z małymi przerwami wciąż trwały) miały jednak zaletę. Lutka nie naciskała, żeby lecieć z nimi. I bardzo dobrze. Anton nie będzie się na jej widok ślinił, a jemu też przyda się trochę odpoczynku. Mieszkanie z kimś, kto patrzy na ciebie, jakbyś mu zatłukł ulubionego chomika, bywa męczące. Początkowo próbował nawiązywać rozmowę, ale Lutka odpowiadała półsłówkami. Najczęściej czytała albo bawiła się z Frygą. Dał więc spokój. Wolał spędzać czas na wykopkach. Odlecieli zaopatrzeni w odkryte w wąwozie okazy - zawsze lepiej mieć coś w zanadrzu, kiedy się oznajmia przełożonemu, że się spieprzyło robotę.

Z bratem Toma umówił się w hali przylotów. Wysiadł tuż po lądowaniu, korzystając z faktu, że Festus potrzebował kwadransa, żeby „zaparkować” i zamienić parę słów z obsługą. Zdąży. Przy jednym ze sklepów zobaczył mężczyznę tak podobnego do Toma, że o pomyłce nie mogło być mowy. Porozumieli się wzrokiem i usiedli wśród oczekujących na lot.

- Ben, brat Toma - chłopak przedstawił się, po czym od razu przeszedł do konkretów. - To dla ciebie.

Wręczył Czarkowi teczkę zapełnioną kserokopiami wycinków prasowych, za co w jego kieszeni spoczęło pudełko papierosów, w którym ukrywały się przyjemnie szeleszczące papierki. I taki był finał tego spotkania. Ben podziękował grzecznie, wstał i pomaszerował do wyjścia, nie mając pojęcia, że brunet, który siedział z niewzruszoną miną w tłumie podróżnych, najchętniej by go uściskał. Bo to, co było w teczce... Wystarczyło przeczytać nagłówki: *John Jenga wysyła na śmierć członków sekty, Jenga poskramia Mungiki,*

Batalia przedwyborcza. Ależ to był świetny pomysł z tymi gazetami! Niestety, musiał wracać do Festusa, lekturę zostawił sobie na później. Chyba że zajrzy do jednego jedyne go artykułu, a w zasadzie do notatki prasowej, bo wydarzeniu nie poświęcono zbyt wiele miejsca.

Kradzież w Muzeum Narodowym

Profesor George Anton, dyrektor Muzeum Narodowego, przed tygodniem zgłosił kradzież bezcennych eksponatów, które zaginęły podczas przeprowadzanego właśnie remontu. Policja zadziałała błyskawicznie. Przedmioty odnaleziono następnego dnia w slumsach Mathare, będących nieformalną siedzibą sekty Mungiki.

A więc jednak!

Zerknął na datę. 18 maja 2007 roku. Aha, czyli już wcześniej składano Antonowi w muzeum niezapowiedziane wizyty. Wrócił pamięcią do kolacji, kiedy przekłeta jagnięcina być może uratowała komuś życie. Czy dlatego dyrektor zmienił wersję i widział w napastniku włamywacza, a nie mordercę, bo w maju ktoś gwizdnął eksponaty?

Że niby powtórka z rozrywki?

Jenga i Anton!

I jeden, i drugi mieli do czynienia z Mungiki, ale nie chcieli się do tego przyznać. Czyżby uraz? *Jenga poskramia Mungiki.* Tytuł sugerował, że nie chodziło o zabawę w parku. Skoro jednak taki z niego poskramiacz, czemu nie łączy obciętej głowy z sektą?

Doskonale, że przylecieli do Nairobi. Ciekawe, czy Anton również ucieszy się ze spotkania. Zamierzał z dyrektorem mile pogawędzić. Ale najpierw usiądą z Festusem i dokładnie wszystko przestudiują.

Do tej rozmowy zamierzał się przygotować.

Mogło od niej wiele zależeć.

O dziwo, Anton nie wyczarował na ich cześć żadnej powalającej z nóg potrawy.

Zebra w galarecie, bawole jądra ze śliwkami, szorstki melonowy mus... Nic z tych rzeczy. Nie było Lutki, nie było smakołyków. Otrzymali jedynie kawę i przesolone krakersy, ale i ten poczęstunek nie przeszedł im przez gardło. Anton nie chciał wierzyć, że grono naukowców potrafiło zgubić kość, i dał temu wyraz. Mimo że Anglików uważa się za osoby dość powściągliwe, porządnie im się oberwało.

- Zdajecie sobie sprawę, że to drugie odkrycie kości gnykowej na świecie? Na świecie! W dodatku trafił nam się homo erectus! W Izraelu mają gnykową neandertalczyka. Nie zgubili jej! Jak mogło do tego dojść?

- Widocznie bardzo jej pilnowali - bąknął Festus, a jego szczerą twarz nie zdradzała żadnego podstępu.

Anton jakby się zachłysnął, dlatego Czarek ruszył z odsieczą:

- Nie mamy najmniejszego pojęcia, jak to się stało. Kość po prostu przepadła.

- Jak to przepadła? Gdzie przepadła?! - Dyrektor zaczął przemierzać pokój, zerkając z ukosa na Festusa.

- Nie wiemy. Szukaliśmy wszędzie.

- Niemożliwe!

- Podzieliliśmy obóz na kwadraty...

- To ktoś ją w takim razie ukradł!

Czarek również i taką możliwość wziął pod uwagę, ale w pierwszej kolejności chciał zyskać pewność, że zguba nie leży gdzieś pod krzaczkiem w obozie, rzucona tam przez nieuwagę. Dlatego zaczął od gruntownych poszukiwań.

- Proszę zawiadomić policję. A propos... Coś mi się skojarzyło. - Sięgnął do kieszeni i położył przed Antonem wycinek prasowy.

- Mam to przeczytać?

- Gdyby był pan tak uprzejmy.

Dyrektor nieufnie wziął do ręki kartkę i przebiegł oczami po artykule. Zdenerwował się.

- Po co mi pan to podtyka? Rozmawiamy o kości!

- Rozmawiamy o kradzieży kości - uściślił beczelnie Cza-

rek. - A wtedy co zginęło? Nic się o tym nie pisze.

- Widocznie nie było takiej potrzeby.

- Ale nam może pan chyba powiedzieć? Ciekawość zawodowa.

- Trochę ceramiki, malowidła... Takie tam... - Dyrektor machnął lekceważąco ręką.

- Dziwne. Napisali: „bezcenne eksponaty”.

- Bzdury! Wierzy pan prasie? Muszą o czymś pisać, a jak nie mają o czym, robią sensację z byle czego.

- Niektórzy robią z próby morderstwa włamanie - Festus znowu wtrącił niewinnie i popatrzył w okno.

Tu już Anton nie wytrzymał. Wycelował w niego pytaniem:

- Kim pan właściwie jest? Widzę tu już pana drugi raz.

- Zasadniczo jestem pilotem - odparł grzecznie Festus.

- To wylot z mojego domu! - zagrzmiał dyrektor, aż za-trząśł mu się z oburzenia brzuch. Wcale nie zamierzał dowcipkować, nawet nie zauważył gry słów. Festus owszem. Uśmiechnął się i wstał od stołu.

- Chwileczkę. - Czarek chciał załagodzić sytuację, ale dostrzegł dyskretny sygnał, że wszystko w porządku. Ktoś musiał zostać i dokończyć rozmowę. - Dzieją się różne dziwne rzeczy

- zagadnął, kiedy za Festusem zamknęły się drzwi.

- Co konkretnie ma pan na myśli? - W głosie Antona nie było już napięcia. W końcu się na kimś wylądował, pewnie dlatego dialog zaczął się toczyć inaczej.

- Do muzeum zakradają się tajemnicze indywidua. Najpierw kradzież eksponatów, potem...

- ...kolejne włamanie.

- Nie, nie. Nie to chciałem powiedzieć. Najpierw włamanie, potem okazuje się, że skradzione przedmioty znaleziono w kryjówce Mungiki, w slumsie Mathare.

- Cóż, skradzione przedmioty znajduje się w różnych miejscach. - Dyrektor usiłował złożyć usta w uśmiechu, ale wyszedł z tego jedynie sztuczny grymas.

- Idźmy dalej. - Czarek nie ustępował. - Kolejne włamanie, którego byliśmy świadkami z Lutką i Festusem, chociaż my

upieramy się przy usiłowaniu morderstwa. Czy to też sprawka Mungiki?

- Tym zajmują się odpowiednie władze. Mnie proszę nie pytać.

- Władze? Komendant Jenga?

- Być może.

- Kiedy przylecieliście razem do obozu, pan doskonale orientował się w sprawach komendanta. Dlatego zwracam się do pana jako człowieka poinformowanego.

- Do czego zmierza ta rozmowa, bo zdaje się, że omawiamy zupełnie inne sprawy, niż powinniśmy? - Anton odpowiedział pytaniem na pytanie.

Czarek uznał, że nadeszła pora na odsłonięcie kart. Wyciągnął teczkę z pozostałymi artykułami i rozłożył je na stole.

- W obozie coś się dzieje. Zginął kucharz, pojawił się na jego miejsce inny, Musa, który usiłował porwać Lutkę. W międzyczasie zaginęła kość, a na początku tygodnia, nie wiem, czy pan się orientuje, w Loiyangalani znaleziono odciętą głowę człowieka.

Ostatnia wiadomość wprawiała dyrektora w zakłopotanie. Spoglądał nerwowo to na swojego rozmówcę, to na wycinki prasowe.

- Pan coś wie - ocenił Czarek. - Może pan nam pomóc, przecież jesteśmy w jednej drużynie - przekonywał, widząc, że Anton toczy wewnętrzną walkę. - Chyba że nie jesteśmy? Może trzyma pan z Mungiki?

- Oszalał pan?!

- To może komendant z nimi trzyma?

Dyrektor wzniosł oczy ku niebiosom, a następnie zaczął zbierać porozrzucane na stole kserokopie i nimi wymachiwać.

- Czytał pan? *Jenga poskramia Mungiki!*

- Przed chwilą słyszałem, żeby nie wierzyć prasie - przypomniał Cezary przekornie.

- John koordynuje działania przeciwko sekcji. Sam wychodzi na ulicę i walczy z Mungiki, jak tylko potrafi, chociaż...

Wzburzenie Antona było nieudawane, ale znowu ugryzł się w

język. Sięgnął po wodę i próbował się uspokoić.

- Chociaż?

- Chociaż... nie jest już najlepszego zdrowia - dokończył po dłuższym milczeniu.

- Dlaczego komendant nie łączy odcięcia głowy z sektą? A jeśli nie jesteśmy w obozie bezpieczni? Pan też za nas odpowiada. Współpracujemy i ja zgłaszam, że nad Logipi dzieje się coś złego.

- Nie wiedziałem o głowie. Porozmawiam z Johnem, dostaniecie więcej żołnierzy.

- Jenga nas zbywa!

- Ma swoje sposoby. To doświadczony policjant.

- Doświadczony?! - Czarek zaśmiał się drwiąco. Ktoś tu chyba myli pojęcia. - Jemu się po prostu nie chce. Już dawno mógł złapać Muse, wystarczyło zapakować tyłek do helikoptera i polecieć nad Chalbi!

Znowu sięgnął do spodni. Tym razem po mapę.

- Proszę - wskazał palcem miejsce, gdzie wylądowali z Festusem. - Tak trudno? Polecieliśmy. W tym kółku siedział facet z lornetką. - Wskazał na zakreślony punkt.

- Lecieliście nad Chalbi? - Dyrektor nie dowierzał.

- Nie, tak sobie pobazgrałem mapę i teraz się chwale.

- Nad pustynią? Jak?!

- No raczej samolotem. - Czarek zaczynał się już złościć. - Ale z tym to już do Jengi nie pójdę. Zamierzam odwiedzić ambasadę, bo liczenie na pana komendanta już mi się znudziło.

- Po co ambasada?! A jeśli tam siedział jakiś zwykły pasterz? Ośmieszysz nas pan. Nie zgadzam się. Pan nie ma prawa podejmować takich decyzji! Pan jest pracownikiem! Zadzwonię do profesora, co to za...

- Każdy ma prawo zwrócić się o pomoc do ambasady, pracownik czy niepracownik! To nie był żaden pasterz. Nie tam. Na środku pustyni?! Łańcuch gór, pewnie z jakimiś jaskiniami. Doskonała kryjówka. Nie dla pasterza i kóz! Dla bandy! Nawet jeśli to nie Musa, jakaś korzyść z tego będzie. Nie zamierzam czekać, aż poskramiacz Mungiki zorientuje

się, że potrzebujemy pomocy. Bo potrzebujemy!
No i masz!

Nigdzie nie polecą, coś się schrzańiło w silniku. Festus miał jednak ucho - nad pustynią słyszał, że coś zaczyna się dzieć. To pewnie tak jak w samochodzie, kierowca zna swoje auto i potrafi wychwycić fałszywy dźwięk w pracy pojazdu. Festus starał się, od dwóch godzin grzebał we wnętrzościach samolotu, jak na razie z miernym efektem.

- Chyba nas czeka noc w kabinie - zawiadomił. - Nic nie poradzę, musimy czekać do rana. Później przychodzi mój kumpel, razem coś wymyślimy.

- Jak mus, to mus.

Spało się i w gorszych warunkach, zresztą wypucowany przez Festusa samolot służący kiedyś do szkolenia spadochroniarzy był wręcz apartamentem. Niezbyt przestronnym, ale jakoś się pomieszczą, nie ma problemu. Gdyby im było za ciasno, zawsze można skorzystać z podłogi hangaru. Teraz jeszcze pozostawało zawiadomić profesora. Czarek nie mógł się jednak do niego dodzwonić, chociaż próbował już kilka razy. Abonent znajdował się poza zasięgiem. Normalka. Zauważyli, że telefony działały w obozie z pewną prawidłowością. Sygnał słabł przy silniejszych wiatrach i wahaniach ciśnienia. Ale spróbuje jeszcze namierzyć Julię, dziwnym trafem nad jeziorem i w jej domku komórki działały najczęściej.

- Co jest?

Julia także nie odpowiadała. Podobnie Lutka i Tom.

- Wszyscy niedostępni - poinformował Festusa.

- Napisz wiadomość.

- Już napisałem. Trochę się denerwuję, że nie odbierają.

- Wiesz, jak jest w obozie z telefonami.

- Dzisiaj nie ma wiatrów, powinni odebrać. - Czarek popatrzył w niebo. Ciekawe, czy dumna królowa już śpi. Może czyta coś na dobranoc?

- Tutaj nie wieje - zgodził się Festus - ale tam pogoda mo-

gła się zmienić.

W zasadzie nie potrafił wyjaśnić, dlaczego czuł się niespokojny. Najchętniej znalazłby się już przy Lutce. Niech robi te swoje demonstracje, niech wynajduje różne zajęcia, byle za często z nim nie rozmawiać. I tak wiedział. Jest dla niej ważny. A ona... Stała się ważna dla niego.

- Postraszyłem Antona ambasadą - wyznał.

- Podziałało?

- Zobaczymy. Może to nie taki głupi pomysł? Oczywiście najpierw przedyskutuję go z profesorem.

- Ambasada nie prowadzi dochodzeń - zauważył trafnie pilot.

- Ale będą mogli nacisnąć odpowiednie osoby i może wreszcie coś się zacznie dziać. Anton zgłosi kradzież kości, to jego obowiązek. Jeśli Jenga będzie jej szukał tak jak Musy...

- Myślisz, że zabrał ją ktoś z naszych?

- A jest jakaś inna możliwość? Sam już nie wiem. Kości nie ma. A była. To zbyt ważne odkrycie, żeby zatuszować sprawę. Profesor boi się wyjść na nieudacznika, ale kradzież zmienia postać rzeczy. Może się przytrafić każdemu. Już prędzej Anton chciałby, żeby tego nie rozgłaszać.

Festus wytarł ręce z oleju i usiadł obok Czarka. Nie przypuszczał, że kiedykolwiek będzie prowadził z nim takie rozmowy. Na początku biały wydawał mu się zbyt narwany, bardziej wierzył roztropności i doświadczeniu profesora. Cóż, młodość, energia biją na głowę starość i potrzebę świętego spokoju.

- Co zamierzasz z pustynią?

- Pokazałem Antonowi mapę i „przez przypadek” zapomniałem jej zabrać. - Czarek wpatrywał się w telefon. - Poczekamy. Mam nadzieję, że poleci z nią do Jengi i zagrozi mu ambasadą.

Po raz kolejny wystukał numer profesora. Znowu to samo.

- Psiakrew! Czemu oni nie odbierają?!

Przy pomocy kumpla Festus naprawił usterkę raz-dwa. Wystarczyło wymienić jakąś część, za którą dość słono „pomocnikowi” zapłacili, ale nie było innego sposobu. Wylecieli z Nairobi dopiero przed południem. Czarek czuł się źle. Był głodny, ćmiło go w głowie, przez większą część nocy zamiast odpoczywać, walczył z koszmarami. Sny w ogóle miewał rzadko, a co dopiero takie horrory. Śnili mu się członkowie wyprawy... z odciętymi głowami. Łowcy, żołnierze, profesor, Julia. Tylko Lutki brakowało. Ciała leżały poukładane rzędami. Ciało, głowa. Ciało, głowa. Widział wyraźnie zastygłe w przerażeniu twarze, posklejane od krwi i piachu włosy, w których plątały się drobne czarne kamienie.

Telefony nadal milczały i to już naprawdę zaczynało być niepokojące. Może powyłączyli się na noc albo wczoraj szlag trafił zasięg, ale dzisiaj?

Czemu dzisiaj również nie mógł się dodzwonić?

Przez całą drogę milczał, po co zarażać Festusa swoimi ponurymi myślami. Przyglądał się widokom. Tak minęli Nairobi i kotłowaninę dróg dojazdowych do stolicy. Po lewej widać było malowniczy płaskowyż Aberdare. Po prawej zieleniły się podnóża wygasłego wulkanu zwanego Mount Kenya, który składał się z trzech poszarpanych wierzchołków. Czubek najwyższego z nich pokrywał śnieg. Zresztą Afryka nieustannie zaskakiwała kontrastami. Przed chwilą Czarek widział stado słoni i dżunglę, a teraz w dole majaczyły chyba wrzosowiska. Kojarzył je dotąd z Europą, ale ten kolor, ten wzór widoczny nawet z wysokości to musiały być wrzosy. Sprawdzi w Internecie, kiedy doleczą. Jeśli cokolwiek będzie w obozie działało, bo jak na razie nie działały nawet zwykłe telefony!

Minęli Maralal, przed nimi ukazały się wzgórza Samburu, szmaragdowe jak z bajki. Już niedaleko. Pomiędzy piachami pojawiła się wstęga Suguty, wreszcie rzeka zaczęła się rwać i zmieniać kolor z mętnego w pobielały solą. I raz! Jak za przyciśnięciem magicznego guzika krajobraz uległ nieprawdopodobnej zmianie. Brązowe placki zastygłej lawy, kamienie, rumowiska skał, wióry suchych traw, jezioro...

Ale obóz?

Gdzie jest obóz?!

Festus rzucił soczyste przekleństwo w suahili. Czarek był wstrząśnięty. Przez głowę przelatywały mu chaotyczne myśli, które w końcu zlały się w jedno wypowiedziane przez szamana słowo:

POŻAR!

Na miejscu obozu zastali pogorzelisko, z którego wiatr unosił w powietrze setki wirujących niczym ptaki strzępków. Gdzieś jeszcze dogasał ogień, dym snuł się w upale i kłębił. Trzęsącymi się rękoma Festus sprowadził samolot na ziemię. Smród spalenizny gryzł w gardło, szczypał w oczy.

Biegli, ile sił, potykając się o kamienie.

Stanęli przy brzegu wielkiego, dopiero co wygasłego ogniska, które paliło się równym płomieniem przez całą noc.

Po domkach zostały jedynie zwęglone, rozgrzane bele.

Po mieszkających w nich ludziach nie zostało nic.

Lutka nie była obrażona. Nadal nie potrafiła patrzeć na Czarka obojętnie, ale było jej wstyd.

Zakochała się, bez dwóch zdań.

I on się tego domyślił.

Nie widziałaaby w tym nic specjalnego, gdyby sam był zakochany. Ale o to go nie podejrzewała. Wolność! Jakaś fobia z tą wolnością, przecież nie planowała mu jej zabierać. W ogóle zastanawiające, czemu wstydzi się przy nim własnych uczuć. Jednak miała pewność. Gdyby zaserwowała Czarkowi wyznanie miłości, jej genetyk ewolucyjny uciekłby do RPA. Albo do Indii. Byle dalej od niej. Co więc powinna zrobić? Wziąć młotek i wybić sobie z główki Cezarego Trębacza - tragiczne nazwisko, tak na marginesie. Walnąć się raz, a mocno! Tak właśnie postanowiła. Na świecie są miliony mężczyzn. Miliony czarujących... I znowu! Czarujących, Czarek... Czy wszystko będzie się już kojarzyło tylko z nim? Przeprosił ją za wystąpienie w areszcie (zabawne, słowo „przepraszam” nie padło ani

razu), nawet próbował pocieszać i przytulać, ale żadnej łaski nie potrzebuje. Albo żywe, autentyczne uczucie, albo niech facet spada na drzewo.

Czy chciała romantycznej miłości? Nie bardzo. Miłości tak, ale cała ta otoczka zabiegów, przesadzonych gestów... Literatura, film i sztuka zakodowały ludziom w głowach, że taki rodzaj uniesień jest najwspanialszy, ale przecież intensywność nie trwa wiecznie. Romantyczny mężczyzna wkłada w końcu kaptcie i siada przed telewizorem, nie może przecież wiecznie trzymać róży w zębach. Ona też nie chciała przedreptać życia w szpilkach, więc się facetom nie dziwiła. Chyba dlatego odpowiadał jej Czarek. Miał do romantyzmu zdrowy dystans. I nie tylko do romantyzmu, miał dystans do wszystkiego. Hm, do wszystkiego z wyjątkiem siebie. Ale przynajmniej nie udawał, że jest skromny. I w sumie, jeśli wyłączyć wolnościowe bzdury, miał całkiem sensowne, choć oryginalne, pojęcie miłości, rozmawiała z nim kiedyś na ten temat. Zakochanie uważał za awarię w systemach bezpieczeństwa. Mechanizmy obronne funkcjonują wadliwie pod wpływem nadmiernych emocji. Styki się przepalają, kończy się zakres logicznego myślenia. Człowiek zakochuje się nie w drugim człowieku, ale w wizji, jaką sobie stworzył.

Czy tak poplątany facet może coś do niej poczuć?!

To jeszcze nie koniec. Czarek uważa, że zakochanie jest elementem ewolucyjnego dostosowania, które popycha *Homo sapiens* do rozrodu. Tak to sobie wykombinował i stwierdził, że woli kochanie - uczucie oparte na fundamencie przyjaźni. Natomiast jeśli chodzi o rozmnażanie, na razie niczego takiego nie planował.

A Lutka?

Trochę by się porozmnażała, czemu nie.

Późno już, a Festusa z Czarkiem ciągle nie ma. Czyżby rozmowa w muzeum tak bardzo się przeciągnęła? A może Anton znowu przygotował jakąś wypasioną ucztę? Nie będzie do nich wydzwaniać, o nie. Już woli się podenerwować, niż skomleć do słuchawki, poza tym musiałyby iść nad jezioro, bo dzisiaj zasięg znowu zaczął wariować, a już jest ciemno. Albo jeszcze

lepiej - położyć się spać. Tak, weźmie Frygę do łóżka (przylapała się na tym, że bez Czarka trudno jej zasypiać!) i spróbuje się zdrzemnąć.

Obudziły ją jakieś pomruki. Regularne cięcia powietrza, turkotanie silnika. Czyżby lądował samolot? Nie miała pojęcia, która była godzina, ale musiał być środek nocy, bo nie potrafiła choćby otworzyć oczu.

Czemu przylecieli dopiero teraz?

I czym tak śmierdzi?

Skrzypnęły drzwi. Usłyszała też kroki, które zmierzały wprost do łóżka. Kiedy zorientowała się, że nie brzmią znajomo - Czarek szurał traperami, a ten ktoś stapał cicho i miękko - było już za późno. Poczula na głowie szorstki materiał śmierdzący... benzyną! Chciała to z siebie zedrzeć, kiedy brutalnie wykręcono jej ręce i związano z tyłu tak mocno, że poruszała jedynie palcami. Serce o mało nie pękło jej z przerażenia. Krzyczała, aż zabolalo ją gardło, szarpała się, ale napastnik był silny. Przygniótł ją do łóżka i uderzył na odlew pięścią. Od palącej skroni zaczęły się rozchodzić kręgi, po których wznosiła się w górę.

Nicość.

Poszybowała w nicość.

Przebudzenie było jeszcze bardziej bolesne.

Nic nie widziała. Było jej potwornie duszno, głowa dosłownie pękała z bólu, kręgosłup zamienił się w sztywny pałak. W ustach czuła obrzydliwy, mdły smak. Spróbowała się podnieść, ale nie było to takie łatwe. Zamiast rąk miała na plecach dwa bezwładne kawałki mięsa. Lodowate kawałki. Z nogami lepiej. Też nie potrafiła nimi ruszać, ale przynajmniej je czuła! Czy kiedykolwiek zobaczy swoje ręce?!

Jęknęła.

- Żyjesz? - usłyszała z boku. Czy znała ten głos?

- To ja, Sandra. Żyjesz?

Zakaszła, bo gardło wyschło jej na wiór.

- Tak... Pomóż mi.

- Mogę tylko wziąć to.

Sandra ściągnęła jej z głowy worek. Również była związana,

ale pochyliła się nad Lutką i szarpnęła materiał zębami. Od razu lepiej! Znajdowały się w jakiejś ciemnej jamie, gdzie nie docierało zbyt wiele powietrza. W rogu leżała nieruchomo Julia, Lutka poznała ją po wzorzystej piźmami.

Co z innymi?!

- A profesor? Czarek?

- Są dalej. - Sandra wskazała głową w prawo. - Cicho!

W oddali zaszemrały głosy.

- Co z Julią?

- Śpi.

- Odzywała się, tak? Rozmawiałyście?

- Tak, wszystko dobrze - zapewniła szeptem Sandra i znowu spojrzała ze strachem w ścianę, gdzie u podstawy ział ciemnością szeroki na metr otwór, najwyraźniej stanowiący przejście do dalszych komnat skalnego labiryntu.

- Kto tam jest? - dopytywała się Lutka.

- Somalijczycy. Żli ludzie. Porwali mnie z pustyni, znali Emilia.

- Musa!

- Oni go zabili. Wiem to. - Sandra nie słuchała już Lutki, zaczęła popłakiwać.

- Cicho! - Teraz Lutka się przestraszyła. Toczona poza jaskinią rozmowa zaczęła przybierać na sile i stawać się coraz bardziej wyraźna. - Idą!

Sandra przyłgnęła do ziemi, Lutka odruchowo zrobiła to samo. Zamknęła oczy, znieruchomiła i starała się zapanować nad oddechem, który jak nigdy tłukł się w piersi. Zaszurały kroki, w jamie znaleźli się dwaj mężczyźni. Przez chwilę stali nieruchomo i lustrowali pomieszczenie. Wreszcie jeden z nich podszedł do Lutki i chcąc sprawdzić, czy jest przytomna, kopnął ją, po czym wybelkotał coś w dziwnym języku. Pokręcili się jeszcze chwilę, takim samym kopnięciem potraktowali Julię. Żaden nie dostrzegł, że Lutka nie ma już na głowie worka, czego obawiała się najbardziej. Teraz postanowiła wykorzystać ten fakt i dokładnie im się przyjrzeć. Nie mogli widzieć jej oczu, schylali się do wyjścia, a rozrzucone włosy doskonale ją zasłaniały.

Wysiliła wzrok, żeby przebić kładący się po pieczarze cień.
Znała te sylwetki aż nazbyt dobrze.

Musa i...

Aż trudno uwierzyć, ale ten grubszy to Jenga!

Ma się ten rozmach!

Jak przetransportować tylu ludzi nad pustynią szybko i bez problemów? Jedno było pewne, musiał wymyślić coś innego niż wielbłądy. Mieli dżipa, ale co z tego - dolina Suguty w niczym nie przypominała toru wyścigowego, nie nadawała się nawet do jazdy rowerem.

Main uśmiechnął się z podziwem dla swojej zapobiegliwej osoby. Nawet i na to znalazł sposób! Doprowadził do końca sprawy w Nairobi, chociaż przy organizowaniu śmigłowca musiał użyć swoich wpływów. Mungiki są jednak wszędzie: w sądach, w rządzie, w wojsku. Wystarczyło pokazać komu trzeba swoją twarz i załatwione. Teraz to i tak nieważne, nawet lepiej, żeby wiedzieli, kto za tym stoi.

Już nikt go nie powstrzyma.

Do obozu dolecieli o trzeciej. Plan był opracowany w szczegółach. Wylądować w oddaleniu, żeby nikogo nie obudzić, oblać teren benzyną, związać białych, przeliczyć ich, podpalić obóz, uciekać z zakładnikami do helikoptera.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie somalijska hołota, która nie potrafiła wykonywać prostych rozkazów. Działali chaotycznie, niektórzy zamiast wiązać ludzi, zaczęli buszować w ich rzeczach, kraść. Opamiętali się, dopiero kiedy przestrzelił jednemu nogę. Musa aż zagryzł z wściekłości zęby, ale porządek musi być. Żadnej samowolki. Siedział tu z nimi w dziurze sam na sam, musieli czuć respekt, inaczej by go zarżnęli. Przez ten bajzel zapomniał przeliczyć więźniów i proszę. Na miejscu okazało się, że dwóch brakuje. Niby nic, niby nie było powodu do niepokoju, ale przecież postanowił porwać dla pełnego efektu całą czternastkę! Całą!

Sięgnął po kamerę.

Zajrzy do nich, może jeszcze dzisiaj zrobi nagranie dla ambasady?

Stary jęczał z bólu, wypadnie przekonująco.

Fryga!

Zwierzę nadbiegło od strony zarośli umorusane, ale szczęśliwe. Czarek tak się ucieszył z nieoczekiwanego spotkania, że porwał fretkę na ręce i uściskał.

- Musimy zbadać ślady. - Festus również skończył przeglądanie popiołów. Stał przed Czarkiem obsypany siwym pyłem. W rękę trzymał poczerniałą komórkę Julii, ale na jego zatroskanej twarzy widać było ulgę. - Nie spłonęli. Byłyby kości.

Fryga trafiła do samolotu, gdzie została napojona i owinięta w koszulę Festusa. Miała się dobrze. Teraz pozostawało od nowa przejrzeć obóz i przylegający do niego teren. Jeżeli tamci żyją, pewnie zostali porwani. Czarek z Festusem potrzebowali więc wskazówek. Bandyci musieli się tu jakoś dostać, a potem odejść, próbując zapanować nad dwunastoma ludźmi. Nie byli niewidzialni, podlegali prawom fizyki i poruszali się po ziemi. Czarek działał jak w transie. Obchodząc zgliszcza, przerzucał szczątki ocalałych sprzętów. Kilka metrów od dawniejszego domku profesora leżały porzucone kanistry. Łotrom nie chciało się nawet wysilać, żeby zamaskować swoje poczynania. Przywołał pilota.

Znalezisko nie wymagało komentarza, od początku podejrzewali celowe podpalenie.

- Ale po co im był ten pożar?! - Czarek nie umiał zrozumieć.

- Będziemy się nad tym zastanawiać później. Ja też coś mam. - Festus pokazał na ścieżkę prowadzącą nad brzeg. - Szli tamtędy.

Pas ziemi prowadzący do jeziora był zdeptany jak zwykle, jednak Festus, który wychował się, tropiąc zwierzyne, uważał inaczej. Badał piach pochylony niczym lekarz nad pacjentem.

Tak dotarli do lądowiska i tu nawet Czarek, który nie przeoczyłby jedynie śladów nosorożca, musiał przyznać, że znaki są czytelne.

Festus jakby nie wierzył. Obchodził je dookoła kilka razy, wreszcie wydukał zmieszany:

- Gigant. Wojskowy gigant.

- Samolot?

- Potężny śmigłowiec. Nie wiem tylko, skąd go wzięli i kto to w ogóle był, ale pomieścili się bez problemu i mogli lecieć daleko. Tak duże samoloty - wskazał na ślady - ma tylko wojsko.

- Stawialiśmy na Musę.

- Nie wiem. To wygląda poważnie. Musimy kogoś zawiadomić.

- Co ty opowiadasz? Na pewno tylko wojsko?

Festus westchnął i przytaknął.

- Wojsko. - Czarek poczuł się nagle zdezorientowany. - Czy to nie jest przypadkiem blisko słowa rząd? Kogo ja mam zawiadamiać? Przecież nie Jengę! W ogóle zastanawiam się, o co chodzi. Jakie wojsko? Czemu wojsko? Sram na wojsko i na wszystkich! Dzwonię do ambasady. Do swoich.

Ministra bezpieczeństwa zalewała krew.

Nie był najlepszym mężem, jeśli się dobrze zastanowić. Zaniedbywał Rosę. Zgoda. Wpadł w codzienny rytm życia wyznaczany pracą, obowiązkami i nieszkodliwymi przyjemnościami w klubie. Ale wydawało mu się, że żona ten stan rzeczy akceptuje. Że jest dobrze. Postawił dom, spłodził dwóch synów, utrzymywał rodzinę. Pani Kadangi pozostawało jedynie cieszyć się tym wszystkim.

Dlaczego w takim razie wybrała ramiona... Jengi?!

Czuł się zdradzony niejako podwójnie. Już lepiej zniósłby wiadomość, że połaszczyła się na jędrnego byczka o wybitnych zdolnościach kopulacyjnych. To byłby jeszcze w stanie zrozumieć. Ale ta podstępna, wychudła łajza sabotująca rząd?! Jenga

otrzymał oficjalny rozkaz i jego nieformalną interpretację, tymczasem z dziką zapalczywością wyrzynał członków własnego plemienia, a teraz dotykał swoimi brudnymi paluchami jego żonę!

Przebrała się miarka.

Cały dzień myślał nad zemstą.

Wściekłość i nienawiść dyktowały mu rzeczy straszne, ale opanował się. Kochał Rosę, był gotów dalej tworzyć z nią rodzinę. To Jengi należało się pozbyć! I to tak, żeby żona nie odkryła jego ingerencji, bo w przeciwnym razie skutek będzie odwrotny.

Zabrał pistolet, pocałował oglądającą telewizję Rosę i poszedł do garażu. Chłopcy już czekali. Obskurna ciężarówka ruszyła jego śladem.

Jenga otworzył mu drzwi jedynie w slipach. Był wstawiony. W rękę trzymał butelkę.

- O, pan minister! - Idiotycznie wyszczerzył w uśmiechu zęby.

Kadangi poczuł, jak ogarnia go zażenowanie i wstręt.

- Ubieraj się! - Popchnął komendanta do środka i dał sygnał swoim ludziom.

Mieszkanie było małe, tak samo odpychające jak Jenga. Właściciel zawałił je miniaturowymi modelami czołgów, samolotów i innych wojskowych maszyn, które leżały poupychane na każdej wolnej przestrzeni, jak w pokoju niesfornego chłopca. Śmierdziało tu tanim, skwaśniałym piwem tak bardzo, że chciało się otworzyć okno i wpuścić choć odrobinę świeżego powietrza. Na stole wśród resztek jedzenia wały się brudne naczynia, na których zawzięcie ucztowały drobne muszki. Wrzeszczało radio, w wiadomościach spiker beznamytnym głosem informował, że dzisiejszej nocy z bazy wojskowej zniknął w niewyjaśnionych okolicznościach śmigłowiec. Przy każdym wypowiedzianym słowie drgał mały pająk, który z głośnika zrobił rusztowanie dla swojej sieci.

- Wyłącz to - nakazał Kadangi, wskazując na dudniące pu-dło.

- Pan minister jak zwykle stanowczy. - Jenga odzyskał ini-

cjatywę. Zaczął patrzeć przytomniej. - Co się dzieje? - Obrócił się, zaniepokoiły go podejrzone dźwięki.

Dwóch facetów dobierało mu się do szafy! Wywalali ubrania i pakowali je do worków na śmieci.

- Przeprowadzka, panie Jenga - oznajmił z satysfakcją Kadangi, dotykając kabury pod marynarką. Był to znak, który komendant doskonale rozumiał. - Zostaje pan przeniesiony na pogranicze, do Mandery.

- Za co?!

- Jak to za co? Za służbę krajowi. Jesteśmy z pana tak zadowoleni, że pan awansował.

Jenga skulił się, jakby przygotowywał ciało do skoku. Zaczął sapać. Zapach potu stał się jeszcze bardziej intensywny, nieznośny. Kadangi pomyślał, że za chwilę zwymiotuje.

- Za Mungiki, tak?

- Mungiki? A owszem, należy się panu odpoczynek, już dosyć się pan namordował. Zapewniam jednak, że wyjdzie panu na zdrowie, kiedy będzie pan daleko ode mnie i od mojej żony.

- Co mnie pańska...

Dyskusję przerwało głośne walenie do drzwi.

Szczęknęła klamka. W progu stał nie kto inny, jak zadyszany George Anton, dyrektor Muzeum Narodowego.

Co robił w tej paskudnej norze?

Rozmowy z ambasadą trwały z przerwami prawie cały dzień.

Z zasięgiem był faktycznie problem. Jakby dostał biegunki, na przemian pojawiał się i znikał, co dodatkowo komplikowało sprawę. Czarek miał nerwy jak jasna cholera! Najpierw opowiedział co i jak jakiemuś urzędnikowi (przerwało mu trzy razy), potem zaczął się żmudny proces sprawdzania tożsamości. Z ambasadorem połączono go dopiero na samym końcu. Miły człowiek. Kumaty. Słuchał uważnie, zadawał mnóstwo pytań, ale potem powiedział, żeby czekać. I to już nie było miłe, chociaż zgodne z procedurą. Skontaktują się z ambasadą

amerykańską, bo przecież profesor i Julia są obywatelami Stanów Zjednoczonych bla-bla-bla, powiadomią odpowiednie władze ble-ble-ble.

Czekać.

Wczoraj profesor ledwie poruszał nogami, dzisiaj jego stan na pewno się pogorszył, Lutka... Czarek wolałby o niej nie myśleć, ale wspomnienia same stawały mu przed oczami. Twarz Lutki upstrzona piegami, kolczyki ze słonecznika, ohydna pizama w fiołki. Ile jej nadokuczał! A tak naprawdę Lutka była delikatna, krucha. Maskowała wrażliwość, żeby dodać sobie rezonu. Obserwował, jak troszczyła się o Frygę, jak zachwycała się głupim zachodem słońca...

Ile jeszcze będą czekać?!

Festus kręcił nosem, nie dał się jednak długo przekonywać.

- Popatrz na ślady - wskazał na ziemię. - Jeśli mają lornetki i takie giganty...

- Lećmy. Przecież nie będę do nich pykał z kałacha... Bez potrzeby.

- Więc?

- Chcę tylko mieć pewność, że nasi tam są. - Czarek sugestywnie otworzył drzwi samolotu. - Sprawdzimy górę i wracamy. Zdobędziemy informacje, to posunie sprawę do przodu. Przecież nikt się tu nie pojawił w ciągu paru godzin. Zaraz będzie wieczór.

- Wszyscy Polacy są tacy uparci?

- Wszyscy. Zadrzyj z Polakiem, a zobaczysz. Tamci też zobaczą.

- A wiesz, jacy są Samburu? - Festus wyprężył się i stanął na baczność. Jego dumnie wypięta pierś zdradzała, że duch wojowniczego plemienia wciąż w nim żyje. - Dokładnie tacy jak wy. Dlatego myślę tak... Śmigłowiec był wojskowy, jestem tego pewien, więc zbytnio nie wierzę, że policja nam pomoże. Będą świecić oczami. A skoro tak, poradzimy sobie sami. Najpierw polecimy na górę Nyiru.

Czarek aż pojaśniał.

- Festus, wybawco! - Uścisnął pilotowi dłoń i od razu nabrał wigoru. - Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. Już, leci-

my! Ale czemu tam? - Spojrzał na zieleniejące w oddali czubki wzgórz. Samburu Hills korciły go, odkąd tu przybył, w krajobrazie przyprószonym solą wydawały się tak soczyste, że aż nierealne. - Przecież Chalbi...

- Musimy być jak szarańcza, a jest nas dwóch. Z Nyiru zabierzemy tyłu moranów, ilu wejdzie do samolotu.

- Jakich moranów?

- Moranowie to inaczej wojownicy. Tak ich nazywamy.

- Będą się narażać dla nieznajomych?

Festus zaśmiał się tylko i wskoczył za stery.

Czy to już noc?

W tej suchej norze Lutka straciła rachubę czasu. Gdyby nie Sandra, zupełnie by się pogubiły. Dziewczyna miała wbudowany naturalny zegar, który tykał nawet tu, pod ziemią. Z nikim jeszcze nie rozmawiała, chociaż co parę godzin w dziurę w ścianie wtykał nos jakiś odrażający typ. Wyglądał zupełnie jak rzeźnik, który zagląda do chłodni, żeby się upewnić, czy okręcone sznurkiem szynki wiszą na swoim miejscu. Bały się do niego zagadać, chociaż umierały z niepewności. Julia zamartwiała się o profesora, a Lutka rozmyślała, czy Czarek wrócił z Nairobi i leży związany z innymi, czy raczej coś go zatrzymało i dotarł do obozu następnego dnia.

Co będzie dalej?

Czy chodziło o okup?

A Jenga?

Prowadził okrutną podwójną grę, o której nikt nie wiedział. Komendant policji układający się z przestępcami! Jeżeli to jego wyznaczą do poszukiwań, nie ma obawy, dochodzenie utknie w martwym... tfu! punkcie.

Nikt nie pomyślał, że są głodne i spragnione. Sandra, która była o wiele szczuplejsza niż wtedy, kiedy widziały się ostatnio, powiedziała, że dostaje jeden posiłek dziennie. Ponieważ go przespały, czekała je perspektywa snu o pustym żołądku.

Żeby nie zwariować, rozmawiały. Julia też już nie miała na

głowie worka, ściągnęły go. Dopiero w tak koszmarnych okolicznościach asystentka przełamała się i przyznała Lutce do uczucia, jakim darzyła profesora. Flirtowanie z Czarkiem służyło jedynie wzbudzeniu zazdrości, a wtedy w domku jej mąż bynajmniej nie uległ. Tak, muszą trzymać sztamę. Obmyślały ucieczkę, ale czy miała sens? Sandra twierdziła, że w sumie widziała czterech różnych ludzi. Julia, która była przytomna w trakcie porwania, w samolocie słyszała profesora i żołnierzy (Czarka ani Festusa nie!). Jeżeli zabrali ich wszystkich, bandziorów musiało być więcej. Ale tu wystarczył choćby jeden. Taki jak rzeźnik. Jeden mężczyzna wyposażony w karabin. Przecież nie rzucą się na niego w trójkę z gołymi rękami!

- W nocy na pewno śpią - rzuciła szeptem Lutka.

- Nie wszyscy. - Sandra pozbawiła ją złudzeń.

- Założmy, że jakoś rozplączemy sznur albo przetrzemy go o skały. Co zrobisz później? - spytała rzeczowo Julia.

- Cieszę się, że mam ręce. Już dłużej nie wytrzymam! - Poczowała, że gardło boli ją od tłumionego płaczu. - Mogę zdechnąć, ale chcę zdechnąć z rękami!

Julia zamarła i nasłuchiwała.

Rzeźnik zaglądał niedawno, więc mogły być spokojne, nie przyłapie ich na gorącym uczynku. Sandra twierdziła, że była druga w nocy. Czy rzeczywiście? Do lochu docierało zdecydowanie mniej dźwięków. Umilkły rozmowy, muzyka też już się nie niosła. Za to teraz one same były lepiej słyszane na zewnątrz. Każde szurnięcie nogą, każdy szept był jak wystrzał z armaty.

Co to?

Z ciemności doleciał czyjś zbolący, zniekształcony jęk.

Czy to Borys?!

Julia zacisnęła zęby. Nie podda się! Odkąd się obudziła, kręciła przegubami, żeby poluzować więzy. Nie potrafiła się ich pozbyć, ale poruszała dłońmi dość swobodnie. Pęta Lutki wyglądały na solidne zaciągnięte, ale wystarczy, że je trochę poluzuje. Chociaż trochę. Krew napłynie do ciała i Lutka przestanie się już tak męczyć. A potem się zastanowią. Może się uda...

- Połóż się na plecach.

Sandra nie spuszczała wzroku z wejścia. Denerwowała się.

- Szybko!

- Jakie szybko? Sznur jest pozaciskany.

Julia była odwrócona tyłem do Lutki, a niełatwo rozsypać coś, czego się nie widzi. Nie słyszały żadnych kroków, chociaż siedziały jak myszy pod miotłą. Po prostu Julia uniosła głowę i zobaczyła w wejściu czającego się... Toma!

Gdyby mogła się ruszyć, skoczyłaby mu z radości na szyję.

- Cśśś... - nakazał ciszę, kładąc palec na usta. W drugiej dłoni ścisnął nóż.

Lutka wyczuła, że coś się dzieje. Przekręciła się. Tom!!!

- Jak profesor?

- Gdzie Czarek?

Zasypały go rozpaczliwymi pytaniami, ale Tom jakby nie słyszał. Cały drżał. Z uda sączyła mu się krew. Ukłękł.

- Cicho - syknął, oglądając się co chwila za siebie. - Wszyscy cali. Profesor ma gorączkę.

- A Czarek?

- Nie ma Czarka. Nie ma Festusa.

- Widziałeś Jengę?

- Widziałem. Odwracać się - wydał polecenie. Nie było czasu na uprzejmości, liczyła się każda minuta. Przecinał więzy i urywanym szeptem wyjaśniał: - Siedzimy tam. Czekają, udają, że śpią. Nie wychodźcie stąd, aż...

- Kto czeka? Kto udaje? - Nie rozumiały.

- Nie wychodźcie! - Tom już wstał, już zmierzał ku wyjściu, kiedy...

W dziurze ukazała się wygłodniała twarz Musy.

Innym razem Czarek myślałby, że znalazł się w raju.

Mount Nyiru była bezwzględnie ósmym cudem świata. Miesiąc po porze deszczowej wzgórze nadal wyglądały, jakby je ktoś przykrył zielonym połyskującym materiałem, a mieszkający tu ludzie dodatkowo ożywiali ten obraz barwnymi

chustami. Powietrze było ciepłe, ale tak orzeźwiająca, że samo wpadało w pierś i smakowało jak naleczowianka. To im przypomniało, że od rana nie mieli niczego w ustach. Szybko coś przegryźli i przy akompaniamencie pobekiwania kóz zasiedli z moranami do narady. Festus nie nadążał z tłumaczeniem. Samburu mówili szybko, bardzo szybko, a w dodatku klócili się i żywo gestykulowali. Czarek przypatrywał się ich naszyjnikom i kolorowym opaskom z guzików. Tu bransoletka, tam bransoletka... Wyglądali malowniczo. Czy jednak facet, któremu odstawały nad uszami antenki z koralu, potrafi zrobić użytek z karabinu? Jedno było pewne - nie zostawią ich w potrzebie, a to już coś. Wreszcie zapakowali swój rynsztunek i w skupieniu zajęli miejsca w samolocie. Już się nie przekrzykiwali, siedzieli wyciszeni, pochmurni. Z oczu patrzył im spokój.

Ruszyli.

Nocny lot nad pustynią Czarek zapamięta chyba na zawsze. Nie lecieli wysoko. Byli zbyt obciążeni, a Festus nie miał instrumentów namierzających cel podróży. Musiał zdać się na swój wzrok. Na szczęście noc należała do księżycowych. Ciężka srebrna kula wisiała nad horyzontem i oświetlała piaskowisko. Wylądowali wiele, wiele kilometrów przed celem podróży. Resztę drogi odbyli pieszo. Księżyc przestał być sprzymierzeńcem, kiedy się znaleźli niedaleko wzgórza. Teraz byli widoczni jak na dłoni. Na wypadek ostrzału szli rozproszeni i myśleli tylko o jednym: żeby nikt nie obserwował terenu przez lornetkę.

Udało się!

Dotarli pod ścianę. Kolorowi mężczyźni złali się ze skałami, przylgnęli do rozgrzanych bloków, jakby sami byli wykonani z kamienia. Czarek obserwował ich zdumiony. Mieli jakiś swój tajemny język znaków. Ten z przodu pokazał coś ręką, co przekazywali sobie po kolei aż do ostatniego w szeregu. Szkoda, że Festus został w samolocie, ale był ich polisą na powrót. Gdyby zginął, nikt by go nie zastąpił.

Dostrzegł ruch. Jeden z Samburu zaczął wspinać się po skale! Wyglądało to na zwiady, bo pozostali dalej trwali nieru-

chomo. Jak on tam wlaź?! Skradać się potrafili elegancko, ale łażenie po skale? Czarek usiłował przebić wzrokiem półmrok, ale stąd nie było to możliwe. Widząc jego zdziwienie, stojący obok wojownik wyszeptał mu do ucha:

- Drabina bandy, sznurek.

On też chce!

Jeśli tam jest jakakolwiek drabina, choćby ze sznurka, on też pójdzie.

Ominął wojowników i podszedł do tego, który pokazywał znaki.

- Teraz ja!

Musa uśmiechał się, ale był to uśmiech ociekający nienawiścią.

- A dokąd to? Czyżby na spacer po pustyni w towarzystwie pań? - rzucił kpiąco do Toma i wydobył zza pasa błyszczącą maczetę. Karabin odrzucił pod ścianę.

- Walczysz? Nóż na nóż.

Tom podjął wyzwanie. Zastygł w bezruchu i pochylił się, a wtedy Musa zaczął przerażający taniec. Wymachiwał nożem, aż świszczało powietrze, przerzucał ciężar ciała z nogi na nogę i ochryple rechotał. Był wyspany i najedzony. Górował nad przeciwnikiem pod każdym względem i doskonale o tym wiedział. Czuł się świetnie, nie widać było po nim choćby śladu strachu. Po Tomie tak. Ledwie trzymał się w pionie, posykiwał z bólu - miał całą nogawkę zbroszoną krwią, rana dawała mu się we znaki.

- Już jesteś trupem! - Musa nie ustawał w zastraszaniu przeciwnika, ale Tom nie odpowiadał na zaczepki. Z największym wysiłkiem usiłował się skoncentrować, rozpraszały go jednak coraz głośniejsze hałasy na zewnątrz. Słyszał jakąś kotłowaninę. Ktoś upadł, krzyknął. Co oni wyprawiają, przecież mieli czekać!

- Tom! - krzyknęła ostrzegawczo Lutka.

Musa zaatakował, kiedy po pieczarze rozeszły się pierwsze

odgłosy strzelaniny. Najpierw pojedyncza seria, później cała kanonada, okrzyki, jęki. Cięcie maczetą było tym razem ciche, błyskawiczne. Koszulka zagłębiła się Tomowi w brzuch i w jednej chwili ściemniała.

- Czyżby więcej idiotów? - Musa ostentacyjnie skomentował to, co działo się poza jaskinią. Udawał, że nie widzi nowej rany. - Nie, nie. My nigdzie nie idziemy, przecież doskonale się bawimy - powiedział, bo Tom odruchowo zrobił krok w kierunku wyjścia. - A jak skończę z tobą, zabawię się z tą białą suką - strzelił spojrzeniem w Lutkę - bo przynosi mi pecha.

Lutka miała już wolne ręce. Powoli, bardzo powoli zaczynała nimi poruszać. Była wstrząśnięta oglądanym przedstawieniem, ale powtarzała w myślach słowa Czarka: „Myśleć! Myśleć!”. Ciało może jej odmawiać posłuszeństwa, ale nie umysł! Żyła! Jeszcze żyła! Julia z Sandrą popłakiwały skulone, Musa bełkotał coś znowu do Toma. Karabin leżał całkiem blisko - ten morderca rzucił go tu, żeby nie przeszkadzał mu w walce. Nie wiedział, że Tom przeciął więzy, bo nie zdążyły wyprostować rąk, zanim wszedł. Jeśli się postara, jeśli włoży w ten ruch całą energię, jaka jej jeszcze została...

„Myśleć! Myśleć!”.

Musa ciął Toma jak kartkę papieru. Doskakiwał, ciął. Odskakiwał, żeby się nad nim poznać złośliwościami, i od nowa to samo.

Teraz!

Lutka podparła się zgrabiałymi rękami i przerzuciła ciało.

Ma! Ma karabin!

Widziała, jak Czarek ćwiczył strzelanie. Objasniał jej, co należy zrobić. Czy ona coś jeszcze z tego pamięta?

Czy strzeli? Zabije człowieka?! Skórzany pasek przy karabinie śmierdział Musą. Był obtłuszczony i lepki.

- Luuutkaa! - niespodziewanie usłyszała gdzieś ze środka skały.

Czy to w jej głowie, czy ktoś ją naprawdę wołał?

- Lutka!

- Tutaaaaj! - krzyknęła, ile sił.

Tom upadł, Musa obrócił się i zobaczył wycelowaną w siebie broń. Zmrużył oczy.

- Ty? Celujesz do mnie z mojego karabinu?

- Tutaaaj! - nie przestawała wykrzykiwać. Jeśli ktoś jej szukał, sygnał musiał dochodzić regularnie. Darła się tak, że gdyby głos nie wydobywał się z niej, musiałyby zatkać uszy. Niech sobie Musa pogada. Ona będzie się drzeć i w niego celować. - Tuuu jesteem! Tutaj!

Julia z Sandrą dołączyły do okrzyków.

- Nie umiesz strzelać - Somalijczyk stwierdził spokojnie i postąpił krok naprzód.

Przy wejściu zachrzęścił piach. Czarek!

Natknęli się na strażnika.

Samburu ugodził go dzidą w serce po krótkiej i na szczęście bezgłośnej walce. Ale zabity nie wyglądał na żołnierza. Poza tym żołnierze nie zostawiają sznurkowej drabinki jako zaproszenia. Śmigłowca też nie widzieli, ale mógł być po drugiej stronie góry, a tam się nie pchali.

Kompleks jaskiń, tak by to Czarek nazwał. Od wejścia biegł korytarz w dół. Nieoświetlona kiszka prowadziła do pierwszej pieczary, ale tuż przed nią znajdował się ukryty wyłom skalny, z którego niespodziewanie wyszedł człowiek. Więc dzidą w serce. Zupełnie idiotyczne uczucie być świadkiem takiej sceny, ale szedł tu przecież z gotowością walki o życie swoich towarzyszy. Byli tu!

Usłyszał właśnie jęk profesora. Nasłuchiwał się ostatnio tych jęków, rozpoznawał je doskonale. Byli tu!!!

Samburu zajrzał ostrożnie do izby, starając się pozostać w cieniu. Trzymał Czarka za sobą. Dopiero kiedy ocenił sytuację, odsunął się i pozwolił mu też zerknąć. Pomieszczenie oświetlały lampy naftowe. Pod ścianą siedział jakiś umorusany, na oko szesnastoletni chłopak. Drzemał. W rękach tulił karabin maszynowy. Ciemne loki układały się wokół czoła łagodnie jak u dziewczyny. Oddychał miarowo, cicho posapywał. Czarek

zaklął obrzydliwie i zmusił się, żeby nie patrzeć na to dziecko, które nie znalazło się tu przecież przypadkiem i z pewnością miało w sobie dość okrucieństwa, żeby zabijać. Na podłodze spali inni. Naliczyli ich ośmiu. Ośmiu śpiących facetów z pukawkami jak się patrzy.

Samburu zarządził odwrót. Musieli sprowadzić tu resztę. Jaskinie były połączone, nie mogli ryzykować i wchodzić dalej bez wsparcia. Na sygnał zwiadowcy moranowie sprawnie wspięli się po skale i wypełnili korytarz. Przed pieczarą, tak jak poprzednio, przyczaili się i zerknęli do środka.

Nie było chłopaka!

Ci na podłodze chrapali dalej, ale chłopak zniknął. Pewnie poszedł na obchód. Dobrze, że nie zaczął od wejścia. Nie znalazłby swojego kolegi (wyciągnęli go na zewnątrz i zrzucili ze skał) i mógł podnieść przedwczesny alarm. A ich przewaga zależała od zaskoczenia. Czekali. Po wielu, wielu minutach stania bez ruchu echo przyniosło niepokojące dźwięki. Usłyszeli szuranie i krzyk - w korytarzu po przeciwnej stronie zobaczyli, jak chłopak ciągnie czyjeś bezwładne ciało. Na ten odgłos zza kotary, która zasłaniała lewą stronę pomieszczenia, wyszedł... Musa!

Instynkt kazał Czarkowi rzucić się na bandytę, ale pohamowali go Samburu. Co za ludzie. Wystarczyło, że napiął do skoku mięśnie, już kilka par rąk przytrzymało go w miejscu. Musa obejrzał leżącego. Splunął, poprawił karabin i ruszył w głąb przeciwległego korytarza. Chłopak zaczął budzić swoich kamratów.

- Teraz!

Jaskinię dosłownie w jednej chwili wypełniły wojenne okrzyki Samburu. Natarli na nieprzytomnych Somalijszczyków, nie dając im żadnych szans. Wyglądało na to, że wojownicy przestrzegali jakiegoś swojego kodeksu honorowego, który nie pozwalał mordować śpiących. Cała ósemka leżała więc już skrępowana pod ścianą. Niektórzy pluli przekleństwami, inni czekali w ciszy na dalszy rozwój wypadków i chyba nie bardzo docierało do nich, że to jawa. Chłopak ogarnął pieczarę spojrzeniem i pobiegł w głąb góry.

Musa!

Gdzie poszedł Musa?!

Tamtén mały znalazł martwego kumpla. Niedobrze. Czarek, nie oglądając się na nikogo, ruszył korytarzem. Dotykał ścian, bo znówu otoczyła go ciemność, i to tak nieprzenikniona, że mrugał oczami, chcąc się upewnić, czy na pewno są otwarte. Kolejna jama. Skała urwała się, kroki brzmiały inaczej, a powietrze nie było tu tak ściśnięte jak w zamkniętej przestrzeni.

- Wody - usłyszał dochodzący z podłogi głos. Profesor!

Zbliżył się do niego po omacku, a wtedy z przeciwnej strony korytarza nadbiegło kilku mężczyzn z lampami, które rzucały na ściany rozchwiane cienie. Gdyby nie profesor, stałby teraz na ich drodze. Przyłgął do ziemi, udając więźnia, chociaż nawet się nie zatrzymali. Przemknęli, a jaskinia ponownie stała się czarna, straszna.

- To ja, Czarek.

- Czarek! - z głębi ciemności odezwały się znajome okrzyki.

- Czarek... - jęknął profesor.

- Gdzie Lutka?

- Nie wiem... Wody...

Mrok nagle ożył. Poczł na ramieniu czyjeś dotknięcie. Zaszemrały głosy łowców i żołnierzy, które splatały się ze szczerkającymi pomiędzy skałami odgłosami strzelaniny.

- Tom nas uwolnił. Zranił strażnika i poszedł do dziewczyn.

- Dokąd?

- W prawo.

Nakreślił im pospiesznie sytuację. Profesor leżał rozgorączkowany, ale pozostali zerwali się, żeby pomóc moranom, mimo że nie mieli broni.

Czarek ruszył dalej. Przeklęta nora! Czł się w tych skalnych wnętrznościach zupełnie jak Hobbit w górze pełnej goblinów. Tylko że tamten kurdupel zwinął Gollumowi pierścien i mógł być niewidzialny. A on? On nie ma pierścienia, ma za to karabin. Przeładował broń.

- Luuutkaa! - zawołał.

Zdradził swoją obecność, ale wąpiał, żeby został tu ktoś

jeszcze oprócz Musy. Panowie bandyci pobiegli na zajęcia ze strzelania, powinien jak najszybciej znaleźć dziewczyny.

- Lutkaa!

Doczekał się! Usłyszał odpowiedź:

- Tutaaaaj!

Mądra dziewczynka. Nie przestawała nawoływać. Biegł za jej głosem. Tak dotarł do ściany, w której rysowało się oświetlone wejście.

Zajrzał.

I poczuł, że zasycha mu w ustach.

Na ziemi leżał zakrwawiony Tom, a oparta o skałę Lutka trzymała na muszce Musę, który wywijał kosą, jaką bez problemu można by oprawić słonia! Lutka drżała, po policzkach spływały jej łzy. Nie przestawała krzyczeć, Julia i jakaś ciemna dziewczyna wtórowały jej piskliwie. „Tuuutaaaj” rozchodziło się wkoło w upiornym zawodzeniu.

Stanął tak, żeby za Musą znalazła się ściana.

- Czarek! - Lutka zaszlochała na jego widok.

- Siedź spokojnie, żadnych ruchów! - rozkazał, patrząc w nabiegle krwią oczy Musy.

Skubaniec, jak wąż, nie mrugał. Przyłgął do niego swoim czarnym spojrzeniem, próbował siłować się wzrokiem. He, he. Chce hipnozy, będzie miał skurkowaniec hipnozę. Czarek pozostał czujny. Znamy te sztuczki z odwracaniem uwagi.

A właśnie.

- Ty, Musa! - zawołał zaczepnym tonem i posłał mu uśmiech z serii czarujących.

- Panie Musa...

Świniak jeszcze pyskował!

- Oczywiście. Szanowanko. - Ukłonił się lekko, kręcąc nieudolnie karabinem. - Mnie tam możesz mówić po prostu Cezary, chyba że umiesz wypowiedzieć „cz”, to wtedy poproszę o Czarka. Nawet wolę.

- Jesteś jak małpa - pogardliwie wycedził Somalijczyk.

- Po tonie orientuję się, że mnie właśnie obraziłeś, że małpa to jak u nas klaun, ale okej. Małpa. Jak najbardziej. Nie lubisz małp? Ja uwielbiam, pochodzimy od małp. To nasi

kuzyni. Twój też. Twój dziadek nie lubi czasem bananów?

Czarek, nie chwając się, strzelał wyśmienicie. W wojsku był najlepszym strzelcem w kompanii. Od poboru trochę czasu minęło, ale zdążył przypomnieć sobie to i owo, kiedy odebrał broń od Julii. Walka na maczety odpadała, zabijaniem też nie miał ochoty plamić sobie rąk, jeśli nie był atakowany. Ale Musa nie popuści. Napięcie rośnie. Żeby tylko nie przyszło mu do głowy posłużyć się w tej rozgrywce Lutką. Dekoncentracja, tego potrzebował.

- Wiesz, co to jest wyliczanka? Macie coś takiego w Somalii? Bo ty jesteś z Somalii, panie Musa, co? To takie wierszyki, takie niby wiesz, głupie, ale w sumie fajne. O, ten jest dobry, posłuchaj. To będzie taki spontaniczny kontakt z polską dziecięcą twórczością podwórkową: „Ene due like fake, torba borba ese smaaaaake”. - Przy ostatnim słowie Czarek uniósł karabin i pociągnął serią.

Odstrzelona dłoń zawisła smętnie na włosku ze ścięgna.

Naprawdę nie przypuszczał, żeby ktoś z przestreloną łapą był zdolny do rzucenia się na przeciwnika, ale Musa to zrobił! W ogóle jakby nie zauważył, co się stało. Zaryczał straszliwie, podniósł z ziemi maczetę i ostatkiem sił runął do przodu.

- Skłamałem! - Czarek odskoczył. - To nie była polska twórczość podwórkowa. U nas lecą też bardziej swojskie kawałki. „Pan Sobieski miał trzy pieski” na przykład. Ty jesteś niezniszczalny, czy jak? - zapytał, ponownie uchylając się przed ciosem. - Opanowałbyś się, bo ja nie wiem, czy w drugą rękę też trafię, i mógłbym cię uszkodzić. Tym razem ze skutkiem śmiertelnym, że tak powiem.

Do Musy wreszcie dotarło.

Uniósł postrzępiony kikut, przyjrzał mu się w niemym przerażeniu i opadł na kolana.

Nareszcie! O jednego mniej. Na scenie pozostały jedynie trzy zasmarkane baby w spazmach. Czarek wpadł w popłoch. Już chyba wolał pogawędkę z Musą. Jak poradzić sobie z trzema rozhisteryzowanymi panienkami? Próbował uspokajać, tłumaczył. Muczały dalej. Były chyba w jakimś szoku czy coś... Musa zemdlął i nie prezentował się zbyt elegancko w kałuży

krwi, Czarek sam starał się na niego nie patrzeć, ale gdyby postawił na wersalskie maniery, w jaskini leżałoby pięć trupów. Ten okropny człowiek wyrwałby w końcu Lutce karabin i poczęstował ich kulkami.

Jeśli mu nie pomogą, umrze, wykrwawi się na śmierć. O, nie, nie. Wykluczone. Najlepszą karą będzie dla niego życie.

Bez ręki trudno być przestępcą. Zaraz się coś wymyśli. Zaraz. Niech tylko te płaczki skończą.

Skoro tłumaczenie nie pomaga...

Wystrzelił serię, tym razem w powietrze.

Wreszcie się zatkały. Trzeba przede wszystkim ratować Toma, a nie się mazgać! Nieźle oberwał. Dwa głębsze ciosy w brzuch i całe mnóstwo paskudnych, ale płytkich cięć. Oddychał, nawet odzyskał przytomność, jednak o chodzeniu nie było mowy.

Dziewczyny siedziały nieruchomo i przyglądały się, jak Czarek układa Toma na boku, a potem przywiązuje Musie sprawną rękę do nogi.

- On już wam nic nie zrobi, nawet jeżeli się obudzi. Pójdę sprawdzić, czy możemy stąd wyjść, dobrze? Siedźcie cicho. Zaraz wrócę.

Lutka wygładała tak, jakby znowu miała się rozplakać.

- Na pewno wrócisz?

Main spał, kiedy obudziły go strzały.

Co się dzieje?!

Gdzie Musa?

Przyłożył oko do szczeliny w kotarze.

Tuż obok trwała krwawa jatka. Bryzgi krwi pomalowały skały w nakrapiany czerwienią deseń. Ludzie kotłowali się, celując do siebie z karabinów. Krzyki, płacz, świsty kul. Samburu! Ale skąd oni tutaj?! Związali połowę hołoty Musy, teraz nacierali na tych, którzy pilnowali więźniów i nadbiegli od strony korytarza. Mało czasu. I tłok. Nie uda mu się niepostrzeżenie wymknąć.

Co robić?!

Myślał gorączkowo nad swoim położeniem, kiedy materiał oddzielający go od piekła wyrzucił się i na podłogę poleciał Mały - tak nazywali piętnastoletniego Mahometa, który widział w Musie guru i wszędzie za nim chodził. Teraz dławił się własną śliną i krwią. Zanim oczy zrobiły mu się jak dwie szklane kulki, przesłał światu jeszcze ostatnie, jakby niedowierzające spojrzenie.

Main nie bał się śmierci, często jej umykał albo patrzył, jak zabiera innych. Po prostu przychodziła, i już. Nie ma nad czym rozmyślać. Ale nie zamierzał dać się staruszce wykiwać. Jeszcze tyle przed nim! Byle przetrwać! Nad resztą zastanowi się później. Uniósł ciało chłopaka i położył je sobie na plecach. Rzucanie się na moranów z pistoletem w dłoni byłoby może i chwalebny akt odwagi, ale odwaga w tym przypadku to nic więcej jak droga prowadząca na skróty do trumny.

Leżał nieruchomo.

Czekał.

Wreszcie strzelanina ucichła. Samburu cieszyli się z wygranej, szacowali straty. Przenosili do wyjścia najstarszego, profesora. Słyszał jego postękiwania. Po dźwiękach poznał, że wojownicy zabierają trupom broń. Zajrzą i tu, na pewno. Gdyby się poddał, nic by mu nie zrobili, nie Samburu. Ale istniała też szansa, że wezmą go za umarlaka. Na to liczył.

Poczuł ruch powietrza zagarnianego kotarą. Ktoś stał nad nim i obszukiwał Małego. Teraz on. Został przekręcony. Czyjeś ręce pospiesznie sprawdziły, czy nie ma broni i... zostawiły go! Słyszał, jak poza górą coś burczało. Helikopter? Jeszcze poczeka. Choćby całą wieczność. Aż wszystko się uspokoi. Tak, teraz ciszę przerywały jedynie kwękania niedobitych Somalijszczyków, ich zawodzenia i pochlipywania. Czemu słyszał samolot?

Ostrożnie wstał.

Spod legowiska wygrzebał swoją dumę. Nowiutkiego czeckiego skorpiona. Maszyna cięła z szybkością światła, jeszcze go nie zawiodła. Rozejrzał się po tym śmietniku ludzkich ciał.

Niektóre się ruszały, z innych ulatywało ciepło. Związani już chcieli skomleć o uwolnienie, ale do pieczary, bezgłośnie jak duch, wszedł jakiś biały. Main nie zamierzał czekać, aż tamten strzeli pierwszy.

Gdyby nie Anton, jechałby teraz do Mandery, na zasranej przygranicznej skrawek, gdzie użerałby się z Etiopczykami i Somalijszymi. To obecność dyrektora muzeum sprawiła, że przekłety dupoliz rządu, Kadangi, wyjaśnił, w czym rzecz. Jego żona podobno się z nim puszczała! Z nim, z Jengą. Rzekomo pół miasta widziało, jak spacerowali pod rękę po City Hall Way i po parku Uhuru. Całowali się i obściskiwali, tfu!

Jak tylko zobaczył odciętą głowę w Loiyangalani, czuł, że dzieje się coś złego. Nie łączył morderstwa z Mungiki, bo nie chciał łączyć. Mungiki byli tu, w Nairobi, i to wystarczyło. Nie chciał ich nigdzie więcej, chociaż w podświadomości... Dotarł do wszelkich możliwych informacji o Musie, ale z akt wynikało, że ten lotr był zwykłym somalijskim zarzynaczem, piratem, pustynnym żebrakiem i złodziejem, a nie członkiem sekty. Sprawdził też tego drugiego, Emilia. Jego telefonu nie znalazł w bazie operatora i to był kolejny znak. Niedomyty pastuch i usunięte dane? Posądzenie o płomienny romans, świadkowie, którzy go widzieli z żoną ministra, odcięta głowa... Znał tylko jednego człowieka, który był do niego bardzo podobny. Z daleka wyglądali jak klony. Tylko jednego człowieka, który wiedział, ile znaczy dla niego służba.

Ale ten człowiek był martwy.

A może ta śmierć była zwykłą mistyfikacją?

Wydali z Kadangim rozkazy. Rzecz jasna minister zostanie w swoim fotelu, od czego jest gorliwy Jenga. Może naprawdę powinien wyjechać? Zrezygnować? Zapomnieć o ostatnich miesiącach wypełnionych szaleństwem i przemocą? Nie był zdalnie sterowanym robotem. Już nie. Robił, co mógł, ale zło nie zniknęło. Było go coraz więcej i więcej. Walczył metodami

wroga, a tę walkę każdy uważał za zdradę. I rząd, i tworzący Mungiki Kikuju, i jego najbliższa rodzina. Nikt nie chciał sprawiedliwości, normalności. Chcieli władzy, pieniędzy, posłuszeństwa.

Czy mógł czegokolwiek dokonać w pojedynkę?

Podał pilotowi mapę, którą dostał od Antona.

Czeka ich długi lot.

Byli jak chmara szerszeni. Sześć śmigłowców pękających od uzbrojonych ludzi. Rozprawia się z bandą bez większych problemów. Ale co to? Pilot z daleka zobaczył, że skalne pustkowie żyło.

Samburu!

Czy to Jenga?

Czarek zastygł w bezruchu.

Sylwetka tak, ale twarz... Bardzo podobna, ale to nie była twarz Jengi, chociaż z daleka można ich spokojnie pomylić. Stojący przed nim mężczyzna patrzył władczo. Nie wydymał znudzony ust, ale zaciskał je tak, że układały się w wygiętą podkowę. Do piersi przyciskał niewielki karabin.

Czarek oglądał tę scenę, jakby w niej nie uczestniczył. Widział kolejne kadry, które klatka po klatce składały się na film o tym, jak pewien koleś zaskoczył drugiego kolesia. Przeżyje tylko jeden. Nie mógł się poruszyć, może w końcu i jego wytrzymałość się skończyła? W pieczarze skraplała się para z konających ludzi, chłopak, którego widział niedawno śpiącego, leżał na ziemi jak zepsuta, porzucona zabawka.

- ...arek! - usłyszał odległe wołanie Lutki i to był ten impuls.

Błyskawicznie odskoczył z powrotem do korytarza, ale poczuł szarpnięcie w ramię. Zagrała salwa. Jednocześnie ktoś krzyknął:

- Stój!

Skalne ściany zapewniły mu chwilową przewagę. Był poza zasięgiem. Nie zacznie strzelać z pozycji stojącej, tamten wła-

śnie tego oczekuje. Czarek kucnął i wychylił się, żeby namierzyć cel.

Cel miał go tymczasem w nosie.

W wejściu stał Jenga! Prawdziwy Jenga o jeszcze bardziej ponurym wyrazie twarzy niż zazwyczaj. Skąd się tu wziął? Mierzył pistoletem w swojego sobowtóra, a sobowtór mierzył w niego. Tym razem Czarkowi przemknęło przez myśl skojarzenie z westernem. Dwóch zabijaków, opustoszałe miasteczko, pojedynk.

- Tak przypuszczałem - wychrypiał komendant. - Ty...

- A co? Myślałeś, że wsadzisz mnie do więzienia i będę tam grzecznie siedział?

- Myślałem, że zmądrzejesz.

- Że będę w końcu tak mądry jak mój troskliwy, starszy brat? No, strzelaj! Czemu nie strzelasz? Pozbędziesz się kłopotu! Strzelaj!!!

Czarek z takim napięciem przysłuchiwał się rozmowie, że nie usłyszał kroków za sobą. Rozpoznał za to szczęk broni. Zagrzechotało tuż nad jego głową. Skulił się. Ale kulki nie były przeznaczone dla niego. Poorwały plecy człowieka, który stał naprzeciw Jengi. Mężczyzna w drgawkach osunął się na ziemię.

Przy Czarku stała dziewczyna. Ta, którą zostawił z Julią i Lutką. Opuściła opleciony rzemykiem karabin Musy i tonem usprawiedliwienia prawie bezgłośnie wypowiedziała:

- On rządził. To przez niego nie ma Emilia.

Jenga ukląkł przy bracie i usiłował go podnieść.

Szlochał.

Świeciło słońce, a Czarek z Lutką, Sandrą, Julią i Festusem przyglądali się słupom drewna poukładanym w równe stosy. Po spalonych domkach zostały jeszcze poczerwiałe pasma trawy, ale teren był już uporządkowany. Pomimo tragicznych wydarzeń chcieli, żeby nowe obozowisko stanęło dokładnie w tym samym miejscu. Przylecieli tu z Loiyangalani, gdzie gromada kobiet wybudowała dla nich nad brzegiem

jeziora kilka pękatych, omotanych patykami chat, w których spokojnie czekali na odbudowę obozu. Anton proponował im swój „pałac” w Nairobi, ale Czarek podziękował. Willa dyrektora muzeum źle mu się kojarzyła. Pewnie skorzystaliby z zaproszenia ze względu na wygodę profesora, ale profesor trafił z pustyni prosto do szpitala, skąd właśnie dzisiaj go odbierali. Po drodze postanowili jednak zahaczyć o Logipi, żeby ocenić, jak postępują prace.

- Jest dobrze - podsumował Czarek. - Majster mówi, że w przyszłym tygodniu możemy się wprowadzać.

- A potem? Jak długo tu jeszcze zostaniemy? - zapytała Lutka.

- No, kochana... Sporo. Wykopaliska w wąwozie potrwać nawet kilka sezonów. Te rączki - popatrzył, jak Lutka mocuje się ze sznurkiem przy transporterze Frygi - mogłyby się w końcu przydać. Nie wykopały jeszcze ani jednej kostki.

Sandra również przyglądała się zmaganiom Lutki. Dziwne, ale bardzo szybko zapomniała o porwaniu i o śmierci męża, tak jakby z chwilą oddania strzałów pozbyła się całego żalu. Wciąż nie mogła się nacieszyć, że nie trafiła do więzienia. Jenga zachował się nieprawdopodobnie. Doskonale wiedział, że cela oznacza dla kogoś wychowanego na otwartej przestrzeni powolną śmierć, więc kiedy nadeszli żołnierze, milczał. Jego brat zginął tak jak inni, w strzelaninie.

- Kostki? - Sandra powtórzyła za Czarkiem.

- Kości. Kość. Mówiłem, że ten leń nie wykopał jeszcze ani jednej kostki. Mogłaby się postarać i zarobić na swoje utrzymanie.

- Ja miałam kość! - dziewczyna zawołała radośnie. - Kość Lutki. Była w klatce. Chciałam oddać, ale siostra mojej matki oddała. Tak mówi. Dostała za nią czerwony koralik.

Słowa Sandry zdecydowanie wymagały wyjaśnienia.

Czy chodziło o kość gnykową?

Ich kość?!

Opis się zgadzał.

- Jest!!! - Lutka padła Czarkowi w objęcia.

- Nie tak od razu - przyhamował ich Festus. - Sandra

schowała kość w chacie i chciała oddać, ale na pustyni porwali ją ludzie Musy. Kość znalazła ciotka i dała ją wam za koralik. Pamiętajcie?

- O w mordę...

Pamiętali, jakżeby inaczej. Ogłosili w wiosce, że poszukują zaginionej kości, a mieszkańcy ruszyli z pomocą i wręcz zarzucili ich przeróżnymi kosztnymi dowodami sympatii. Lutka poświęciła wtedy dla sprawy swoje krakowskie korale i każdemu wręczyła po czerwonej wielgachnej kuli. Pół wioski do dzisiaj szczyli się tą ozdobą. Czarek przytachał kupę prezentów do obozu, czemu jednak dokładnie jej nie przejrzyli?!

Lutka rozejrzała się bezradnie po zarzuconym drewnem placu. Gdyby dotarli tu, zanim zrobiono porządki...

- Nie!

- Tak! - Czarek dostał niespodziewanego napływu energii.

- Ja ten majdan wyrzuciłem! Fryga się do tego dobierała i postanowiłem wywalić, żeby nie zeżała jakiegoś świństwa.

- Gdzie wywalić?!

- Tam były też szkielety ryb, więc wysypałem wszystko nad jeziorem. Chodźcie!

Lutka nie pamiętała, żeby jakkolwiek kupka śmieci tak bardzo ją ucieszyła.

Aby uczcić odnalezienie zguby, Anton otworzył kilka butelek najlepszego szampana. Z profesora do tej pory szedł blask. Kiedy zawieźli mu kość do szpitala, tak bardzo się wzruszył, aż istniała obawa, że zamiast opuścić oddział, zostanie przeniesiony na intensywną terapię, ale obecność Julii pomogła. Już i tak wyszedł z tym kręgosłupem na nieporadnego staruszka. Na widok kości serce zaczęło mu walić jak oszalałe i z pewnym trudem łapał powietrze, jednak wystarczyło troskliwe spojrzenie rudowłosej. Zebrał się w sobie i kazał się wieźć do Antona. Miał z nim do pogadania.

- Szampan rzeczywiście doskonały - wyraził uznanie, odstawiając kieliszek.

Kość została uroczyście zamknięta w muzealnym sejfie i mógł wreszcie odetchnąć. Teraz przyszła pora na ustalenie pewnych szczegółów. Spędził kilka dni w szpitalu i siłą rzeczy nie brał udziału w obozowych dyskusjach, które toczyły się wokół porwania. Nie czuł się z tym dobrze. - Panie dyrektorze, czy mógłby pan nam...

- Wszystko wyjaśnić? - Zdawało się, że Anton tylko na to czeka. Siedział u szczytu stołu i patrzył to na rozpartego na krześle Czarka, to na Lutkę i Julię. Festusa natomiast zdawał się w ogóle nie zauważać.

- Jeśli byłaby taka możliwość. Przyznam szczerze, że za wiele nie rozumiem. A pan, jako znajomy komendanta...

- Przyjaciel, nie znajomy. Przyjaciel - uściślił Anton. - Dobrze, opowiem tę historię, mimo że finał jest smutny.

- Z chęcią wysłuchamy - zapewniła Lutka. Anton poprawił się na krześle.

- Znam Johna od wielu lat. Poznałem go, jak tylko sprowadziłem się tu z Europy.

Chodziliśmy razem do szkoły, do jednej klasy. Jako biały nie miałem łatwo, bo rodzice zapisali mnie do szkoły powszechnej, żebym się uczył życia. Możecie sobie wyobrazić... Jenga jako jeden z nielicznych stał po mojej stronie. I kiedy uczyłem się abecadła, i kiedy podrywałem nasze ciemnoskóre koleżanki. Zawsze. Był moim druhem i przyjacielem. Bronił mnie, a ja broniłem jego. John miał młodszego brata, Maina. Zawsze się kłócili, nie potrafili zamienić ze sobą spokojnie choćby słowa. I chociaż fizycznie byli bardzo podobni, to rywalizowali ze sobą, robili sobie na złość, nienawidzili się. Main czuł się od Johna gorszy, chociaż nie miał powodu. Do dzisiaj nie wiem, dlaczego tak było. Może rodzice faworyzowali starszego syna? John nie rozmawia o swoim domu rodzinnym, więc pewnie coś tam było nie tak. Wiem tylko, że wychowali się z Mainem w zwykłej chacie, często cierpieli głód, a potem, kiedy mieli kilka lat, trafili do miasta, do wujostwa. To ich bynajmniej do siebie nie zbliżyło, zawsze chodzili różnymi ścieżkami. John słuchał jazzu, Main wołał bluesa. Main wołał kobiety żywe i głośne, John zalecał się do

dziewczyn stonowanych, spokojnych.

Skończyliśmy szkołę średnią. John postanowił poświęcić się służbie krajowi, Main... przystał do Mungiki i w ciągu kilku lat stał się ich przywódcą duchowym. To uderzyło w Johna najbardziej. Już nie byli chłopcami. Dokonywali świadomych wyborów. John był idealistą. Zawsze zależało mu na sprawiedliwości. Może dlatego mnie bronił? Później więzy się zacieśniły, ale myślę, że właśnie to było początkiem naszej przyjaźni. John nie mógł znieść niesprawiedliwości. A Mungiki robią straszne rzeczy, sami wiecie. Pierwszy raz w życiu próbował z bratem spokojnie porozmawiać, ale skończyło się na strasznej awanturze. Nie dogadali się. Ta kłótnia spowodowała wielką zmianę. To wtedy Jenga postanowił walczyć z Mungiki wszelkimi dostępnymi środkami. Sektę tworzą mężczyźni z plemienia Kikuju, John i Main też są Kikuju. Rozumiecie? Wystąpił przeciwko swoim, stał się wyrzutkiem. Ale to go też nie powstrzymało. Jak na to patrzyłem, przekonywałem się, że miłość i nienawiść są blisko siebie. Oni bardzo się kochali, dlatego tak się nienawidzili.

Teraz trochę polityki. Prezydent Kenii też jest z Kikuju, tak jak Mungiki. Ale Mungiki siali strach, pozwalali sobie na zbyt wiele. Mwai Kibaki musiał więc zrobić z nimi przed wyborami porządek. Nie wiem, czy to miał być porządek prawdziwy, czy porządek pozorowany. John otrzymał rozkaz. Miał się rozprawić z sektą. Tak mi to przynajmniej przedstawił. Ale sądząc po reakcji rządu na te jego rozprawienia... Zbyttno się przejął rolą. Przetoczył się przez Nairobi i wycinał wszystkich, których podejrzewał o przynależność do sekty. Gazety rozpisywały się o dziesiątkach, setkach zabitych. John szedł w miasto ze swoimi ludźmi ramię w ramię. Sam mordował. Ale nie chciał skrzywdzić brata. Chciał zniszczyć organizację, która mu go zabrała. Był głuchy na argumenty, że w ten sposób sam staje się podobny do tych, których ściga. Maina ukrył w więzieniu. Wrobił go w kradzież. Dzisiaj mogę już powiedzieć, że brałem w tym udział. Dałem Johnowi kilka muzealnych

eksponatów, które podrzucił do mieszkania brata. Myślał, że Main zrozumie. Że więzienie będzie nauczka, że się zreflektuje. Ale nie docenił go.

Już wiemy, jak uciekł, bo John dotarł do jego współwięźniów. W celi obok siedział handlarz, który wydebił od Maina zegarek i buty, a potem został podpalony przez swoich wrogów. Nadarzyła się okazja. Main przekupił strażników, którzy potwierdzili, że to on właśnie zginął. Towarzysze w celi wiedzieli o wszystkim, ale to strażnicy się liczyli. To oni decydowali. Poza więzieniem Main miał pomocnika, Musę, którego oczywiście wybrał na swoją prawą rękę nieprzypadkowo. Chciał się zemścić na bracie, ale potrzebował pomocy człowieka nieznanego Mungiki. W sekcie myśleli, że ich przywódca nie żyje, że zginął gdzieś w zamieszkach na mieście. To mu zapewniało anonimowość, której potrzebował, żeby jego plany nie wyszły na jaw zbyt szybko. Somalijczyka poznał parę miesięcy wcześniej, kiedy przeprowadzał się z ładunkiem miraa przez pustynię. Musa dysponował swoimi ludźmi, co Mainowi bardzo odpowiadało, bo we dwójkę nie daliby rady. Wiedział, że Johnowi przydzielono zadanie opieki nad naszym obozem naukowym nad Logipi (po części dlatego, żeby się go pozbyć ze stolicy), postanowił więc brata skompromitować. Na całej linii. I prywatnie, i zawodowo. Starannie się do tego przygotował. Musie polecił przeniknąć do obozu, żeby trzymać rękę na pulsie, a sam zajął się żoną ministra bezpieczeństwa, któremu John podlegał. Nie zatrudnilibyście kogoś niesprawdzonego, więc Musa najął się najpierw do pracy w misji Tuum. Stamtąd miał już do was blisko. Tak zginął kucharz. Musa udusił go jego własnym naszyjnikiem, który zabrał, żeby utrudnić identyfikację.

- A Emilio? - zadał pytanie profesor.

- Już. Z kucharzem był kłopot. Mianowicie wasz kucharz nie ruszał się z obozu. Z jednym wyjątkiem - uwielbiał tańce w Loiyangalani, bo tam mógł sobie wypić. Tu Musa zobaczył dla siebie szansę, bo w wiosce znał człowieka, który na dodatek miał u niego dług. To właśnie Emilio. Wpadł kiedyś

Somalijczykom w łapy, ale co rzadko się zdarza - darowali mu życie. Sporo za nie zapłacił, bo oddał bandzie całe swoje bydło i stracił w ten sposób możliwość ponownego ożenku, ale wrócił do chaty cały i zdrowy. Nie wiedział jednak, że Musa już wtedy miał co do niego swoje plany. Potrzebował w wiosce informatora. A Emilio nadawał się doskonale. Nie dość, że był mu coś winny, to jeszcze posiadał telefon. Musa kazał się więc zawiadamiać o tańcach. Okazja szybko się trafiła. Był jednak pewien problem. Nie mógł pojawić się w wiosce osobiście. Dlaczego?

O tym za chwilę. Co więc zrobił? Zlecił zadanie Emiliowi. Powiedział, że jeżeli nie przyprowadzi kucharza nad Sugutę, zabije całą jego rodzinę. Ma to zrobić w tajemnicy. Tak się stało. Było ciemno, ludzie z wioski byli zajęci tańcami. Emilio zaciągnął kucharza nad rzekę.

- Najpierw nafaszerował go narkotykiem - wtrąciła Lutka.

- Tego już nie wiem, w każdym razie Emilio był świadkiem morderstwa. Wrócił do wioski, ale kiedy znaleziono ciało i John zaczął wypytywać o...

- O Nyete.

- Tak, o Nyete... Emilio się przeraził i uciekł. Dotarł do kryjówki Musy, był tam przecież wcześniej. Najpierw chciał przeczekać, aż sprawa przycichnie, ale potem się rozmyślił. Był niewinny, zaprowadził kucharza do Musy, bo go szantażowano. Chciał wrócić do żony, do swoich i zeznawać. Uciekł, złapali go. Musa odciął mu głowę.

- I zaczęło śmierdzieć sektą - mruknął Czarek. - A mam pytanie... Skąd pan zna te szczegóły? Od Musy?

- Prędeż by sobie odgryzł język. Nie. Jego najbliższy współpracownik, Usman, otrzymał obietnicę przedwczesnego zwolnienia i wszystko Johnowi wyśpiewał. John to nagrał i puścił Musie, żeby Somalijczyk wiedział, komu zawdzięcza wyrok. Jak tylko Jenga wyszedł, Musa próbował się powiesić.

- Jedną ręką? - wyraził zdumienie Czarek, ale Lutka zgromiła go wzrokiem.

- Jedną. Dlatego mu nie wyszło. Wracając do Emilia... Lu-

dzie Musy uprowadzili też jego żonę, która poszła oplakiwać męża na pustynię, spotkaliście ją w jaskini. Obawiali się, że Emilio mógł jej coś powiedzieć.

- A dlaczego Musa nie pojawił się w wiosce osobiście? - przypomniał profesor.

- Właśnie. Main opracował bardzo prosty plan. - Anton wrócił do przerwane go wątku. - Zamierzał uprowadzać kolejno wszystkich członków wyprawy. Osoba po osobie, żeby jeszcze bardziej ośmieszyć brata. Potem chciał to nagłośnić: zawiadomiłby ambasadę i wyznaczył okup. Loiyangalani było ważnym punktem w tym planie. Znajduje się blisko drogi, w przeciwieństwie do obozu, który jest praktycznie odcięty od świata. Dlatego Musa wolał nie pokazywać się w wiosce. Wiedział, że porwie stamtąd co najmniej jedną osobę. Na pierwszy ogień poszła Lutka. - Dyrektor chrząknął. - Blondynka, co w tym kraju ma znaczenie handlowe, jeśli mogę to tak określić. Musa wybrał jednak Lutkę także z tego powodu, że to przez nią wyniósł się z obozu. Wiedział, że znalazła jego rzeczy, w tym naszyjnik kucharza. Ta okoliczność wszystko przyspieszyła. Podczas tańców skorzystał z waszej nieuwagi, ale, co znam z opowieści profesora, pan Czarek nie dopuścił do porwania. Już nie było mowy o zaskoczeniu. Main musiał po tej nieudolnej próbie zmienić swoje zamiary. Akurat wyszedł z więzienia i mógł zadbać o szczegóły osobiście. Postanowił więc, że porwie was wszystkich jednocześnie. Ale to nie było takie proste. Potrzebował czasu, tym bardziej że w Nairobi dotarł do pani Kadangi, a i szykował też coś dla mnie w podziękowaniu za pomoc przy upozorowaniu kradzieży.

- Jagnięcina? - upewnił się Czarek.

- Tak, to było wtedy. Wysłali do mnie Usmana. Oczywiście kręcił, że miał mnie tylko nastraszyć, ale myślę, że było tak, jak sugerowaliście. Sami widzieliście nóż. Próba morderstwa. Nie chciałem z waszej strony pytań, dlatego oficjalnie tej wersji zaprzeczyłem.

- Dlaczego unikał pan rozmowy o Mungiki?

- Nie był to dla mnie wygodny temat. Raz, że sam byłem w

to niejako zaangażowany, bo posłałem Maina za kratki. Dwa, John by sobie tego nie życzył. Gdyby się dowiedział, że rozmawialiśmy o sekcie, zdenerwowałby się. On o nich nie rozmawiał, on ich zwalczał. Tak jak się zwalcza szczury. Nie dyskutuje się o szczurach, szczury się po prostu tępi.

- To mi wygląda na obsesję - wyraził obawę Czarek.

- Myślę, że zbyt się pan nie pomylił. To była obsesja. Powodowana bólem. John walczył. Przez chwilę czuł ulgę, a potem pogrążył się w beznadziei jeszcze bardziej. Nie potrafiłem mu pomóc. Mogłem tylko przy nim trwać. Najgorzej było, kiedy w Loiyangalani znaleziono głowę. Zaczął coś chyba przeczuwać. Zorganizował pogrzeb brata, ale ta głowa nie dawała mu spokoju. Mungiki nie mieli przecież nad Turkana żadnych interesów. Sprawdził telefon Emilio, ale nie znalazł jego numeru w bazie sieci. Dzisiaj już wiemy, że to Main użył swoich wpływów i usunął dane, ale wtedy John bardzo się zaniepokoił. I słusznie. Natomiast Musy nie kojarzył z Mungiki. Przejrzał jego kartotekę, ale nie było tam adnotacji o przystąpieniu do sekty. Nie mogło być, bo Musa dołączył do ich szeregów niedawno. Tu nie tropi się przestępców tak jak w Europie, nie ma tak szybkiego przepływu informacji. John dopisał więc do listy domniemanych przestępstw Musy podejrzenie o morderstwo kucharza i porwanie turystki i zajął się czym innym. W tym czasie Main przebrany w mundur paradował z żoną Kadangi po mieście. Chodziło o popsucie stosunków z ministrem. Musa siedział ze swoimi ludźmi przyczajony na pustyni i czekał na sygnał. Ale stało się inaczej. To on zawiadomił Maina, że w pobliżu ich kryjówki wylądował prywatny samolot. Musieli się spieszyć. Main zorganizował wojskowy śmigłowiec i napadli na was w nocy. Dalej nie muszą już chyba opowiadać? John wyjechał z miasta, my mamy swoją kość.

- A jak to się stało, że Jenga przybył jednak na pustynię? - spytał profesor.

- Podczas ostatniego spotkania pan Czarek zostawił u mnie przez przypadek mapę.

- Mapę?

Festus z Czarkiem spojrzeli po sobie zmieszani. Chyba nad-szedł czas, żeby wyznać niektóre swoje grzechy...

Agunia bardzo się ucieszyła, kiedy usłyszała w słuchawce Lutkę. Lutka dzwoniła z Afryki zaledwie kilka razy, ale każdy jej telefon oznaczał jakieś nowiny. Ostatnio na przykład przyjaciółka zawiadomiła ją, że ten wypłosz, Robert, przeszedł już do historii. Chwała ci, Panie!

- Kiedy wracasz? - zapytała już na wstępie.

Usłyszała dźwięczny śmiech. Ooooo, czyżby w pobliżu znajdował się jakiś mężczyzna? Lutka dawno się tak nie śmiała. Co tam zresztą Lutka! Żadna baba nie śmieje się tak uwodzicielsko podczas rozmowy z drugą babą.

- Czy w okolicy nie pałęta się czasem...

- Pałęta się. - Kolejne głębokie i seksowne „cha, cha” potwierdziło przypuszczenia Aguni. - A wiesz, na co teraz patrzę?

- Na lamparta?

- Nie. Na wulkan. A wiesz, co teraz robię?

- Dzwonisz do mnie i pytasz, co robisz.

- Też. Idę z Czarkiem...

- Za rękę! - Agunia usłyszała w tle wesoły głos swojego kolegi.

- ...idę z Czarkiem zdobyć wulkan. Prawdziwy wulkan! On się nazywa Namurinyang. Prawda, że ładnie?

29 października 2008 roku



Marta Obuch, autorka komedii kryminalnych *Precz z brunetami!* i *Odrobina fałszerstwa*. Jako osoba ciesząca się poczuciem humoru, świadomie zdecydowała o wyborze gatunku: „Autor żyje w świecie, który tworzy. Chcę stworzyć taki świat, w którym spędzanie kilku godzin dziennie będzie dla mnie przyjemnością i wyzwaniem”. Kolejna książka zrodziła się z fascynacji pisarki nauką o powstaniu człowieka.

SPAKUJCIE PLECAKI!
DIABELSKA EWOLUCJA TO AWANTURNICZA WYPRAWA DO AFRYKI

W upalnym zakątku doliny Suguty, zwanym Kotleń Diabła, międzynarodowa grupa naukowców poszukuje kości przaczłowieka. Na skutek zabawnego zbiegu okoliczności trafia tu wybierająca się w zupełnie innym kierunku Lutka i... niespodziewanie dla samej siebie awansuje na żonę Cezarego, bezczelnego i uroczego genetyka, który niestety nie pamięta imion poznawanych kobiet. Różne temperamenty tych dwojga sprawiają, że żyją jak pies z kotem. Jednoczą jednak siły, aby rozwikłać zagadkę śmierci obozowego kucharza i odnaleźć zaginioną kość gnykową sprzed ponad miliona lat. Ich bezpieczeństwu zagraża tajemnicza sekta religijna Mungiki, a z ust pewnego starca padają słowa przepowiedni, do której spełnienia nie można dopuścić. Jak zakończy się ta historia?

Cena 29,90 zł

ISBN 978-83-7495-679-6



9 788374 956796

www.muza.com.pl

lesiojot